





puta Wa rone 1.

N^o inw. 21.

FRANCISZEK COPPÉE.

F

NOWELE.

Kęs chleba. — Dróżnik. — Dobrowolna śmierć. — Stary Wojak. —
Chleb poświęcany. — Lwi pazur. — Siostra mleczna. — Pieszczoszek —
Szczotka do zmiłania okruców. — Okno oświetlone. — Przypadek.
— Scenarjusz. — Chybiona Idylla. — Ojciec chrzestny. — Me-
dalk. — Stara tunika. — Wieczór jesienny. — Rozbicie się okrętu
l'Inflexible. — Odzwierna teatralna.

40000

Przekład polski

przez

F. Mierzejewskiego.

ALEXANDER MAJEWSKI
W
KAMIENIU MŚCIOWSKIM
p. Sandomierza

WARSZAWA.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego

1885.

Дозволено Цензурою
Варшава 28 Іюля 1883 года.

182689



w Drukarni Przeglądu Tygodniowego, ulica Czysta Nr. 2.

Kęs chleba.

Młody książę de Hardimont przebywał w Aix, w Sabaudyi, gdzie leczył wodami sławną swą klacz *Perikola*, która, w skutek przeziębienia się na wyścigach w Derby, dostała dychawicy. Kończył właśnie śniadanie, kiedy rzuciwszy z niechcenia okiem na gazetę, leżącą na stole, przeczytał wiadomość o strasznej klęsce pod Reishoffen.

Wychylił kieliszek szartrezy, położył na stole serwetę i rozkazał swemu kamerdynerowi zapakować walizę. W dwie godziny potem, wsiadł do pośpiesznego pociągu, idącego do Paryża, a stanąwszy na miejscu, pobiegł do biura poborowego, aby się zaciągnął do pułku liniowego.

Chociaż od lat dziewiętnastu do dwudziestu pięciu pędził życie dandysa, *petit-crevé*, jak ich wówczas nazywano, chociaż dotąd przesiadywał tylko w stajniach koni wyścigowych i w buduarach śpiewaczek z opery, powyższa okoliczność przypomniała mu, że Enguorrand de Hardimont dowodził wyborowemi rotami pod konetabłem du

Guesclin i że Franciszek Henryk de Hardimont został zabity przy szturmie fortecy, razem z La Maison Rouge. Jakkolwiek wycieńczyły go nie-dorzeczne i skandaliczne miłości z Łucyą Violette, primadonną z teatru *Nudités-Parisiennes*, dowiedziawszy się, iż Francuzi przegrali bitwę na francuzkiej ziemi, zarumienił się młody książę, jak gdyby go spoliczkowano.

Dlatego to właśnie w pierwszych dniach listopada 1870 r., wróciwszy do Paryża ze swym pułkiem, który należał do korpusu Vinoy, Henryk de Hardimont, obecnie karabinier, a przedtem członek Jockey Clubu, znajdował się na posterunku przed redutą des Hautes-Bruyères, pozycyi naprędce ufortyfikowanej, której broniły działa z fortu Bicêtre.

Miejsce to było okropne: droga wytknięta tykami, cała popsuta przez błotniste wyboje i zrana kołami wozów, przechodziła przez nędzne pola przedmieścia. Nad tą drogą stała opuszczona karczemka, obecnie zajęta przez oddział żołnierzy. Przed kilku dniami toczyła się tam walka; kartacze pólamały niektóre drzewa w zapuście leśnym przy drodze, wszystkie zaś miały na sobie podziurawioną korę od pocisków. Co się tyczy domostwa, to przedstawiało oplakany widok; dach był przebity bombą, a ściany zdawały się krwią powalane. Kraty u altan były połupane, karuzel wywrócony, huśtawka, od której sznury zgrzytały na wilgotnym wietrze, uszko-

dzona przez kule. Napis przy drzwiach: Gabinety familijne, Absinthe-Vermuth — wino po 60 centymów litr, — otaczający nieżywego królika, wymalowanego ponad dwoma bilardowemi kijami, złożonemi na krzyż i przewiązanemi wstążką, wszystko to przypominało, jakby z niemilościernem urąganiem, odbywane tam za lepszych czasów, niedzielne zabawy ludu. Ponad tem wszystkiem widać było smutne niebo zimowe, po którem przesuwwały się duże ołowiane chmury, niebo zwieszane nisko, gniewne, złowrogie.

Przy drzwiach tej karczmy stał młody książę nieruchomo, z przewieszonym przez plecy na pasie szaspotem, w kepi nasuniętem na oczy, trzy mając skostniałe ręce w kieszeniach czerwonych pantalonów i trzęsąc się od zimna, pod koczuchem.

Smutne myśli opanowały tego żołnierza po świeżej porażce i z bólem serca spoglądał po szeregu wzgórz niknących we mgle, z kąd co chwila, wraz z hukiem wystrzału, wymykał się kłęb dymu z paszcz dział Kruppa.

Nagle poczuł on głód.

Przykląkł na jedno kolano na ziemi i wyciągnął z worka, obok leżącego przy ścianie, duży kawał żołnierskiego chleba; ponieważ zgubił nóż, zaczął go odgryzać zębami i jadł powoli.

Lecz po kilku kęsach minął go apetyt, gdyż chleb był twardy i gorzki, świeżego zaś można było oczekiwać dopiero nazajutrz — i to, jeżeli

intendentura nadesłać go raczy. Trzeba przyznać, że bywały ciężkie chwile do przebycia; przypominał sobie jak na złość dawniejsze swoje, jak zwykł nazywać, higieniczne śniadania, kiedy nazajutrz po zbyt rozgrzewającej wieczerzy, siadał przy oknie parterowem w *Café Anglais* i kazał sobie podać cośkolwiek lekkiego: kotlet i jajecznicę ze szparagami—podczas gdy piwniczy, znający jego gust, stawiał na obrusie i ostrożnie odkorkowywał butelkę Leovillu, leżącą w koszyczku. Tam do licha! były to jednak dobre czasy i z pewnością nigdy nie przywyknie do tego nędznego chleba.

Zniecierpliwiony młodzieniec, rzucił pozostały chleb w błoto.

W tej chwili żołnierz z tegoż pułku wychodził właśnie z karczmy; nachylił się więc i podniósłszy rzucony kawał chleba, oddalił się o kilka kroków, obtarł go rękawem i począł chciwie pożerać.

Hardimont wstydział się już swego czynu z liłością spoglądając na biedaka, co zdradzał tak dobry apetyt. Był to wysoki drażał, źle zbudowany, z gorączkowym wzrokiem i szpitalną brodą, a tak chudy, że kości łopatek wystawały z pod sukiennej, wytartej kapoty.

— Musisz być bardzo głodny, kolego — powiedział, zbliżając się do żołnierza.

— Jak widzisz—odrzekł tenże z pełnemi usty.

— Przepraszam cię; gdybym był wiedział, że cię weźmie ochota na ten chleb, nie rzuciłbym go w błoto.

— Nic nie szkodzi, bądź spokojny — rzekł żołnierz. — Nie jestem tak bardzo wybredny.

— Bądź co bądź, nie należało tak zrobić i wyrzucam to sobie. Nie chciałbym, żebyś o mnie zachował złe wyobrażenie, ponieważ mam stary koniak w blaszance, wypijmy po kropli.

Żołnierz skończył już był jeść, wypili z księciem po hańście wódki i znajomość była zabrana.

— Jakże się nazywasz? — spytał szeregowiec.

— Hardimont — odpowiedział książę, tając swój tytuł i przedimek *de*. — A ty?

— Jan-Wiktor. Odesłano mię tylko co do roty... Wychodzę z lazaretu... Byłem raniony pod Châtillon... O! dobrze mi było w lazarecie... dawano tam codzień wysmienity bulion z koniny... Na nieszczęście, byłem tylko draśnięty, więc major zakwalifikował mię do wyjścia; a szkoda, znowu trzeba będzie zdychać z głodu. Może nie uwierzysz, kolego, ale odkąd żyję, zawsze cierpiałem głód.

Słowa te przeraziły rozkosznisia, który przed chwilą wzdychał do *Café Anglais*... spojrział na towarzysza z zadziwieniem i prawie z przestraszeniem. Żołnierz uśmiechnął się boleśnie, pokazując wilcze zęby, zęby zgłodniałego, tak odbijające swą białością od cery koloru ziemi.

Jak gdyby zrozumiał, że książę oczekuje zwierznienia:

— Jeżeli chcecie — rzekł, przestając nagle tykać kolegę, zapewne odgadując w nim szczęśliwe-

go i bogatego człowieka — przejdźmy się trochę wzdłuż i wszerz po drodze, żeby rozgrzać nogi, to wam powiem rzeczy, o których pewno nie słyszeliście nigdy. Nazywam się Jan Wiktor; innego nazwiska nie mam, gdyż jestem podrzutkiem i najmilszem dla mnie wspomnienie, dzieciństwo spędzone w przytułku. Na łóžeczkach naszych w sypialni, były białe prześcieradła, bawiliśmy się w ogrodzie, w cieniu wielkich drzew, czuwała nad nami zacna siostra miłosierdzia, młodziutka, blada jak świeca woskowa, gdyż była suchotnicą. Byłem jej ulubieńcem — i wolałem z nią się przechadzać, niż się bawić z dziećmi, bo mię tuliła do swej sukni, kładąc na czole rękę wychudłą i gorącą... Lecz od dwunastego roku, to jest od pierwszej komunii, życie moje jest tylko nieprzerwanym łańcuchem nędzy. Administracya oddała mię do terminu, do wyplatacza krzesel, na przedmieściu Ś go Jakóba. Jak wiadomo, nie jest to rzemiosło, z którego można żyć; dlatego też po większej części majster nie mógł trzymać innej czeladzi, tylko chłopców z zakładu Małoletnich Ślepych. Tam to zacząłem cierpieć głód. Majster i majstrowa, oboje starzy (pochodzili oni z Limoges i zamordowano ich w późniejszym czasie), byli oni okropnie skąpi i chleb, który nam krajano oienkami kawałkami, do każdego posiłku, pozostawał zawsze pod kluczem. Trzeba było widzieć wieczorem przy kolacyi, panią majstrowę w czarnym czepku, kiedy rozdawała nam

zupę, wydając głębokie westchnienie za każdym pograżeniem łyżki w wazie... Dwaj inni chłopcy z czeladzi byli odemnie szczęśliwsi, gdyż będąc ociemniali, nie mogli widzieć wejrzenia pełnego wyrzutu, z jakim ta niegodziwa kobieta, podawała mi talerz... Na nieszczęście, już wówczas miałem ogromny apetyt. Albożem ja temu winien?... Pozostawałem tam w terminie przez trzy lata, nieustannie głodzony. Trzy lata! Rzemiosła tego można było wyuczyć się w ciągu miesiąca; lecz administracya o wszystkim wiedzieć nie może i nie domyśla się nawet, w jak okrutny sposób wyzyskują dzieci. Zdziwiliście się, że wydobywam chleb z błota? Jam do tego przyzwyczajony; dosyć się nabierałem skórek od chleba, w śmieciach; kiedy były nadto suche, tom je kładł na całą noc do miski z wodą, żeby odmiękły... Trzeba wyznać, że się trafiały czasem niespodziewane gratki: kawałki niedogryzionego chleba, które mały wyrzucali na chodnik ze swych koszyków, wychodząc ze szkoły. Starałem się przechodzić tamtędy, gdy mnie wysłano na miasto... Skoro się skończył czas terminu, ujrzałem się majstrem rzemiosła, niedającego chleba. Alem się brał do innych robót i szczerze! Służyłem przy mularzach; byłem chłopcem sklepowym, froterem i sam już nie wiem czem. Czasami nie było roboty, albo wydalono mię ze służby; dosyć, zem się nigdy nie mógł najesć do syta... A! do pioruna! Nieraz ogarniała mię wściekłość,

gdym przechodził koło piekarza; ale na szczęście, przypominałem sobie, w takich chwilach, siostrę miłosierdzia z przytułku, która tak często zalecała mi uczciwość i zdawało mi się, że czuję gorącą jej rączkę na czole. Nakoniec, mając lat osmnaście, wstąpiłem do wojska; a, jak wiecie, szeregowiec niema nic nadto... Teraz, to aż śmieszne doprawdy... wypadło oblężenie i głód!... Jak widzicie, nie skłamałem przed chwilą, że byłem zawsze, zawsze głodny.

* * *

Młody książę miał dobre serce; słuchając więc tej okropnej skargi z ust żołnierza, który przez mundur stał mu się równym, doznał głębokiego wrażenia; szczęśliwie nawet wypadło dla tego dandysa, że wiatr wieczorny osuszył dwie łzy, jakimi zaszyły mu oczy.

— Janie Wiktorze — powiedział, przez delikatność przestając tykać tego podrzutka — jeżeli żywi wyjdziemy z tej okropnej wojny, zobaczymy się i mam nadzieję, że ci będę mógł być użytecznym. Lecz obecnie, kiedy prócz sierżanta, niema innego piekarza na forpocztach i kiedy moja porcja chleba jest dwa razy za wielką na moje małe potrzeby, więc będziemy się nią dzielić, jak przystoi dobrym kolegom. Zgoda?

Silnym i gorącym uściskiem ręki zakończyli tę rozmowę; poczem, ponieważ już noc zapadła i zmęczeni byli czuwaniem i ciągłymi alarmami, we-

szli do karczmy, gdzie ze dwunastu żołnierzy leżało na słomie — i rzuciwszy się tam jeden obok drugiego, zasnęli snem głębokim.

Około północy, Jan Wiktor, przebudził się, zapewne skutkiem głodu. Wiatr rozpędził chmury i promień księżyca, przenikając do wnętrza karczmy przez dziurę w dachu, oświecił śliczną i jasną głowę młodego księcia, uspięnego jakby Endymion. Jan Wiktor, rozrzuwiony dotąd dobrocią kolegi, patrzył nań z naiwnym zachwytem; wtem, wachmistrz plutonowany, odemknąwszy drzwi, wywołał pięciu ludzi, przeznaczonych na zmianę pikiet forpocztowych. Książę był w ich liczbie, ale się nie przebudził na wołanie kaprała.

— Hola! Hardimont! — powtórzył tenże.

— Kapralu! jeżeli pozwolisz — powiedział Jan Wiktor podnosząc się — to ja pójdę za niego... tak mocno śpi... zresztą to przecież mój kolega.

— To od ciebie zależy.

Po wyjściu tych pięciu ludzi, chrapanie rozpoczęło się na nowo; ale w pół godziny potem wśród nocy, dały się słyszeć w pobliżu gęste strzały. W jednej chwili wszyscy byli na nogach; żołnierze wyszli z karczmy, stąpając ostrożnie, z ręką na zamku karabina i patrząc w głąb drogi, oblaonej białym światłem księżyca.

— Która to godzina? — spytał książę — przecież miałem dziś być na warcie.

— Jan Wiktor zastąpił cię — odpowiedział ktoś.

W tej chwili ujrzano, że nadbiega drogą jakiś żołnierz.

— Co się stało? — zapytał jeden z obecnych, gdy tenże stanął zdyszany.

— Prusacy atakują... oprzyjmy się o redutę.

— Cóż się dzieje z kolegami?

— Nadejdą... tylko ten biedny Jan Wiktor...

— Cóż takiego? — wykrzyknął książę.

— Zabity na miejscu, kulą w głowę. Nie zdołał nawet krzyknąć.

* * *

Pewnej nocy ubiegłej zimy, około godziny drugiej, książę Hardimont wychodził z klubu ze swoim sąsiadem, hrabią de Saulnes; przegrał on kilkaset ludiorów i czuł lekką migrenę.

— Jeżeli chcesz, Andrzej, wróćmy piechotą do domu... Potrzebuję użyć powietrza — powiedział do swego towarzysza.

— Idźmy, mój kochany; chociaż, co prawda, bruk jest szkaradny.

Odprawili zatem karety i podniósłszy kołnierze od futer, udali się w stronę kościoła Ś.tej Magdaleny. Nagle, książę potrącił coś końcem buta; był to duży kawał skórki od chleba, zawalany w błocie.

Wówczas to hrabia de Saulnes ujrzał z wielkim zadziwieniem, że książę de Hardimont podniósłszy ten chleb, obtarł go starannie herbową chustką do nosa i położył na ławce bulwarowej,

w promieniu światła gazowego, na widocznym miejscu.

— Co to znaczy? — spytał hrabia, wybuchając śmiechem. — Czyś zwaryował?

— Robię to na pamiątkę biedaka, który umarł za mnie — odpowiedział książę, drżącym nieco głosem. — Nie śmieję się, mój drogi, bo mi to wielką przykrość sprawia.

D r ó z n i k.

Królowa czeska, dla powieściopisarza bowiem królestwo czeskie istnieje zawsze, odbywała podróż w jak najściślejszem i najskromniejszym incognito, pod imieniem hrabiny Siedmiu Zamków, w towarzystwie tylko dwóch osób: starej baronowej von Georgenthal, lektorki swojej i generała Horschowitz, szambelana dworu.

Pomimo futer i metalowych wygrzewaczy z wodą gorącą, ciągle było zimno w oddzielnym przedziale wagonu, zajmowanego przez nich i kiedy królowa znudzona czytaniem angielskiego romanisu, lub zniecierpliwiona robotą na drutach, generała — bo trzeba wiedzieć, że się zajmował tą robotą — chciała rzucić okiem na okolicę pokrytą śniegiem, to zmuszoną była wycierać co chwilę chustką szyby wagonu, które mróz okrywał błyszczącą warstwą i delikatnymi rysunkami z lodu. Rzeczywiście, był to dziwny kaprys, który mógł się wylądź tylko w dwudziestoletniej główce Najjaśniejszej Pani, żeby jechać do Paryża,

w środku zimy, dla odwiedzenia tam matki swojej, królowej Morawii, zamierzającej właśnie przybyć na następną wiosnę do Pragi. Niezważając na nic, trzeba było udać się w drogę, w czasie, kiedy termometr wskazywał dziesięć niżej zera. Baronowa musiała zapomnieć o swym reumatyzmie, a generał z rozpaczą odjechał od wspinałej kołdry, którą robił na drutach dla swej synowej; wziął zaś z sobą, dla rozrywki, tyle tylko wełny, żeby starczyło na skromną parę pończoch. Podróż była dokuczliwa; cała Europa leżała pod śniegiem, a przejechano dopiero połowę, z mnóstwem opóźnień i przeszkód na drogach żelaznych, gdyż służba była w rozstroju, z powodu surowej pory roku. Nakoniec, zbliżali się do celu; wieczorem, o dziewiątej godzinie, zjedli obiad w Mâcon. Chociaż tej nocy wygrzewacze były zaledwie letnie i wielkie białe płaty śniegu unosiły się w ciemności, baronowa i generał drzemali pod futrami i kołdrami, marząc każde w swoim kącie o pobycie w Paryżu, gdzie pani baronowa będzie mogła odbyć jakieś specjalne nabożeństwo, a stary wojak niezwłocznie uda się do pewnego magazynu z włóczkami, na ulicy Saint-Honoré, jedyne w swoim rodzaju, gdzie będzie mógł wybrać potrzebne mu zielone motki. Co się tyczy królowej, to wcale nie spała.

Rozgorączkowana i drżąca, pomimo wielkiej szuby z niebieskich lisów, z ręką wsuniętą w prze-

pysznie bursztynowe włosy, wymykające się w nieładzie z pod podróżnego, eleganckiego koł paczka, marzyła wpatrzona w ciemności, przysłuchując się machinalnie nieokreślonym i oddalonym dźwiękom, dolatującym do zmęczonych uszu pasażerów, wśród szalonego pędu pociągu pośpiesznego. Uprzytomniała sobie całe swe życie, ta biedna, młoda królowa i rozmyślała nad tem, że jest bardzo nieszczęśliwą.

* * *

Najprzód widziała siebie małą księżniczką z czerwonymi rączkami i płaską figurką, obok swej siostry bliźniaczki, którą niedawno wydano za mąż, daleko na północy; obok tej ukochanej siostry, z którą były tak podobne, że jeżeli były jednakowo ubrane, wplatano im we włosy wstążki odmiennego koloru, aby je rozróżnić.

Było to, zanim jeszcze rewolucya obaliła tron ich rodziców. Lubiła ona cichą i usypiającą atmosferę małego ich dworu w Ołomuńcu, gdzie srogą etykietę łagodzano dobrodusnością. Ojciec jej, dobry król Ludwik V, zmarły potem z tęsknoty na wygnaniu, szedł z nią nieraz pieszo przez park (nie rozstając się z dworskiem ubraniem i z orderami), by o czwartej popołudniu napić się kawy mlecznej z siostrą swą, w pawilonie chińskim, oplecionym bluszczem i winem dzikiem, z kądem widać było rzekę i oddalony amfiteatr wzgórz, pokrytych żółknącą, jesienną roślinnością.

Potem przypomniała sobie swe zamażpójście i wielki bal prezentacyjny w tę piękną noc lipcową, kiedy przez otwarte okna dolatywał ją szmer tłumy, cisnącego się w oświetlonych ogrodach. Jakże drżała, kiedy ją pozostawiono na chwilę w cieplarni, sam na sam z młodym królem! Jednakże kochała go już wtenczas; oddała mu bowiem serce od pierwszego wejrzenia, kiedy się zbliżył do niej, z kitką czaplich piórek u kapelusza, tak elegancki, gibki, w niebieskim mundurze, wyszytym dyamentami i pobrzękujący, za każdym krokiem, złotymi ostrogami przy szarych fałdowanych bucikach. Po pierwszym walcu, Ottokar wziął ją pod rękę, muskając długi czarny wąs, zaprowadził ją do cieplarni, posadził pod wielką palmą. Usiadłszy obok, ujął ją za rękę ze swobodną galanterią i powiedział, patrząc prosto w oczy: „Księżniczko, czy zechcesz mi zrobić ten zaszczyt i zostać moją żoną?“ Zarumieniona, spuściła wtedy głowę i powstrzymując ręką gwałtowne bicie serca: „Tak panie,“ odrzekła, a wściekłe skrzypce cyganów, wszystkie naraz, rozpoczęły marsz czeski, ten śpiew tak wzniosły, pełen entuzjazmu i tryumfu.

Niestety! Jakże to szczęście prędko uleciało! Pół roku złudzeń i obłądu—tylko pół roku! a potem, pewnego dnia, w środku ciąży, niespodziewany traf ujawnił, że się myliła, że król nie kochał jej nigdy, że nawet nazajutrz po ślubie był na wieczery u Gazelli, pierwszej tancerki

w pragskim teatrze. Lecz nie koniec na tem! Dowiedziała się bowiem tego, co dla niej jednej było tajemnicą, mianowicie: że Ottokar miał zadawniony stosunek z hrabiną de Pzibrann, że mieli z sobą troje dzieci i że pomimo tysięcznych miłości, nigdy jej nie opuszczał i śmiał nawet zamianować hrabinę pierwszą honorową damą swej żony. Zabiło to odrazu miłość królowej, tę wątlą i lękliwą miłość, której nigdy nie odważyła się wyznać przed mężem i którą obecnie porównywała do ptaszka przyswojonego, którego będąc małą dziewczynką, zdusiła w rączce, nagle zaciśniętej, gdy ją przestraszył brzęk rozbitego wazonu przez pokojówkę.

Ależ syn! Prawda, miała syna i kochała go; lecz dziwna rzecz! bardzo często, siedząc przy ozdobionej królewską koroną, złoconej kolebce, w której spał jej maleńki Władysław, uczuwała zimno w sercu na widok tego dziecięcia, splodzonego przez człowieka, który ją tak srodze i cynicznie zelżył.

Zresztą, nigdy nie posiadała go wyłącznie dla siebie. Inaczej tam było, jak u jej rodziców, których, niestety! rewolucya właśnie tylko co wygnała w dalekie strony. Na tym starym i dumnym czeskim dworze, wszystko się dokonywało podług praw najściślejszego ceremoniału. Cały rój ochmistrzyń i wychudłych piastunek, starych imponujących jejmości, w wysokich czepkach, zwijał się koło królewskiej kolebki i kiedy

królowa przychodziła zapytać o synka i ucałować go, mówiono jej uroczyście: „Jego Wysokość trochę kaszlał w nocy. Jego Wysokość słaby na ząbki...” Zdawało jej się wtedy, że lodowaty oddech tych kobiet wionął na jej macierzyńskie serce, ażeby je zlodowacieć i śmierć mu zadać. Nie mogła już dłużej wytrzymać ta biedna królowa.

Achl doprawdy, całe życie jej było nadto ciężkie!

Upadającej pod brzemieniem smutku, czasami dawał król pozwolenie udania się do królowej Morawii, przemieszkującej we Francyi. Wymyślała się wtedy jakby z więzienia, sama, tradycya bowiem nie pozwalała księciu następcy tronu odbywać podróży bez ojca. Spieszyła wyplakać wszystkie łzy na łonie siwowłosej matki. Tym razem wyjechała nagle, bez królewskiego upoważnienia, złożywszy szybko pocałunek na czole uśpionego synka Władysława, gdyż szalała prawie ze wstrętu i wstydu. Rozpusta króla stawała się codziem jawniejszą; miał teraz kochanki we wszystkich czeskich miastach i na wszystkich łowieckich przystankach.

Wyśmiewano go publicznie i na ulicach Pragi brzmiały satyryczne piosenki pytające: co się stanie z rasą jego nieprawych potomków i czy Ottokar nie zrobi z nich kiedyś szwadronu gwardyi honorowej idąc za przykładem Augusta Moniego. Ażeby podolać tak wielkim kosztem, król ze wszystkiego ciągnął zyski, wyczerpywał i ob-

dłużał skarb państwa. Największym skandalem było handlowanie orderami. Pewien wiedeński krawiec zarobił pięćkroć sto tysięcy złotych, sprzedając amatorom cudzoziemskich dekoracyj, czarne fraki, w których kieszeniach i dziurkach od guzików, znajdowano patent i wstęgę największego w Czechach orderu wojskowego, z czasów wojny trzydziestoletniej.

* * *

Lecz cóż to się stało? Nagle, pociąg zwolnił biegu i nakoniec stanął. Co znaczy ten przystanek w czystym polu i wśród nocy? Generał i baronowa obudzili się, bardzo zaniepokojeni; szambelan, spuściwszy szybę, wychylił się przez drzwiczki, naraz, latarka nadkonduktora pociągu migocąca po śniegu wzdłuż szeregu wagonów, zatrzymuje się, podnosi do góry i nagle oświeca wąsy i wydrzaną czapkę generała.

— Co to jest? Po co ten przystanek? — zapytał stary Horoschowitz.

— Zagrzęźliśmy, mój panie, przynajmniej na całą godzinę... śniegu na dwie stopy... Ani sposobu posunąć się naprzód!... Paryżanie obejdą się jutro bez śmietanki do kawy.

— Jakto? Stać tu całą godzinę, w taką porę? Wygrzewacze nawet wystygły!

— Cóż począć, mój panie... Zatelegrafowano do Tonnerre o przysłanie zamiataczy... ale, jak powiadam, zajmie to przynajmniej godzinę czasu.

Powiedziawszy to, oddalił się z latarką w stronę lokomotywy.

— Ależ to okropne! Najjaśniejsza Pani gotowa dostać kataru! — jęczała baronowa.

— Istotnie, zimno mi — odezwała się królowa, którą dreszcze zaczęły przechodzić.

General pojął, że mu wypada zrobić coś bohaterskiego. Wyskoczył więc na drogę i brnąc w śniegu po kolana, dogonił człowieka z latarką, któremu powiedział coś półgłosem.

— Chociażby to był nawet Wielki Mogoł, niebym nie poradził — odrzekł urzędnik. — Ale jesteście naprzeciw domku dróżnika; musi tam być ogień... może ta pani raczy wysiąść? Hoła! Sabatier!...

Druga latarka zbliżyła się: „Jest rozpalony ogień u dróżnika, idźno zobaczyć.”

Na szczęście, paliło się na kuchni. General bardziej uradowany, niż gdyby wygrał batalię albo dokończył ostatniego pasa w swej sławnej kołdrze, wrócił do przedziału królowej, zdał sprawę ze swych zabiegów i za chwilę troje naszych podróżnych, otrzepując śnieg z obuwia, weszło do izby, gdzie ich wprowadził dróżnik. Nie zdejmując kożucha, ukląkł on przed kominkiem i dorzucił suchych gałęzi.

* * *

Królowa, usiadłszy przed wesoło płonącym ogniem, zrzuciła z siebie szubę i zdjęła długie

szwedzkie rękawiczki dla ogrzania rąk; poczem rozejrzała się dokoła tej chłopskiej chaty. Zamiast podłogi, była tam glina nierówno ubita, na poczerniałych od dymu belkach pułapu, wisiały wianki cebuli; nad kominem, na dwóch gwoździach, zawieszona była myśliwska strzelba, a na półkach stało kilka malowanych talerzy. General skrzywił się, spostrzegłszy szpilkami przypięte do ściany dwa obrazy Epinala: portret Thiersa, w wielkiej wstędze legii honorowej i Garibaldiego w czerwonej koszuli. Co do królowej, to najbardziej zwróciła jej uwagę, stojąca przy wielkiem łóżku i nawpół zasłonięta pasiąstą kotarą, wyplatana z łoży kolebka, z której dawało się słyszeć kwilenie budzącego się dziecka.

Dróżnik natychmiast porzucił ogień, zbliżył się do kołyski i począł ją zlekka bujać.

— Śpij, moja dziecino, śpij! nie bój się... To znajomi tatki.

Musiał być bardzo dobrym ojcem, ten człowiek w kozim kozuchu, łysy jak Ś.ty Piotr, o szczeci niastych wąsach starego wojaka i dwóch wielkich smutnych bruzdach na policzkach.

— To wasza córeczka? — zapytała z przejęciem królowa.

— Tak, pani; to moja Cesia... w przyszłym miesiącu skończy trzeci roczek.

— Gdzież matka? — zapytała się z pewną nieśmiałością, a widząc, że dróżnik uczynił jakiś gest znaczący, dodała: — jesteście wdowcem?

Lecz on zaprzeczył głową. Wtedy królowa ze wzruszeniem wstaje, zbliża się do kołyski i patrzy na Cesię, przyciskającą przez sen do piersi papierowego pieska.

— Biedne dziecię! — szepnęła.

— Prawda pani — odezwał się wówczas dróżnik, głuchym głosem — że matka musi mieć bardzo złe serce, żeby opuścić córeczkę w takich latach? Że mnie odeszła, to sam temu winien jestem. Zbłądziłem, zeniąc się z dziewczyną zbyt młodą na mój wiek; złem zrobił także, pozwalając jej chodzić do miasta, gdzie zabrała niedobre znajomości.. Ale opuścić tę pieSZCZOTKĘ!.. to podłość, nieprawdaz? Cóż robić! będę musiał sam wychować to biedactwo!.. Jednakże trudna to bardzo rzecz z powodu służby.. Wieczorem muszę ją nieraz zostawić tu, płaczącą na cały głos, gdy posłyszę gwizd maszyny... ale za to w dzień, zabieram ją z sobą i już się maleństwo oswoiło: nie boi się pociągów... Wczoraj naprzykład, lewą ręką dźwigałem dziecko a w prawej trzymałem sygnałową chorągiewkę... i nie drgnęła nawet, gdy pociąg mijał. Największą biedę mam z szyciem sukienek i czepeczków. Na szczęście, jako były kapral żuawów, trochę obeznany jestem z igłą...

— Położenie wasze jest bardzo przykre — odezwała się królowa—chciałabym wam dopomódz... Musi tu być gdzieś wioska w pobliżu i poczciwi

ludzie, aby się podjęli wychować waszą córeczkę...
Jeśli tylko o pieniądze idzie...

Dróżnik poruszył znowu głowę.

— Nie, moja dobra pani, nie; dumny nie jestem
i chętnie przyjmę wszystko, co ktoś zechce uczy-
nić dla mojej Cesi... ale się z nią nie rozłączę; nie,
ani na godzinę!

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył ponuro — oto sobie
tylko ufam, że z niej zrobię inną kobietę, jak jej
matka... pocziwiał kobietę. Przepraszam, czyby
pani nie pokolysała trochę Cesi, bo muszę wyjść
na tor?

* * *

Któż wie, o czem myślała królowa Czeska
w tę noc zimową, kołysząc całą godzinę dziecię
biednego dróżnika, podczas gdy generał i baro-
nowa, których usługi odrzuciła, wygrzewali się
przy ogniu? Skoro nadkonduktor otworzył drzwi,
wołając: „Panowie i panie! pociąg odchodzi... pro-
szę na miejsca!...” Królowa położyła na kołysce
Cesi, portmonetkę napchaną złotem i bukietik
fiolków odpięty od paska swego, poczem wsiadła
do wagonu.

Najjaśniejsza Pani zabawiła tylko dwa dni
w Paryżu i natychmiast wróciła do Pragi, z ką-
d się prawie nigdzie nie wydała, cała oddając się
wychowaniu syna. Arystokratyczne guwernantki
mają tylko synekury. Jeżeli się porządę rzeczy

nie zmieni w Europie, gdy mały Władysław urośnie, będzie on tem, czem nie był jego ojciec... dobrym królem. Mając pięć lat wieku, jest już bardzo popularny i kiedy jedzie z matką, jedną z tych nieocenionych czeskich kolei, których bieg równa się dorożce—i ujrzy, przez okno wagonu, dróżnika z dzieckiem na jednym ręku a z chorągiewką w drugiej, to za danym przez matkę znakiem, posyła mu rączką pocałunek.

Śmierć dobrowolna.

Widywałem niegdyś często poetę Ludwika Mi raz, w dzielnicy Łacińskiej, gdzie oba jadalśmy w mleczarni, utrzymywanej przy ulicy Sekwany przez starą Polkę, którą nazywaliśmy księżną Czekolawską, z powodu ogromnej misy kremu czekoladowego, wystawianej codziennie w oknie. W ostateczności, można tam było zjeść obiad za dziesięć sous.

Wybredni dopłacali jedno sou za serwetę.

Oprócz kilku młodzieńców, sposobiących się na geniuszów, zwyczajnymi gośćmi byli tam biedni ziomkowie gospodyni, którzy, mniej więcej wszyscy, dowodzili armiami. Pomędzy nimi znajdował się imponujący i melancholiczny starzec z białą brodą, którego stara czamarka z potrzebami, buty i kapelusz, po którym zdawało się przeszły ślimaki, przedstawiały cały poemat nędzy. Współziomkowie okazywali mu wielkie poszanowanie; przez trzy dni bowiem był dyktatorem.

U tejsze księżny Czekolawskiej, poznałem także szczególniejszego waryata, utrzymującego się z lekcyj niemieckiego języka; głosił on, że się nawrócił na wiarę buddyjską. Na kominku ubogiego pokoiku, w którym mieszkał z modystką z rynku Saint Germain, stał dość zgrabny Budda z jaspisu, wpatrzony w pępek swój i trzymający się rękami za wielkie palce u nóg. Nauczyciel okazywał bożkowi cześć najgłębszą; lecz gdy nadszedł termin komornego, nieraz był zmuszony za stawiać go w lombardzie Mont de-Pieté. Wtedy zapadał w głęboki smutek i trwał w nim, dopóki nie wynagrodził swego bezbożnego czynu; nigdy bowiem nie zaniedbał wykupienia swej świętości, w oznaczonym czasie.

Co się tyczy Ludwika Miraz, miał on oczy podsiniałe, cerę bladą i długie rozczochrane włosy, jak wszyscy młodzieńcy, którzy przyjeżdżają wagonem trzeciej klasy po sławę, więcej wydają na światło niż na bifsztyki i wzbogaceni już kilku rękopisami, ciskają wielkiemu Paryżowi, z wysokości jakiego wzgórza przedmieściowego, klasyczne wyzwanie Rastignac'a. W owym czasie ja także nosiłem długie włosy jakby za Merovingów; zbliżyło nas to z sobą i wkrótce Ludwik Miraz zaprowadził mię do swego pokoju, na wysokościach, przy ulicy Quatre-Vents i wymordował dwoma tysiącami wierszy aleksandryjskich. Żart na stronę, były to młodzieńcze i piękne wiersze, z wiośnianem natchnieniem, mające za-

pach pierwszych bżów. Wkrótce po przeczytaniu mi tych poezyj, wydrukował je Miraz p. t. *Wolne ptaki*. Zachowają one miejsce na zawsze, pomiędzy wyborowemi utworami, obok poetów, wydających jedną tylko książkę, jak naprzykład: *Les Amoureuses* Daudeta.

Miraz nie napisał bowiem więcej wierszy. Młode orlę zamiłowane w wysokościach, założyło swe gniazdo na wzgórzach Montmartre i przez dosyć długi czas straciliśmy się z oczu. Potem spotykałem jego podpis w dziennikach i przeglądach, gdzie zaczął wydawać krótkie i wytworne nowele, którym zawdzięcza sławę.

Przeszło lat pięć; nakoniec spotkałem go w redakcyi dziennika, którego byłem współpracownikiem.

* * *

Z obustronną przyjemnością zobaczyliśmy się i po pierwszych wykrzykach: „To ty?... Więc to ty?” staliśmy przez chwilę naprzeciwko siebie, ściskając się za ręce i pokazując sobie, wśród serdecznego uśmiechu, zęby, które niegdyś gryzły jeden kęs chleba. Nic się nie odmienił; nawet nie obciął długich włosów, które zawsze odrzucał w tył, z pięknem poruszeniem głowy parskającego konia. Ale miał cerę przezroczytą i oczy spokojne szczęśliwego człowieka, a wysmukła jego kibić obciśnięta była w jak najmniejszą zakietę.

— Nie rozstaniemy się już, nieprawdaz? — rzekł, biorąc mnie pod rękę po koleżeńsku i pociągnął na bulwar, gdzie kwietniowe słońce po-
złacało młode liście jaworów.

Ach! szczęśliwy to był dzień! Wyczerpaliśmy wszystkie swe: czy pamiętasz?... czy przypominasz sobie jaja na półmisku, cuchnące słomą i ten obrzydły ryż na mleku u księżnej Czekolawskiej? a melancholię starego dyktatora?... a Niemca, który co kwartał osadzał w więzieniu swego bożka?

Nareszcie skończyła się nasza bieda. — On zdaleka przyklaskał moim sukcesom; mnie także wiadome było jego powodzenie; lecz o czem nie wiedziałem, to że się ożenił z kobietą, którą uwielbiał i że mieli córeczkę, prawdziwego amorka!

— Chodź do nas na obiad, poznasz je obie.

Dałem się pociągnąć do l'Enclos des Ternes, gdzie mieszkał w pawilonie, wśród drzew. Wszystko tam przyjaźnie witało; za ledwo otworzyłeś drzwi, zaraz młody pies rzucał się do nóg twych.

— Lezeć, Gavroche!... Powala cię.

Na głos dzwonka, pani Miraz pokazała się na ganku z córeczką na rękach. Była to wysoka i piękna blondynka, z torsem ślicznie utoczonym, w niebieskim penioarze.

— Kaz dodać jedno nakrycie... to dawny mój kolega.

Szczęśliwy ojciec, nie zdejmując z głowy kapelusza, wziął córeczkę na ręce i zaraz pokazał mi całe swe mieszkanie: jadalny pokój, ożywiony jasnym fajansem; gabinet napełniony książkami, z oknem otwartem na ogród, tak bliski, że gdy wiatr zawiął, korekty drukarskie, leżące na stole, zasłane były kwieciem kasztanów.

— Pamiętaj, że to początek. Przecież nie tak dawno, jak się przepisywało po trzy sous od wiersza.

Podczas kiedym się zachwycił wierzwą Syońską okrytą kwiatem, którą ujrzałem w ogrodzie, Miraz przebrał się po domowemu, w kurtę oraz pantofle i zagłębiwszy się w wielkim fotelu, podrzucał w górę Helenkę, wykrzykując: Hopla! hopla!

Przyznaję, iż nigdy jeszcze nie oswładnęło mną w takiej pełni uczucie szczęścia. Zjedliśmy wesoło obiad złożony z dwu smacznych potraw i bez ceremonii samiśmy sobie usługiwali. Z pogodnym uśmiechem prezydowała piękna pani Miraz, przy której siedziała córeczka na wysokim krzeselku. Mówiła mało, lecz wejrzeniem inteligentnym i miłym brała udział w naszej szalonej i paradoksalnej rozmowie. Przy wetach, wyjąwszy różę z bukietu zdobiącego stół, wpięła ją we włosy, nad uchem, z wdziękiem nie do opisania. Takiej to właśnie pięknej i milczącej przyjaciółki, potrzebuje marzyciel.

Piliśmy kawę w gabinecie, wkrótce mieli oni umeblować salon za pieniądze oczekiwane od wy-

dawcy Lévy, za drukujący się romans. Ponieważ wieczór był chłodny, rozpalono potem ogień z gałęzi i wiórów na kominku. Podczas kiedyśmy palili cygara z Mirazem, odświeżając stare wspomnienia, gospodyni, trzymając na kolanach Helenkę w koszulce, uczyła ją Ojczy nasz i Zdrowaś Marya, a dzieciak powtarzał za nią wyrazy, z lubością grzejąc nóżki przy ogniu.

* * *

Z początku widywaliśmy się często, później rzadziej; mozolne życie literatów powoływało każdego z nas w inną stronę. Tak upłynęło lat kilka. Spotkawszy się, ściskaliśmy sobie ręce, pytając: „Wszystko dobrze?—Doskonale.“ Na tem kończyły się nasze rozmowy; ale w ostatnich czasach, bardzo rzadko spotykałem w dziennikach i przeglądach nazwisko Miraza. „Szczęśliwy człowiek! odpoczywa,” myślałem sobie, wiedząc, że zdołał uciulać mająteczek. Nakoniec, przeszłej jesieni dowiedziałem się, że jest ciężko chory.

Pobiegłem go odwiedzić. Mieszkał zawsze w l'Enclos des Ternes; lecz w ten smutny dzień listopadowy, domek jego wydał mi się niejako zziębnięty, nagi wśród drzew, z liści ogołoconych. Jakoś zmałał, skurczył się, jak wszystko, czegośmy dawno nie widzieli. Pies musiał już nie żyć, bo nie zaszczekał na odgłos dzwonka, gdym otworzył furtkę i wszedł do zasypanego uschłe-

mi liśćmi ogródka, w którym nocny mróz zważył ostatnie chryzanty.

Pani Miraz nie było w domu, przyjęła mnie więc Helena. Była to duża, czternastoletnia panna, z dziką miną. Otwierając mi drzwi do ojca gabinetu, nagle podniosła zasłonę z czarnych długich rzęs i rzuciła wejrzenie lęśliwe i nieśmiałe.

Miraz siedział na niskim fotelu przed ogniem, otulony w szlafrok, z pasmami siwizny w długich włosach. Z ręki wilgotnej i zimnej, którą do mnie wyciągnął i z martwego wzroku odgadłem, że już po nim. Straszna rzecz! Dostrzegłem u mego nieszczęśliwego kolegi, toż samo piętno ruiny od pioruna, które nas uderzało niegdyś w biednych Polakach, spotykanych w mleczarni.

— Cóż to, niedomagasz?

— Skazany jestem, mój drogi — odpowiedział z okropnym uśmiechem. — Umieram głupio na piersiową chorobę, jakby w piątym akcie... wiesz..., kiedy szanowny doktor, z głową à la Béranger, bierze za puls bohaterkę i wznosząc oczy do góry, mówi: nadchodzi konanie! Ta tylko różnica, że u mnie przedłuża się ono... bez końca! Proszę cię, pal; nie powstrzymuj się — dodał spostrzegłszy, że rzucam cygaro i w tejże chwili porwał go kaszel, podobny do chrapania.

Siliłem się na słowa pociechy, trzymając go za rękę i klepiąc zlekka po ramieniu; ale w głosie czuło było, że mówię wbrew przekonaniu i Miraz,



patrzył na mnie z widoczną litością, że się tak dręczę.

Zamilkłem.

— Patrz — rzekł wskazując na stół — to mój warsztat. Już od pół roku nie mogę pisać.

Jakież smutny obraz przedstawiały te stosy zapyłonego papieru i gęsie pióra obryzgane atramentem, a leżące na talerzyku ze starej porcelany, jakby wiązka zardzewiałych floretów, wisząca na ścianie staroego szermierza. Raz jeszcze spróbowałem go ożywić. Umierać! w jego wieku!... Co znowu! Pewno się nie leczy. Powinien zimę spędzić na Południu, napawać się ciepłem słonecznym. Przecież stać go na to!

Powstrzymał mię, kładąc mi rękę na ramieniu i rzekł z powagą:

— Słuchaj, dawnośmy się wprawdzie nie widzieli, ale jesteś moim najstarszym, a może i najlepszym przyjacielem. Dowiodłeś mi tego z piórem w rękę. Zwierzę ci się z rzeczą, którą zachowasz przy sobie, chyba, że ci ją wypadnie spozytkować kiedy, dla zniechęcenia młodych literatów, poddających pod twój sąd swoje rękopisy; będzie to bowiem z twej strony dobrym uczynkiem... Prawda, miałem powodzenie: płacono mi po franku od wiersza. Zarabiałem pieniądze... Oto w tej szufladzie leży pewna ilość papierów żółtych, zielonych i różowych, od których co pół roku, odcinają się małe kupony, stanowiące trzy lub cztery tysiące dochodu. To

rzadki wypadek w naszym zawodzie. Dla uciulania tej lichej sumki, ja, poeta, musiałem naśladować oszczędnego mieszcza i odmawiać żonie jakiegoś klejnotu lub córce sukni... Mam więc te pieniądze... Często sobie powtarzałem: jeżeli umrę, to będzie zapewnieniem bytu, posazkiem dla Heleny!... Jakiż byłem zadowolony, jaki dumny! Wiem aż nadto dobrze, jaki los czeka nasze wdowy i sieroty; zapomoga z czterech sous od administracyi i dystrybucya za sześćset franków na prowincyi... Jeśli córka jest inteligentna i ładna jak moja, to autor dramatyczny, stary przyjaciel papy, poradzi jej wstąpić do Konserwatorium i zrobi z niej... Do pioruna! tak być nie może!... ale, żeby tego nie było, nie trzeba, mój kochany, żebym długo kwękał. Choroba drogo kosztuje i musieliśmy już sprzedać dwa czy trzy z tych papierów, co leżą w szufladzie... Żeby zaś pojechać na słońce, jak powiadasz... i wygrzewać się, jakby jaszczurka, w Cannes albo w Mentonie, trzebaby jeszcze jeden stracić... skończyłoby się na tem, że wyszłyby wszystkie, gdybym kwękał. Jeszcze siedm lub ośm lat, teraz kiedy nie mogę nawet przepisywać... Na szczęście, tego się nie obawiam. Lecz oom wycierpiał, odkąd pisać nie mogę i czuję tę garść złota topniejącą w mem ręku jak *Peau de Chagrin* Balzaka, to strasznel! Rozumiesz mię już, prawda? Nie będziesz namawiał, żebym się leczył... Jeżeli

jeszcze umiesz się modlić, to prosź Boga, żeby mi zesłał śmierć jak najprędzej.

* * *

We dwa tygodnie potem, szliśmy w jakie trzydzieści osób za karawanem Miraza, na cmentarz Montmartre. W wigilię dnia tego spadł śnieg i doktor Arnould, stary lekarz pracowni malarzkich, przyjaciel i lekarz nieboszczyka, powiedział swym stłumionym głosem, idąc obok mnie:

— Banalny ale zawsze okropny kontrast... pogrzeb w dzień śnieżny... Czarno i biało...

Nakoniec stanęliśmy nad mogiłą. Tak miejsce jak chwila były posępne. Pod brudnem niebem, wiatr otrząsał sople stopniałego śniegu z małych cisów. Orszak pogrzebowy utworzył koło, przypatrując się grabarzom, spuszczać trumnę na sznurach do dołu. Obok niosącego krzyż, któremu z pod krótkiej komży wyglądały pantalony, czekał ksiądz z palcem włożonym w książkę, przytrzymując lewą ręką brzeg kapelusza, a mówca z Towarzystwa Literatów, w obciążonej czarnej rękawiczkę ręce, miał mowę pogrzebową, ułożoną na prędcie z jednym z kolegów, przy dwóch kieliszkach, na rogu kawiarnianego stołu.

W chwili, kiedy ksiądz zaczynał odmawiać modlitwy po łacinie, doktor Arnould, schwywszy mię za ramię, szepnął do ucha:

— Czy wiesz, że on się dobrowolnie zabił?

Gdym nań spojrział zdumiony, wskazał na panią Miraz z córką, obie zanoszące się od płaczu pod długimi welonami i splecione rozpaczliwym uściskiem.

— Dla nich,—dodał.—Tak, od pół roku rzucał w ogień wszystkie lekarstwa i z umysłu dopuszczał się różnych szaleństw. Wyznał mi to przed śmiercią... Nie rozumiałem, co się z nim dzieje; ja, com przedsięwziął podtrzymywać go jeszcze ze trzy lata przy pomocy kreozotu. Na koniec przeszłej nocy, kiedy był taki mróz, zostawił okno otwarte, niby przez zapomnienie i dostał zapalenia płuc... Tak, aby te dwie kobiety nie zostały bez chleba!... Proboszcz aui się domyśla, że błogosławi samobójcę. Ale bądź spokojny, pocziwcze, Miraz jest w niebie. Cóż powiesz o takim powolnem zabijaniu się? To większe bohaterstwo, niż przejście przez most Arcole!

Stary wojak.

Starzy wojownicy! Żołnierze wielkiego Cesarza!... Tak są wspaniali ci Diomedesy i Idomeny z nowej Iliady, że ktokolwiek opisywał ich lub malował z natury, doznawał jakby błysku geniuszu, uczuwał tchnienie epopei.

Przejrzyjmy chociażby w jednym tylko Balzaku wszystkie te piękne postacie wojskowych: Hulot, głuchy od huków armat; Chabert, widmo pokazujące ranę na czaszce i ten okrutny włóczęga Filip Bridan, z oczami stalowo-niebieskiego koloru, któremi kartaczował głupców.

Otóż, chociaż młody jestem, bo lat czterdzieści, to wiek dojrzewającego młodzieńca dla kochanek scenicznych i muzyków aspirujących do *prix de Rome*, udało mi się widzieć i poznać jednego z owych tęgich rębaczy i chcę tu właśnie opisać to wspomnienie z lat dziecińczych.

O! było to dawno, bardzo dawno i muszę wywołać jedno z najpierwszych wrażeń mej pamięci. Widzę siebie pięcioletnim malcem, kiedy ojciec

prowadził mię za rękę przed pałac Tuileryjski, pierwszego maja, w dzień Ś-go Filipa. Tłoczono się dokoła muzyki gwardyi narodowej, wygrywającej *Paryżankę* i śpiewano:

Soldat du drapeau tricolor,
D'Orleans, toi qui l'as porté!

Entuzjazm dochodził do szczytu; wołyżero wie nałożyli swe szako z żółtą kitą na koniec bagnetów, gdy się królewska rodzina zjawiła na balkonie: król w białych pantalonach, we wstędze legii honorowej, pod frakiem niebieskim ze złotemi guzikami, powiewał szarym kapeluszem; królowa w poważnych angielskich lokach, a księżęta w mundurach generałów afrykańskich.

Ale mój ojciec wzruszył ramionami, słysząc: „Niech żyje król” i śpiesznie uprowadził mię z placu. Co za szkoda! wszystko tam mi się wydawało tak wspaniałe!

Mój kochany ojciec był legitymistą, bardzo bezinteresownym; on, mały urzędniczek bez majątku, skromnych uczuć i obyczajów. Jego królem był książę Bordeaux, którego portret sztychowany, w machoniowej ramie, wisiał u nas w sali jadalnej; zrobiony był wówczas, kiedy książę miał lat ośmnaście. Twarzyczka jego dziecinna, z włosami w nieładzie; pod portretem jest *fac-simile* podpisu księcia. Bądź spokojny, drogi i szanowny ojcze, chociaż syn twój stał się sceptykiem w tych rzeczach, portret ten wisi zawsze na swoim miejscu w sali jadalnej, ten portret, na który

tak często spoglądałeś podczas obiadu, wiernem okiem uczciwego człowieka!

Owego dnia kiedy krzyczano: „Niech żyje król!” wobec Ludwika-Filipa, a działo się to w r. 1847, owego dnia, jak to zresztą bywało nieraz, ojciec prowadził mię do swego przyjaciela, kapitana Blot. Był on takimże Henrykistą jak mój ojciec, chociaż został dekorowany własnoręcznie przez Cesarza, w bitwie pod Montereau.

* * *

Jakim sposobem nawrócił się, jest to cała historia.

W dni lipcowe, 1830 r., Blot był kapitanem w dragonach gwardyi. Do tego czasu, prawdę mówiąc, wcale się nie zajmował polityką. Jako rekrut z wielkiego poboru 1813 r. potem sierżant w czasie kampanii francuzkiej, nareszcie podporucznik pod Waterloo, był on zawsze ślepo posłuszny swym naczelnikom i ręczyłbym za to, że mu nie było bardzo przykro, kiedy mu zmieniano dwukrotnie kokardę trójkolorową na białą. Pozostawał jednak na służbie z upodobania i przez nałóg karności, zresztą kochał swój pułk, kolegów, mundur i konia. W czasie rewolucyi dowodził szwadronem i gdy przyszła nań kolej atakować, kula strzaskała mu kolano. Przeniesiono go do Val-de-Grâce; Larrey, stary Larrey Napoleoński, odjął mu nogę w połowie uda, i jeden z najpiękniejszych oficerów w armii, Herkules,

pod którym stękała klacz, gdy ją ścisnął kolana mi, wyszedł ze szpitala, na każdym kroku zakreślając półkole, swą drewnianą nogą i wspierając się na kuli.

Być ranionym w czasie zamieszki ulicznej, amputowanym w skutek wystrzału gawrosza! Nadto tego było dla starego dragona, który przeszedł bez zadraśnięcia, przez kartacze i ognie batalionowe pod Champanbert, Montmirail i Quatre-Bras. Lecz cóż miał robić! Musiał się poddać losom. Kapitan był stoikiem; mógł żyć dostаточно z emerytury i grosza, jaki uciulał. Skoro się urządził w mieszkanku, przy ulicy du Bac, w głębi podwórza, z ruchomościami w stylu cesarstwa, gdy włożył krzyż z pod Montereau pod szkło i rozwiesił na ścianie szable i pistolety, powiedział sobie, że nastąpił dlań czas spoczynku i przestał się nawet smucić, kiedy siadając w fotelu wybitym żółtym utrechtem, z głową sfinksa, widział przed sobą drewnianą nogę, przy końcu której nogawica od niebieskich, z grubego sukna, pantalonów, ściągniętą była jakby sakiewka.

Jednakże odwiedzali go starzy koledzy, dymisyonowani oficerowie z gwardyi, ludzie wysoko urodzeni, nieradzi z nowego porządku rzeczy. Wszyscy objawiali sympatyę, prawie uwielbienie, tej ofercie rewolucyi, temu inwalidzie lipcowemu. Żałowano go, przesadzano jego piękne czyny, oddanie się dobrej sprawie, prawowitemu królowi. Pomimo całej skromności, zacny ten

człowiek zasmakował w pochwałach. Wprawdzie, gdy był sam jeden, mówił sobie, że spełnił tylko obowiązek żołnierza. Pułkownik zakomenderował: „Szwadron! plutonami!” wówczas obwinąwszy dwa razy koło ręki temblak szabli, żeby mocniej uderzać, poszedł do ataku z tak mężnem sercem, jak pod Mont-Saint-Jean, pod dowództwem Léfèrre-Desnouettes, nie pytając, czy Karol X miał za sobą prawo i słuszność. Jednakże, kiedy jeden z jego dawnych towarzyszków broni—szlachcic, jeden „z panów *de*,” jak go nazywał kapitan językiem gminu, zaczął rozprawiać o jego wierności i zacnych zasadach, poczciwy Blot brał na seryo te pochlebstwa i wierzył, że tak było rzeczywiście.

Potem wdały się w to i kobiety, bo wielu z jego kolegów pozeniło się; a pochwały wychodzące z niewieścich ust, żywiej obchodziły zacnego wojaka.

Przychodziły naprzód do niego z mężami, potem same, na co pozwalały szanowny wiek i kactwo kapitana. Wkrótce stało się to modą na przedmieściu Saint-Germain, odwiedzać „biednego męczennika”, otaczać go pieścizotami, staraniami i zanosić mu podarki małe. Latwo sobie wyobrazić zmieszanie starego kapitana, kiedy, ni mniej ni więcej, tylko jakaś markiza przyniosła mu stołeczek pod jedyną nogę, wyhaftowany swemi szlacheckimi rękami. Zaczynał nabierać przekonania, że to z jej strony wysoka grzeckość, iż raczyła wyhaftować kilka lilij.

Kapitan wcale się nie wyrzekał swojej przeszłości i chociaż nieraz krzywiły się arystokratki, nie zdjął ze ściany sztychów, przedstawiających Małego Kaprała, pijącego z blaszanki grenadiera, lub też leżącego na dwóch krzesłach i grzejącego nogi przy ogniu na biwaku, pod Austerlitz. Lecz tego dnia, kiedy żona byłego szwadronisty jego, miała jasno-włosa wice-hrabina, która napelniła zapachem werweny całe mieszkanie wojaka, przyniosła mu w dowód szacunku portret Karola X, sztychowany, podług wzoru Lawrence'a, dragon nie mógł gdzieindziej powiesić Burbona, jak pomiędzy dwoma Bonapartymi. Po niejakiem czasie, zasady i meble kapitana, przedstawiały takie same niekonsekwencye i sprzeczność. W małej jego biblioteczce, na której stały popiersia Pierwszego Konsula i Maryi Antoniny, dzieło Bonalda—nierozcięte, o ile mi się zdaje, mieściło się w pobliżu *Pamiętnika ze św. Heleny* a *Zwycięztwa i Zdobytcze Francuzów*, mocno się dziwiły sąsiedztwu *Pamiętników Clévy'ego*. Również na ścianie ponad staremi szablami pułkowemi, które niegdys rąbały sprzymierzonych, wisiał szczególny obraz, w ramie z czarnego aksamitu, przedstawiający wierzbę płaczącą, z pomiędzy listków której zarysowywały się profile dostojnych więźniów z wieży Temple.

*

*

*

W 1847, to jest, kiedy przez lat siedmnaście kapitan Blot był traktowany jako męczennik, stał się nagle większym legitymistą, niżeli żołnierz z wołyżerów z Gandawy; dlatego to mój zacny ojciec, w dzień Ś-go Filipa, okropnie wzburzony okrzykami: „Niech żyje król!“ jakimi witano zjawienie się na balkonie w Tuilerach, czuba i faworytów szpakowatych, przywłaszczyciela tronu, uprowadził mię do swego starego przyjaciela, dla ulżenia sercu buntowniczą rozmową.

Bardzo lubiłem odwiedzać kapitana, przepadał bowiem za dziećmi; zaledwie dawny ordynans a obecnie kamerdyner, wprowadził nas do pokoju, pocziwy ten Kleber o siwych włosach — sadzał mię na połowie swego uda, zasypywał pieścizotami i posyłał po ciastka. Potem, pomimo drewnianej nogi, prowadził mnie do stoliczka, przy oknie wychodzącem na ogród i otwierając „*Norvins Illustré*“, mówił:

— Masz, rekrucie... przeglądaj obrazki.

Podczas kiedy ja, jedząc ciastka i przysłuchując się piegżom śpiewającym wśród drzew, widziałem przesuwający się przed memi dziecięcemi oczami, szereg znakomitości republiki i cesarstwa, wskrzeszonych olówkiem Raffeta, dwaj przyjaciele prowadzili rozmowę w najwyższym stopniu buntowniczą, przeciw rządowi Ludwika Filipa; a gniew ich spadał zawsze na Guizota, jakby młoty dwu kowali, kujących czerwone żelazo na kowadle.

Czasami jednakże wśród zapału rozmowy, kapitan wstawał i przechadzał się wzdłuż i wpoprzek pokoju. Machinalnie, przez moje ramiona, przyglądał się obrazkom w *Norvins* i jeżeli wypadkiem przedstawiał którą z dawnych bitew, rozpoczynał złośliwą krytykę małżeństw hiszpańskich lub też idemnizacyi Pritcharda i następowały wielkie wspomnienia!

— Tak, tak, właśnie w tem rzecz—mówił, kładąc palce na obrazku bitwy pod Montereau. — Był on tam na wzgórzu Surville, kierując swą lunetę na most, gdzie grenadyerowie Mortiera atakowali bagnetami wirtemberczyków, a ostry wiatr lutowy rozwiewał grzywę konia i podnosił poły jego szarej kapoty; my zaś, dragoni, staliśmy tuż, pod ręką. Wówczas to stała się rzecz okropna. Pewien generał, w poczerniałym mundurze, bez kapelusza, przyskoczył konno do naszego pułkownika i krzyknął z rozkazującym giestem: „Na was kolej!” Lecz pułkownik, stary filut, spojrzawszy na most, widzi, że bermyce nie wzięły go jeszcze i że pójdziemy atakować kolegów, odpowiada więc krótko: „Nie, mój generale, jeszcze nie pora...” Generał zaczerwienił się i zaczął szukać instynktowo pistoletu w olstrach. Co prawda, nasz dowódca ryzykował głowę, którą mogli mu roztrzaskać wobec jego szwadronów: ale cesarz, będący o piętnaście kroków ztamtąd, wszystko to słyszał i widział; wyciągnął zatem swą małą kobiecą rękę i zrobił giest, który miał

znaczyć: „Zgoda!” He! co za człowiek! przyznał słusność podwładnemu! jednym poruszeniem zwałił przepisy karności!.. Ale on jedno tylko miał na myśli: wygrać bitwę... a nasz pułkownik trafnie osądził, że nie była to pora do ataku!.. Po chwili, most był wolny i tym razem Napoleon nie zrobił nawet giestu, lecz tak spojrział na pułkownika, że ten wzrok przeniknął go do głębi serca. Wówczas to nasz stary dowódca zwrócił się do nas, stojąc na strzemionach, z szablą do góry i straszny dla oczu, krzyknął: „N... de D... Dragoni!” zaliśmy dobrze ten wykrzyknik i cały pułk puścił się galopem, wykrzykując jak jeden człowiek: „Niech żyje Cesarz!”

Nagle opowiadający zamilkł; gdym się odwrócił zadziwiony, ujrzałem, że mój ojciec z uśmiechem wskazuje kapitanowi na portret Karola X go.

— Nie dziw się... nie dziw się! ..— rzekł poczciwiec, rumieniąc się i bełkocąc... — był to dzień, w którym on mnie dekorował.

* * *

Zapomniałem był o kapitanie Blot, który był tak dobry dla mnie w dzieciństwie; lecz stanął mi na pamięci pewnego dnia, przeszłego lata, w małym porcie kanału La Manche, gdzie się przechadzał po wybrzeżu, spalonym od słońca. Patrzy-

łem na zniszczoną już armatę, którą wsadzono tyłem w ziemię, zamiast słupa do uwiązywania statków i która oddawna musiała tam się znajdować, bo wiatr nappełnił ją piaskiem i ziemią aż po paszczę, tak, że oset morski zaczął w niej rosnać. Ten biały kwiatek w starem dziale bronzowem, przypomniał mi starego wojaka.

Chleb poświęcany.

Pchnąwszy wyściełane drzwi, wszedłem do kościoła, w czasie summy.

Powiew ciepłego powietrza, w którym zlewały się wonie jarzących świec woskowych, kadzidła i kaloriferu, wionął mi w twarz jednocześnie z brzękiem miedziaków, potrząsanych w aksamitnym worku przez kwestarkę — doszły mnie z głębi, pełnym, donośnym chórem, zaśpiewane wyrazy:

Et cum spiritu Tuo.

Alem się zwrócił na lewo, przeszedłem przez małe gotyckie drzwiczki i nagle wszystko uciхло; odetchnąłem wilgotną atmosferą piwniczną i na plecach uczułem lodowaty chłód. Byłem u spodu kręconych wschodów, prowadzących do organów, gdzie się chciałem zobaczyć owej niedzieli z przyjacielem moim, organistą Hermannem.

Czyś zauważył, czytelniku, podobieństwo między wschodami prowadzącymi do pokoju organi-

sty i do antresoli kupca winnego? Pewnie dla tego mój przyjaciel Hermann, tak lubi śniadania z Chablis i ślimaków i zawsze ma splamioną białą krawatkę kawą z rumem; co mu jednak nie przeszkadza być głębokim kontrapunkcistą i zdumiewającym improwizatorem. Nigdy nie zapomnę waryacyj, które na jedną Wielkanoc, po wystrzale z działa zaimprovizował, wobec mnie, na motyw melancholijny, tak znany na ulicach Paryża:

Gałgany do sprzedania!

Macie tu gałganiarkę!

Było to tak piękne jak Bach i mam przekonanie, że w Raju i Aniołowie, Archaniołowie, Serafinowie, Cherubinowie, Potęgi, Cnoty, Trony i Panowania, płakały z mistycznej radości.

Będąc w zwyczajnem usposobieniu, znoszę tylko muzykę, lecz kiedym smutny, lubię ją, a kościelną w szczególności. Dla tego to szedłem do Hermanna.

Smutny byłem dnia tego, ach tak smutny, jak dżdżysty miesiąc w czasie morskich kąpieli. Dlaczego? Dziś nie przypominam sobie. Być może, z powodu mgły przesiąkniętej sadzą, jak *fog* angielski: może z prostego splinu, że życie za krótkie, a dni za długie, albo sprzeniewierzenie się przyjaciela, lub zdrada kobiety; tak mi serce ścisnęły? Mniejsza o to; dość, że byłem nieswój. Czarne myśli plątały mi się w głowie i wyrzekałem na przeznaczenie, że nam udziela szczęścia w homeopatycznych dozach.

Organy Hermanna są największe w Paryżu. Widok ich z nawy kościelnej, wspaniały; zbudowane są w stylu *rococo*, z wysokimi wieżyczkami; ogromne ich piszczele przypominają patronatasze na piersiach olbrzyma czerkiesa; wielkie anioły z rzeźbionego dębu, poważnie udrapowane, nadymają szkaradne policzki, dmąc w trąby złożone. Wschody te równają się trzeciemu piętru i kręcone są jak szruba; wysokie zużyte stopnie, prowadzą do kryjówki Hermanna. Szedłem coraz wyżej, wzdychając więcej z nieokreślonego jakiegoś smutku, niż ze zmęczenia.

* * *

Zastąłem mego przyjaciela, siedzącego na taborecie, ze złożonemi rękami przed klawiaturą. W tejże chwili, pomimo dreptania ludzi w kościele, posłyszeliśmy z daleka głos dyakona, intonujący: „*Sequentia sancti Evangelii secundum Mattheum.*”

Natychmiast dwa raki morskie o pięciu łapkach, służące Hermannowi za ręce, prawdziwe ręce pianisty — spadły na klawisze i rozległ się harmonijny grzmot dźwięków, od którego uczułem dreszcz w sercu; był tak silny, pełny i donośny, że zaledwie mogłem dosłyszeć chór wiernych, jednoczących swe głosy z organami, żeby odpowiedzieć dyakonowi: „*Gloria Tibi, Domine!*”

Przyszedłem tam po to muzyczne odurzenie.

Lecz organy musiały milczeć aż do końca Ewangelii; uściskał raka, który Hermann wyciągnął do mnie serdecznie, oparłem się o balkon organów, obok jednego z trąbiących aniołów, który zblizka wyglądał potwornie z wielkimi swymi policzkami jak u trytona, w wodotrysku wersalskim.

Z balkonu widok był prześliczny. Oko obejmowało cały kościół aż do głębi prezbiterium; co do mnie, lubię jezuickie kościoły z XVIII wieku, w których dym kadzideł zlewa się ze smugami słonecznego światła, wpadającymi przez wielkie okna. Te kolumnady korynckie, posągi przesadne i jakby poruszające się, w stylu Bernina, te chóry z kolumnami bez kapitelów, te baldachmy z kitami z piór, te ołtarze błyszczące z marmurowymi obłokami i promieniami słońca ze złoczonego drzewa. Wszystko to jest w złym smaku, bardzo szlachetnym i kosztownym, jest to sztuka deklamacyjna, prawda; przypomina to modlitwę napisaną przez retoryka, zgoda; jest to zupełny upadek sztuki, przyznaję; ale, bądź co bądź, wolę kościoły Ś-go Rocha i Ś-go Sulpicyusza, niż nasze tegoczesne, naśladowujące bazyliki byzantyjskie, lub katedry z XV wieku, odznaczane nagrodą rzymską.

Jednakże owego dnia, jak powiadam, smutny byłem, aż do płaczu; nie mnie nie mogło rozerwać i podczas kiedy celebrujący śpiewał przez nos monotonne melodye złą łaciną, jaką przetło-

maczono Synoptyk, stałem niedbale wsparty, przy pызatym kolosie, wlepiając natężony wzrok poniżej siebie.

Śmiesznie wydają się ludzie widziani w podobnym skureczu. Co chwila wierni wchodzili i wychodzili, a wyściełane drzwi głucho zapadały się za nimi, przerywając psalmodye dyakona. Raz przechodził tak otyły człowiek, że brzuch zakrywał mu nogi; zdawało się, że się na tym brzuchu toczy; potem szedł piechur z szako pod pachą, którego tylko widać było wypukłą nisko ostrzyżoną głowę, wierzchni rąbek uszu i parę czerwonych szlifów; dalej dwa białe kornety oznajmiały dwie mniszki, których skrzydła bujały w powietrzu jak niezgrabne motyle. Najciekawszy był widok różnych łysin; nagość ich, czasami przecięta bruzdą, błyszczała: zrozumiałem wówczas pomyłkę orła, który uniósł żółwia w powietrze i wzięwszy czaszkę Eschyleasa za kamień, na którym można rozbić skorupę żółwia, zabił na miejscu tragika greckiego.

Ci wszyscy przechodnie przybierali postać ludzką dopiero uszedłszy z pięćdziesiąt kroków w nawie lub na bokach. Przypominali oni stary rysunek z *Magasin Pittoresque* dziwaczego i skomplikowanego Granville'a, na którym wyobrazony jest podobny efekt perspektywy. Wszystkie chłopięce uciechy stanęły mi na pamięci. Ach! szczęśliwe te chwile, kiedy się otwiera pudełko z wodnemi farbami i pędzelek zwilża się języ-

kiem, żeby kolorować drzeworyty w starych foliach. Jeżeli ktoś w ten sposób nie popsuł zeszytu *Magasin Pittoresque* z pierwszych lat, przed pierwszą komunią, ten nie wie, co to być dzieciakiem. Jakże już dalekie te dobre czasy! Uczułem się jeszcze smutniejszym i nieszczęśliwszym, niż kiedykolwiek w życiu!

Jednakże skończyła się Ewangelia, rozpoczęto na nowo „*Dominus Vobiscum*,“ odśpiewano *Credo*, *Offertorium* zaś nadchodziło. W tej chwili mszy, jak wiadomo, odzywają się tylko organy. Żywo zasunawszy i wysunawszy niektóre rejestra, Hermann kościste palce położył na klawiszach, a szeroko rozstawione nogi na pedałach, wywołując z czarodziejskiego instrumentu, cudowne modlitwy, a tam na dole, w świątyni, gdzie rytmicznie poruszały się kadzielnice, przyniesiono chleb do poświęcenia.

* * *

Przepyszne ciasto i wyśmienita briosza, rozłożona na nieskalanej czystości obrusie, łatwo było odgadnąć zdaleka, że musiało przyjemnie pachnieć i być jeszcze ciepłe.

Po modlitwach, poszły w obieg dwa wielkie kosze, pełne kawałków poświęconego chleba, wielkich i małych; niosło je czworo dzieci z chóru, które poprzedzał, postukując halabardą, wspinały szwajcar, mający grube łydki i szlify z bułionami. Co się tycze królewskiej brioszki, to

prędko znikła, bo niezawodnie zachowano ją dla księdza proboszcza.

Naprzód podano chleb poświęcany skarbnikom parafii, siedzącym na ławce urzędników kościelnych.

Byli to opaśli mieszczanie, po zimowemu ubrani, w aksamitnych czapkach, siedzący wygodnie w stalach dębowych, w postawie pewnej siebie i wygodnej, jak przystało bogaczom. Bez skrupułu brali palcami w ciepłych rękawiczkach największe kawałki, potem, nibyto przeżegnawszy się, zajadali zwolna. Niektórzy nawet—starzy skarbnicy, niewstydzący się sąsiadów, wybierali drugi kawałek a czasami i trzeci i wyjmując z kieszeni gazetę, starannie zawijali w nią chleb, aby go zanieść rodzinom.

Skoro koszyki zbliżały się do pierwszego szeregu wiernych, stojących przy kratkach presbiterium, były już bardzo napoczęte; lecz ci, którym je podano, należeli również do uprzywilejowanych; byli to mężczyźni znani z dewocyi, pobożne damy, kwestarki, penitentki tego lub owego księdza; znakomici parafianie, mający swe cyfry lub imiona wryte na blachach miedzianych, przybitych do ich klęczników.

Ci także brali podostatkiem chleb i robili zapasy. W dziesiątym lub dwunastym rzędzie, pozostały tylko małe kawałki chleba. Małe sierotki w czarnych czepeczkach i niebieskich pelearnkach, pomimo obecności siostry, wcale nie by-

ły wstrzemięzliwe; tym sposobem, ludzie przy końcu nawy napróżno szukali w koszykach, po zostały im tylko drobne okruchy.

Co się tyczy ubogich, których widziałem pod balkonem organów, bab z różańcami, dziadów stojących lub klęczących na czapkach, sług w chłopskich czepkach—któż winien, że nie są w stanie wydać sou na wynajęcie krzesła? Widzieli oni tylko puste koszyki, które dzieci z ohóru odnosiły do zakrystyi, bujając niemi dla zabawki.

Niesprawiedliwość ta oburzyła mię, tem więcej, że był źle usposobiony. Napróżno Hermann manewrował rejestrami, wybierał najśłodsze flety, najtkliwsze hoboje, wypuszczał „głosy niebieskie,” napełniając całą nawę hymnem ukojenia i pogody duszy, czułem bunt w sobie i wówczas to zapisałem następującą uwagę, którą znalazłem w starym kajecie:

„Szczęście jest podobne do poświęcanego chleba na sumie; dostaje się go mały kawałek, tylko w niedzielę i tego nie wszyscy wierni spodziewać się mogą.”

Honor ocalony.

Około trzydziestu lat temu, wszystkie osoby, składające maluczkie przedmieście Saint Germain i wyższe towarzystwo z Vannes, zgadzały się na to, że panna de Saint-Avé, była najpiękniejszą dziewczyną z całego „towarzystwa.” Wszyscy unosili się nad jej wielką pobożnością, nad ułożeniem pełnem szlachetności i poświęceniem się dla starego dziadka, jedyne go krewnego, jaki jej pozostał. Matka umarła dając jej życie, a ojciec Szuan, z ostatnich czasów, ugodzony kulą w pierśi 6 czerwca 1832 r. w walce pod Chêne, wyzionął ducha, całując w rękę księżniczkę Berry, opatrującą mu ranę.

☉ Pozostawszy czteroletnią sierotą. Bianka, wychowywała się u dziadka, barona de Saint-Avé, starego emigranta, który w 1842 r., kiedy wnuczka jego była już panną nie pierwszej młodości, dożył osmdziesiątego drugiego roku życia.

Stary szlachocic i piękna panna, byli więc przedmiotem dumy małego bretońskiego miasteczka.

Skoro ktoś z mieszkańców Vannes, pokazywał ciekawości miasta cudzoziemcowi, nigdy nie omieszkał zaprowadzić go na ulicę des Orfèvres, aby podziwiał stary pałac rodziny Saint-Avé. Była to trzypiętrowa budowla z XV wieku, wzniesiona na palach, z wysokim śpiczastym dachem, z dziwacznymi rzeźbionymi figurami na zewnętrznych rogach. *Cicerone* dodawał zawsze z dumą: „Tu mieszka panna de Saint-Avé, najszlachetniejsza i najpiękniejsza osoba z całego miasta.”

Najszlachetniejsza?— tak, bo ród de Saint Avé, sięgał walki pod Trydentem. Najpiękniejsza?— i to było prawdą; gdy podczas sumy wchodziła do kościoła, pod rękę z dziadkiem swym, wspinałym starcem, wysoka i dumna złotowłosa panna, wysmukła jak Dyana dłuta Jana Goujon, lekkie drzenie i szmer przebiegały całe zebranie wiernych.

Tylko ponieważ ta dostojna panna była biedną, do dwudziestu pięciu lat życia, nie miała konkurenta i ktoby ją widział, kiedy będąc sama myślała o tem, przygryzając różowe usta, przeraziłby się ogniem gorejącym w jej czarnych oczach.

Niegdyś, kiedy pan de Saint-Avé nosił tornister i karabin ochotnika w armii książąt, miał przy sobie jako kamerdynera lub raczej koniuszego, młodego krajowca, imieniem Loïe Huelgoat, który go nigdy nie odstępował i zadziwiał mieszczan Hamburga, gdzie baron mieszkał, będąc na emigracyi, swoim wielkim kapeluszem i szerokiem

bragon-bras. Starzejąc się razem ze swym panem, ten sługa, tak wierny jak dolmeny w Carnal, stanował wspólnie z dwiema wieśniaczkami, całą służbę.

Ach! surowe i monotonne było życie w tym starożytnym domu! Dziadek i wnuczka żyli i utrzymywali się ubogo z małego dochodu z ziemi, wnoszonego ziarnem przez dzierżawców. Prawie nikt ich nie odwiedzał, prócz kilku starych jejmości „z woreczkami” na rękę i dwóch lub trzech księży z parasolami od deszczu.

W dni pogodne, pozwalali sobie dziadek z wnuczką na małą przechadzkę pod starymi drzewami w porcie, gdzie baron poważnie witał niektórych znajomych i gdzie panna de Saint-Avé, rzucała grosze chłopcom okrętowym w łachmanach, którzy wychodzili na jej spotkanie ze starych statków, grzęznących w mule i biegli obok niej, boso, po kamiennych płytach. Ale kiedy deszcz padał, a w Morbihan nie jest on rzadkiem zjawiskiem, pozostawali w domu i podczas kiedy baron siedząc przy ogniu, w wilgotnym latem i zimą salonie, drzemał nad *Gazette de France*, panna Bianka, umieściwszy się przy oknie o małych szybkach z którego widać było smutny plac, a ponad otaczającymi go dachami wieżę Ś-go Piotra, białemi rękami w mitenkach, biegle wyrabiała koronki.

I tak przechodziły dni bez wypadku; godziny wybijały grobowo na katedralnym zegarze; za bójcze miłozenie ciążyło nad martwem miastem,

przerywane chwilami stukiem sabotów na bruku. Loïc Huelgoat, stary sługa, był wdowcem i miał syna, którego Biana i baron utrzymywali pierw jej swoim kosztem i który obecnie, mając lat ośmnaście, skończył seminaryum. Młody Sulpicyusz towarzyszył panie de Saint Avé w odwiedzaniu biednych, niejako w charakterze wiejskiego pazia, niosąc w ręku kosz z żywnością; teraz zaś nikt się nie dziwił, kiedy cierpiący baron siedział w domu, że gdy wnuczka jego szła w niedzielę do kościoła, obok niej młodzieniec bardzo piękny lecz niezgrabny i źle odziany, niósł dwie książki do nabożeństwa.

— To syn starego Loïca—mówiły dewotki pomiędzy sobą—ten, co się sposobi na księdza

Szlachcic chciał tym sposobem wynagrodzić długoletnią wierność sługi. W średnich wiekach, kazalby Loïcowi uklęknąć przed sobą, uderzyłby go po plecach płazem miecza i ucałowawszy go, pasowałby na rycerza; lecz teraz zmieniły się zwyczaje, chciał przeto odwdzińczyć się Loïcowi, stawiał syna jego jak najbliższej rycerstwa, kierując na księdza. Sulpicyusz doskonale się uczył na koszt barona, ale gdy nastąpiła chwila wyświęcenia się i włożenia sutanny, objawił, że nie czuje najmniejszego powołania do stanu duchownego. Był to straszny zawód i prawdziwy smutek dla p. de Saint-Avé i Loïca, który uroczyście przyprowadził syna do barona, a ten przez dwie godziny perorował z głębi swego fote-

la. Sulpicyusz wciąż oświadczając wdzięczność i szacunek dla dobrodzieja, pozostał jednak niezachwianym. Trzeba było przychylić się do życzeń młodzieńca, który dawał zresztą dowody delikatnego sumienia; umieszczono go więc jako dependenta u miejscowego notaryusza.

Co niedzielę przychodził na obiad do starego domu, z ulicy des Orfèvres i siadał przy tym stole, do którego ojciec jego bywał tylko w ten dzień przypuszczany, w drodze najwyższej łaski. Wieczorem czytywał baronowi i jego wnuczce. Starzec natychmiast zasypiał, dependent zaś wsparty o stół w promieniach lampy, czytał donośnym głosem, żeby zapanować nad stukiem klocków, które Bianka, siedząc naprzeciw niego, nie przedstawiała poruszać zręcznymi plecami. Nakoniec, dostojna panna odzywała się z powagą:

— Już dosyć, Sulpicyuszu... Musisz być zmęczony.

Pozostawał więc milczący i zmieszany w tej pustce, wśród tych cieni i milczenia, wobec swej pięknej chrzestnej matki, podziwiając jej pyszny biust, złote włosy, na które blask lampy rzucał tysiące iskier, oraz białe ręce ciągle dotykające kłębka utkanego szpilkami i spuszczał oczy, gdy ona swoje podnosiła.

Ten biedny ośmnastoletni Sulpicyusz, który się naczytał potajemnie romansów w seminaryum i na facyatce, gdzie sypiał u swego pryncypała, spędził dwie nocy bezsenne, pożerając niebezpie-

czną książkę Stendhala: *le Rouge et le Noir*, gorzał ogniem pożądliwości. I on, syn sługi, dziecko wychowane z łaski, śmiało oddawać się niepodobnym do spełnienia chęciom i potwornym marzeniom! Myśl ta nie odstępowała go ani na chwilę, tak dalece, że pisał imię Bianki to na akcie notaryalnym, to na papierze szacunkowym, w biurze. Była to ohydna pożądliwość bez tkliwości, która się zaostrzała i zaogniała codzien więcej w zmysłach i wyobraźni Sulpicyusza. Chwilami dochodził do szału, wśród którego myślał o chrzestnej matce jak o zbrodni.

* * *

Pewnego wieczora, na wiosnę, kiedy jak zwykle baron spał snem głębokim, w obszernym, wysłanym fotelu i kiedy panna de Saint-Avé przerywała czytanie Sulpicyuszowi, młodzieniec, który jeszcze nigdy nie był tak wzburzony, nie spuścił oczu, skoro Bianka, zapominając na chwilę przebierać klocek, nagle nań spojrzała. Ale i ona nie odwróciła wzroku; Sulpicyusz zbladł jak mara, czując źrenice Bianki, ogniście weń wpatrzone.

Wrażenie to było dla niego zabójcze. W jednej chwili odgadł, jaką burzę wzniecały w tej kobiecie panieństwo i nudy prowincjonalne; zrozumiał, że gdyby miał odwagę takiego Juliana Sorel, należałaby do niego.

Nagle zerwał się z miejsca, przystąpił do niej i zanim zdołała zawołać: „Co robisz?...“ objął ją szalonym uściskiem i o dwa kroki od uspiętego ojca, pocałunkiem zamknął jej usta!

Sromotne, nieczne były te miłości Sulpicyusza z panną de Saint-Avé. Przychodził po nocach, skradając się w cieniu jak złodziej, skoro księżyc świecił, rzucał się w ciemny kąt bramy, gdy pośłyszał kroki spóźnionego przechodnia, zdawał ostrożność, zbliżając się do starożytnego domu.

Miał klucz starannie nasmarowany oliwą i wchodził po ciemku, macając jedną ręką ścianę a w drugiej niosąc obuwie, gdyż była to staroświecka drewniana budowla, skrzypiąca za najmniejszym wstrząśnięciem. Bardzo powoli wstępował na górę, starając się stawiać jak najlżejsze kroki, wstrzymując oddech, zatrzymując się na każdym stopniu. W ciszę się wsłuchując, słyszał drugi oddech, który również starzno się stłumić, lecz nadaremnie, bo zbyt silne wzruszenie, co sekunda, wydawało głuche i głębokie westchnienie. Nakoniec czyjaś ręka wyciągała się do niego, prowadziła go ostrożnie, ostrożnie... poczem następowała chwila rozkoszy wśród trwoży, pocałunków mrożonych obawą, pieścot, które przerywał najmniejszy szmer, bijący zegar, lub kropla wody padająca z kranu, w sąsiednim pokoju. Ci nieszczęśni kochankowie, ogarnięci byli przestraczem, czując uderzenia serc, kiedy się trzymali w uścisku i przez dziwną karę nie-

bios, nie mogli się ludzić co do swej pędości, gdy wymawiali choćby jaknajciszej, kłamliwe słowa miłości!

Gdyż oni się nie kochali: ulegli tylko zmysłom i szli dalej przez tchórzostwo. Wstydzieli się przyznać sobie, że są tak nikczemni, każde z nich bowiem przypuszczało w drugiej stronie szczere uczucie. Skoro byli rozłączeni i on rozmyślał nad tem, że przynosi hańbę swemu dobroczyńcy, a ona, że kała dom ojcowski, brzydzili się sobą i to im rozdzierało serca.

— A gdyby nas kto podpatrzył!—szepnęła mu pewnego razu na ucho, drząc cała.

— Myślałem o tem — odrzekł równie cicho — ale bądź spokojna, mam sposób wszystko ocalić... Ale gdy to nastąpi, będzie to coś strasznego!

Nalegał, aby przyzwyczaiła domowników do tego, by, niby do rozcinania książek leżał w jej sypialnym pokoju nóż, sztylet perski, który się poniewierał w salonie. Sądząc, że jej kochanek chce, by się oboje zabili w razie niespodzianki, pełna wstrętu do życia, była mu posłuszną i udawała, że przez zapomnienie zostawia broń w swoim pokoju.

* * *

To co musiało nastąpić, nastąpiło.

Pewnej nocy, wchodząc do pokoju swej kochanki, Sulpicyusz, potknął się i upadł, z wielkim hałasem pociągając za sobą krzesło.

— Jesteśmy zgubieni! — rzekła Bianka zdławionym głosem.

Rzeczywiście, cały dom był już w poruszeniu.

Gdy panna de Saint-Avé, podniosła roletę i światło księżycy zalało pokój, ujrzała Sulpicyusza chwytającego za sztylet perski.

— Zabijemy się, prawda? — zawołała z radością, upatrując w tem zbawienie.

— Nie — odpowiedział głośno — ja jeden tylko muszę.

Ale w tej chwili posłyszała kroki nadchodzącego dziadka, mieszkała bowiem ponad nim, słychać było, że woła:

— Loïc, Loïc, do mnie! Słyszę głos mężki u mojej córki... Chodźże Loïc i zabierz z sobą strzelbę... w mym domu nieszczęście lub hańba.

Wówczas Sulpicyusz wziął za rękę Biankę i powiedział, patrząc jej prosto w oczy:

— Jestem wielkim przestepcą, lecz muszę przynajmniej ocalić honor twój i twego ojca. Skoro baron wejdzie, ja żyć już nie będę. Powiedz mu, że przyszedł do ciebie w złych zamiarach... i żeś mię zabiła we własnej obronie.

Po tych słowach, zatopił sztylet w sercu i padł na wznak.

Było to w samą porę, stary baron odmykał bowiem drzwi i zjawił się w pokoju, w długim szlafroku, z rozczochranym siwym włosom, ze świecą w jednym a z pistoletem w drugim ręku, z okro-

pną miną, srogięgo wykonawcy prawa. Loïc stał za nim.

Ale ujrawszy trupa Sulpicyusza na dywanie, ze sztyletem w piersiach, baron cofnął się o jeden krok, osłupiały, nic nie rozumiejąc.

Bianka, która na wpeł martwa, padła przy łóżku, przypomniawszy sobie ostatnie słowa Sulpicyusza i na pytające wejrzenie ojca, odpowiedziała złamanym głosem, wskazując na zwłoki:

— Tak, przyszedł tu, żeby mię zelżyć... Broniłam się... i oto skutek!

Stary szlachcio, wydał radośny okrzyk, drżący cały postawił na stole świecę, złożył broń, podbiegł do Bianki i przycisnął ją do piersi, na której ukryła twarz z przerażeniem.

— Jesteś prawdziwą de Saint-Avé—rzekł on.—
Dziękuję ci, moja córko!

W tej chwili rozległ się w pokoju jęk tak bolesny, iż Bianka podniosła głowę i ujrzała ojca Loïc, klęczącego przy trupie syna. Wyciągając ku niej błagalnie ręce, zawołał, gdy nań spojrzała:

— Wybacz, pani!

Honor był ocalony.

* * *

Loïc Huelgoat umarł ze zmartwienia w dwa tygodnie potem, baron wkrótce za nim, lecz w pierwszej był świadkiem tryumfu swej wnuczki, która dla formy musiała stawać przed sądem, gdzie obrona jej przyjętą była z zapalem.

Panna de Saint Avé została starą panną i dotąd jeszcze cudzoziemcom pokazują dom na ulicy des Orfèvres, z tem objaśnieniem:

„Tu mieszka sławna panna de Saint-Avé, najpiękniejsza niegdyś kobieta z całego miasta, która zabiła jednym pchnięciem sztyletu, syna swego sługi za to, że ją chciał zelżyć... Cierpi na sercową chorobę od tego wypadku... łatwo to pojąć... biedna panna! Powiadają, że zimy nie przeżyje... Szkoda jej, nieprawdaz? Dzielną kobietą!“

L w i P a z u r .

Lejtnant okrętowy, Julian de Rhé, powrócił ze swej stacyi w Kochinchinie, w bardzo smutnym stanie zdrowia i kiedy po trzech długich miesiącach choroby w rodzicielskim domu w Touraine, zaczął przychodzić do siebie i mógł przejść ze sto kroków po tarasie nad brzegiem Loary, pomiędzy matką i siostrą, które pielęgnowały go z taką miłością, doświadczał jeszcze niepokojących dreszczy, ile razy zadał zimny już wiatr jesienny.

— Udaj się pan do Pau na zimę — radził doktor — klimat tamtejszy łagodny i nie zbyt gorący uspakaja... Właśnie tego panu potrzeba... za kwartał powrócisz do matki zupełnie zdrowym.

W skutek tego, w połowie listopada, wsparty o opromienione słońcem okno w hotelu Garnières, Julian de Rhé, przypatrywał się cudnej panoramie Pyreneów; palił wyborne cygarety, które jednak jako rekonwalescentowi nie smakowały, przypominając mu palenie w skrytości pomiędzy

pomostami *Borda* i wrażenie z szesnastego roku życia.

— Więc to jest Pau... alez tu pełno ładnych kobiet—zauważył młodzieniec, gdy poraz pierwszy udał się na królewski plac publiczny, aby posłuchać muzyki wojskowej i przejść się trochę po słońcu, przed statuą, w stylu trubadurów, dobrze króla Henryka. Chociaż nie był ani rozpustnikiem, ani fanfaronem, nasz marynarz, nabrawszy nowego smaku do życia, włożył czapkę mundurową, surdut z trzema złotymi galonami i z czerwoną wstążeczką legii honorowej w dziurce od guzika, którą matka własnoręcznie mu włożyła na łóżku; był tak chory, że sądził, iż ten order, służyć mu będzie tylko jeden raz, na czarnym całunie trumny.

Jak on dobrze jednak zrobił, że przybył do Paul! Tak tam było wszystko rozkoszne: słońce, które grzało nie piekło, śliczny lazur nieba, rozległy krajobraz, tak oddalony amfiteatr wzgórz; a jeszcze dalej, śnieżne szczyty gór w obłokach. Tak było zabawnie krążyć w tłumie różnych narodowości, pomiędzy piękniemi cudzoziemkami i słyszeć narzecza całej Europy, zlewające się z sobą, jak różnorodne śpiewy ptaków w ptaszarni. Wprawdzie zdarzały się czasami przykre spotkania, naprzykład z tym młodym angikiem, w ostatnim stopniu suchot, którego sługa woził w wózku, ukrytego pod pledami i w *cache-nez*, z martwym wzrokiem i czarnym

respiratorem na ustach. Zimno przechodziło na ten widok; ale gdy minęło pierwsze wrażenie li-
tości, bo człowiek jest okropnym egoistą!—Julian
de Rhé myślał sobie, że i on mógł przerażać lu-
dzi, kiedy wylądował w Tulonie, chudy jak szkie-
let, z czekoladową obwódką dokoła oczu, ale że
obecnie jest całkiem zdrow, chociaż mu wielkie
niebezpieczeństwo groziło.

Napawając się pełną piersią ciepłym powie-
trzem, drgając z rozkosznych uczuć, obłany cie-
płami promieniami słońca, starannie ubrany, świe-
żo ogolony, dumny ze swej nowej rozetki, Julian
de Rhé radował się że żyje, rozdawał jałmużnę
żebrakom, zatrzymywał wzrok na pięknych ko-
bietach i rozczulony, przystawał przy tęgich
dziewczynkach amerykańskich, które ubrane
w pończochy i rękawiczki czarne i krótkie białe
sukienki, wzięwszy się za ręce tańczyły dokoła
drzewa na Placu Królewskim, w takt muzyki
pułkowej.

* * *

Co za sprzyjające okoliczności do zakochania
się, nieprawda? To też szczęśliwy rekonwa-
lescent został rażony tym piorunem w dniu, kie-
dy poraz pierwszy ujrzał pannę Olę Babarin,
najpiękniejszą dziewczynę z ruskiej kolonii, zsia-
dającą z konia przed hotelem Gassion, gdzie
z matką mieszkała.

Było to około piątej po południu i wracała z polowania na lisa. Pięciu czy sześciu wielbicieli w czerwonych reitrokach, którzy jej towarzyszyli na polowaniu, pośpieszyło również zsiąść z koni i jeden przez drugiego, ubiegali się o podanie jej ręki. Zsunąwszy się na ramię pierwszego co podbiegł i stuknąwszy zaraz w stół pod wendę, gałką od szpicruty, kazała sobie podać filiżankę mleka, którą wypila jednym tchem, stojąc z kibicią wysmukłą bogini Primaticc'a, uwydatnioną w czarnej amazonce; włosy koloru miedzi—wymykały jej się w nieładzie z pod męzkiego kapelusza, spadając na plecy. Śmiała się, trzymając oburącz pustą filiżankę, zamysłona i jakby upojona chłodzącym napojem, z dwoma białymi wąsikami od mleka na kątach ust. Przy zachodzącym słońcu promienne jej włosy, wyglądały jakby aureola.

Nagle, wpadłszy w zadumę, postawiła filiżankę na stole, lekko skinęła głową, na znak pożegnania gromadce czerwonych fraków i weszła cesarskim krokiem do hotelu, uderzając szpicrutą po spódnicy.

W trzy dni potem, Julian de Rhé, który nie przestawał powtarzać znajomym: „Kto ona jest?... szaleję za nią... uwielbiam ją.. i t. d.,“ został przedstawiony paniom Babarinym—co nie było zbyt trudne — i odrazu zaciągnął się do plutonu wielbicieli pięknej rosyanki.

Czy rzeczywiście była rosyanką, ta wspaniała istota, która od początku sezonu, galopowała cały dzień, a walcowała całą noc? Tak, przez swego mniemanego ojca, przez pierwszego męża jej matki, hrabiego Babarina. Lecz wszyscy wiedzieli doskonale, że matka rozwiodła się właśnie w czasie przyścia na świat córki i że pani Babarin, z domu Jacobson, córka bankiera z Nowego Jorku, oddawna pozostawała, prawie publicznie, w stosunku miłosnym, z jecnym z książąt z królewskiego domu na Północy, z jakimś Chrystyanem albo Oskarem i Olga musiała być jego córką. Czy miało jaką narodowość, to dziecko wychowane: to w jakiejś *nursery* szkockiej, to na pensyi genewskiej dla małych dzieci, to w klasztorze neapolitańskim, to dziecko, które spędziło trzecią część swych nocy na poduszkach wagonowych i widziało przesuujące się w pamięci, jakby w stereoskopie, same miasta kuracyjne, kąpiele morskie, stacje zimowe, oraz inne miejscowości, gdzie się zjeżdżał wytkwintny świat, gdzie matka jej dotąd jeszcze piękna, pomimo zbytnej czerwoności, wlokła od piętnastu lat swe nudy starzejącej się zalotnicy, z samowarem i z małpami *Uistiti*. Niestety! nie miała ojczyzny ta osobliwsza dziewczyna; wstydliva jak dziewica, a zuchowata jak chłopiec, która drwiąc z samej siebie, mówiła:

— Ja nie jestem ani z Londynu, ani z Paryża, ani z Wiednia, ani z Petersburga... tylko z *table d'hôte*.

Czy miała krewnych? Bynajmniej. Prawdziwy jej ojciec, ów Oskar lub Chrystyan, o którym ciągle wspominała pani Babarin, umarł przed kilku laty; co się zaś tyczy hr. Babarina, ojca jej według prawa, ten się nią nigdy nie zajmował. Zrujnowany do szczeru, nie miał innego sposobu do życia, prócz strzelby niechybiającej nigdy celu; żył więc z wygrywanych nagród za trafne strzelanie do gołębi, jakby jaki ucywilizowany czerwonoskórca.

Hrabina zaś, pomimo chwilowych napadów macierzyńskiej miłości, które niecierpliwiły wszystkich, jako tchnące fałszem, odznaczała się takim niezwalczonym egoizmem, że wówczas kiedy Olga mając lat ośm, zapadła na tyfus i tylko co nie umarła, doglądając córeczki przez wzgląd na ludzkie języki, ani razu nie zapomniała włożyć rękawiczek na noc, dla zachowania białości rąk.

Po tem wszystkiem, kiedy Julian zapisał się do szwadronu czyczysbeów, nieustannie manewrującego koło Olgi i pokochał zapamiętałe tę dziwaczną i burzliwą dziewczynę, która pozwalała patrzeć sobie w oczy i która tego dnia, kiedy ktoś ze wspólnych znajomych przedstawił jej lejtnanta okrętu, powiedziała mu, zapalając papieros ferezli:

— Al to pan tak jesteś zakochany we mnie?
Dzień dobry panu!

Po tem silnie, po mężku, uścisnęła go za rękę.

Pocziwy i zacyjny marynarz rozkochał się w niej tembardziej, że wkrótce zaczął ją rozumieć i załować. Nie mylił się; Olga była fantastyczną, źle wychowaną, ale wcale nie zalotną; miała duszę pełną dumy i szcerości. Kto wie? Może czuła próżnię swego życia ruchliwego, oddanego uciechom? Co pewna, to że surowo sądziła młodzież hasającą koło niej konno, w czasie polowania na lisa i codzien zapisującą się na jej no tatniku balowym.

Wszyscy jej pożąдали, a żaden śnać nie szanował; bo nikt się nie odważał prosić ją o rękę. Ztąd traktowała ich ostro i powoływała do poważnego obejścia, jakby pociągnięciem wędzidła, jeżeli się nadto zbliżali ustami do jej szyi w rozmowie, albo w wirze walca; lub też kiedy za długo ściskali rękę, którą wyciągała do nich po koleżeńsku.

Julian, przez delikatność uczuć, odgadł ją; często bowiem zdarza się, że niewinni najtrafniej widzą — i odkrył skarb w tej dziewczynie rasowej, a tak nieszczęśliwej w głębi. Rozkochał się z początku w tej krasie i doznawał zawrotu głowy, kiedy w przestanku tańca czuł, że się opiera na jego ramieniu ta ruda piękność z czarnymi oczami i cerą świeżą jak róża i mówiąc do niego bez przesady, upajając go gwiazdzistemi oczami i tchnieniem fiołków. Lecz kochał ją przede wszystkim za jej cierpienia, z taką dumą znoszone. Serce mu się ścisnęło, gdy dostrzegł po-

nure i bolesne wejrzenie Olgi, rzucone na matkę, gdy ta przyjmowała gości od czwartej do szóstej godziny. Siedząc odwrócona od światła, żeby ukryć ozarne plamki na bokach nosa, na które nie pomagały żadne specyfiki, popisywała się, prawie bez obsłonek, królewskimi podbojami na północnych dworach.

Ach! ożenić się z nią! Wyrwać ją z tego otoczenia pełnego niebezpieczeństw, zawieść ją do matki swojej, tej świętej kobiety, dać jej poznać pokrzepiającą i czystą atmosferę prawdziwej rodziny, jednym słowem, zbawić ją. Myślał ciągle o tem i tylko o tem! Zdawało mu się czasami, że Olga odgaduje jego życzenia i kiedy w czasie recepcyi matki, po koleżeńsku, z prostotą i otwartością, podawała marynarzowi szklankę herbaty przyrządzonej po rusku, widział w głębi jej oczu, jakby oddalone i łagodne światelko, które zdawało się odpowiadać na jego szlachetne współczucie i niewysłowioną tkliwość.

* * *

— Tak pani, mój urlop, jako rekonwalescenta, upływa za tydzień. Jutro opuszczę Pau, spędzę kilka dni w Touraine u siostry, zkąd udam się do Brestu, jako adjutant morskiego prefekta; a za rok lub półtora, znowu puszcze się na morze.

Byli sami w kącie salonu czytelnicy hotelowej, stojąc przy otwartem oknie... pod niebem iskrzącem się milionami gwiazd.

— A więc żegnam pana i życzę szczęśliwej podróży—odpowiedziała Olga głosem pewnym i naturalnym. — Ale mam cię o coś prosić, panie de Rhé... oto daj mi ten lwi pazur, oprawny w kółko złote, które nosisz jako dewizkę... Mam na niego ochotę. Musi pochodzić od lwa, którego zabiłeś niegdyś na polowaniu w Afryce, wszak prawda? Podoba mi się to cacko... Daj mi je pan; zachowam na pamiątkę.

Odczepiwszy brelok, położył go Julian na ręku dziewczyny i nagle, porywając tę rękę w swe dłonie, rzekł po cichu:

— Kocham cię pani! czy chcesz być moją żoną?

Olga zwolna wycofała rękę, zatrzymując lwi pazur; potem ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, patrzyła przez chwilę Julianowi prosto w oczy, nie okazując wzruszenia.

— Nie — wyrzekła nakoniec — nie! Jednakże, jesteś pan pierwszym, coś mnie pokochał i wyjaśnił to w tak uczciwy sposób, ale dlatego właśnie odmawiam.

— Olgo! — wykrzyknął Julian wzburzonym głosem.

— Posłuchaj mię, pan — odpowiedziała, przerywając mu giestem — i zrozumiej, dlaczego odrzucam twą prośbę; oto nie czuję się godną ciebie i uczyniłabym cię nieszczęśliwym... Przypomniawszy sobie ten list od siostry, nad którym ubolewał, że zginął... tyś go tu upuścił, a ja podniosłam i przeczytałam... Siostra odpowiadała na

twe zwierzenia z uczuć dla mnie... dawno odgadłam... cieszyła się z tego jak proste i cnotliwe dziecko; lecz słowa jej dały mi pojęcie, jak głębocka i przestraszająca różnica zachodzi pomiędzy prawdziwą dziewicą a mną!... Czytając ten list, pełen szczegółów poufnych i tkliwych, zrozumiałam, że twoja rodzina złożona jest z ludzi zacnych, do których tylko też zacząć możesz wprowadzić kobietę... Dziękuj Bogu, panie de Rhé, że masz siwowłosą matkę, o której nie możesz pomyśleć, bez błogiego, słodkiego uczucia w sercu... Ja także mam matkę, ja także!... ale byłam zmuszoną ją sądzić... Pan widziałeś tylko jej śmieszności, ja znam ją lepiej... Jeżeli ją poprosisz o moją rękę, odmówi, bo jesteś z prostej szlachty i nie masz wielkiego majątku. Moja matka postanowiła dla mnie świetną karierę, albo... albo obmyśli co innego. Prawda, że nadto doświadczona na dziewiętnastoletnią dziewczynę? To okropne, przyznasz pan. Cóż robić? W tym celu przebyliśmy zimę w Nizy, lato w Skéweninge, a obecnie jesteśmy w Pau! Oto dlaczego przenosimy się, jakby towar jaki z jednego końca Europy na drugi, dlaczego sypiamy zawsze w łózkach hotelowych i jadamy tylko przy *table d'hôte*. Moja matka była prawie księżną z domu królewskiego, rozumiesz to i wpaja to we mnie od piętnastego roku życia, że mam zostać najmniej arcyksiężniczką, chociażby z lewej ręki... Cóż mówić o ślubie ze szlachetką, prawie mie-

szczaninem!... W jej oczach poniżałabym się. Czuję, iż wzbudzam wstręt w panu i wstyd mi za siebie! Nie, zapomnij! Nie, nie chciałbyś przedstawić matce swej, narzeczonej, żony, w której sercu tyle jest mętów. Zresztą, jam tylko kosztownym, niepożytecznym przedmiotem zbytku, którego nie potrzebujesz i który ci nie da szczęścia... a co najważniejsza, to że pana wcale nie kocham, bo ja nie kocham nikogo... Miłość zalicza się do wzbronionych mi rzeczy. Żegnam cię więc, panie de Rhé, podnieś się i odejdz, nie mówiąc ani słowa, zaklinam cię... Ale pozostawisz mi lwi pazur, nieprawda? Będzie mi przypominał uczciwego chłopca, względem którego postąpiłam jak uczciwa dziewczyna... Nie mów już nic i rozstańmy się na zawsze, żegnam!

* * *

We trzy lata potem, transportowy parowiec *Du Couëdic*, wracający z Senegalu, zatrzymał się przy wyspach Kanaryjskich, żeby zabrać pocztę i dalej puścić się w drogę, w noc burzliwą, kiedy wagenmeister wszedł pomiędzy oficerów i położył na stole pakę gazet.

Julian de Rhé otworzył pismo informacyi paryżan, z przed trzech miesięcy prawie, i przeczytał pod rubryką: *Déplacements et Villagiatures*, następujące słowa:

„Jego Królewska Mość król Szwedzki, podróżujący, jak wiadomo, w najściślejszem incognito,

pod imieniem hrabiego d'Augsbourg, jest od wczoraj wieczorem w naszych murach.

„Nieprzyjemna rzecz zdarzyła się na dworcu kolejowym w chwili przybycia króla: Baronowa de Hall, która tylko w towarzystwie matki, hrabiny Babarin, podróżuje z Jego Królewską Mością, zgubiła przedmiot, małej wartości, lecz do którego pani de Hall, jak się zdaje, przywiązywała wiele. Był to po prostu lwi pazur, przytwierdzony do złotego kółka.

„Pani de Hall obiecała dwa tysiące franków temu, kto jej go odniesie”.

— Julianie, gotówes zapomnieć godzinę twojej warty.

— Dziękuję ci — odpowiedział Julian de Rhé i rzucił gazetę, jakby ze snu zbudzony.

Sternik zauważył tej nocy, że oficer służbowy, znajdujący się z nim przy rudlu, często przykładł chustkę do oczu, chociaż, pomimo silnego wiatru i kołyszącego się morza, nie dochodziły tam drobne fale bryzgi.

Siostra mleczna.

Piękna pani Bayard siedziała w oszklonym gabineczku w głębi magazynu, w czarnej sukni, we włosach gładko zaczesanych i z przejęciem wciągała rachunki do ogromnej księgi z miedzianymi narożnikami, kiedy mąż jej, powracając ze swych rannych wycieczek, zatrzymał się na progu, ażeby wylać posługaczy, którzy niedosyć spieszyli z uprzątnięciem wozu, przybyłego z towarem z drogi żelaznej.

— Powiem ci złą nowinę — odezwała się pani Bayard, wycierając pióro w kubeczku ze śrutem, gdy mąż wchodził do jej oszklonej klatki. — Ta biedna Voisin umarła.

— Mamka Leonal... Ach, biedna kobieta! Cóż się dzieje z jej córeczką?

— Właśnie to jest najsmutniejsze, mój drogi... Krewna tej biednej Voisin pisze do mnie, że są nadto biedni, aby się mogli podjąć utrzymania tej dziewczynki i że zmuszeni będą odesłać ją do przytułku. Oj, ci chłopci!

Pan Bayard milczał przez chwilę, drapiąc swą jasną i gęstą brodę; poczem spojrzawszy na żonę, rzekł dobrotliwie:

— Słuchaj, Mimi, przecież to mleczna siostra Leona. Czybyśmy jej nie przytulili?

— Przychodziło mi to do głowy—odpowiedziała z prostotą piękna kupcowa.

— A więc, rzecz skończona! — wykrzyknął gruby Bayard i nie zważając na to, że patrzą súbiecki i chłopcy sklepowi, nachylił się ku żonie i pocałował ją w czoło.

— Pocziwa z ciebie kobieta, Mimi; weźmiemy małą Norinę do siebie i będziemy ją wychowywali razem z Leonem. Przecież to nas nie zrujnuje... Zresztą, zrobiłem świetny interes z chiną... W niedzielę pojedziemy do Argenteuil, dobrze? Przy sposobności, zabawimy się.

* * *

Pocziwi ludziska z tych Bayardów! Prawdziwa chwała drogistów! Ich ślub połączył dwa domy oddawna sobie nieprzyjazne. Bayard bowiem był synem *Pilon d' Argent*, założonego przez jego pradziada w 1756 r. przy ulicy *Vieille-du-Temple* i ożenił się z córką właściciela *Offrande à Esculape*, przy ulicy *Lombards*, zakładu sięgającego czasów pierwszego cesarstwa, jak wskazywał szyld; kopia z obrazu sławnego *Guérin*. Pocziwi, co się nazywa, pocziwi ludzie! Niech

co chcą mówią, w starym handlu paryzkim, jest jeszcze wiele im podobnych. Konserwatystów starych tradycyj, rozdzielających poświęcany chleb w parafiach, uczęszczających w niedzielę na operę komiczną, do łóż drugiego piętra i nie fałszujących wagi. Proboszcz *des Blancs-Manteaux*, skojarzył to małżeństwo ze swym kolegą z *Saint-Merry*. Pierwszy z nich dysponował na śmierć ojca Bayarda i załakł się tego, żeby dwudziesto-pięć latni młodzieniec, sam jeden stanął na czelę tak wielkiego domu jak *Pilon d'Argent*, naj-sławniejszego z ipekakuany; drugi zaś, miał szczerę chęci wydać za mąż pannę Simonin, którą przygotowywał do pierwszej komunii, córkę staro Simonin, dygnitarza parafialnego, z *Offrande à Esculape*, specjalisty w kamforze. Układy powiodły się: kamfora i ipekakuana zostały połączone świętymi węzłami ślubu; poczem nastąpił obiad i bal u wielkiego Véfour'a. Obecnie pracując od lat dziesięciu spokojnie, bez przerwy, zimą i latem, w swej szklanej klatce, pani Bayard, z bladą, właściwą brunetkom cerą i w swych gładko zaczesanych włosach, rozmarzała wszystkich młodych subiektów z dzielnicy Sainte Croix de la Bretonnerie.

Jednakże przez długi czas panował smutek w tem dobranem małżeństwie, jak chmurka na czystem niebie; sukcesor kazał długo czekać na siebie; dopiero przy końcu piątego roku, przyszedł na świat mały Leon. Łatwo odgadnąć z ja-

ką radością był powitany. Będzie więc można kiedyś napisać na szyldzie pod *Pilon d'Argent* te pamiętne słowa: „Bayard i Syn”. Ponieważ dziecię przybyło w chwili gotowania rybiego kleju, pani Bayard, której obecność w sklepie była niezbędnie potrzebną, nie mogła i myśleć o karmieniu dziecka; nie chcąc wziąć mamki do domu, z obawy narażenia nowonarodzonego na niezdrowe powietrze w tym kącie starego Paryża, zadawała się odwiedzaniem malca co niedzielę, w Argenteuil u matki Voisin, którą, jak się łatwo domyśleć, zaopatrywała w kawę, cukier, mydło i tym podobne zapasy. Po upływie półtora roku, matka Voisin, oddała dziecko w kwitnym stanie i od dwu lat bona, starannie wybrana, chodziła z dzieckiem na skwer de la Tour Saint-Jacques, gdzie budziło podziw rumianą swą buzią.

Pocziwi Bayardowie, dowiedziawszy się o śmierci matki Voisin, nie mogli znieść tej myśli, żeby dziewczynka, karmiona tą samą piersią, co ich Leon, zostawała na łasce miłosierdzia publicznego; udali się więc do Argenteuil, ażeby ją zabrać.

Biedaczka! od dwóch tygodni matka jej spoczywała na cmentarzu, ją zaś zabrał do siebie krewny, utrzymujący szynk z bilardem i chociaż nie miała lat pięciu, już jej kazał płukać kufle.

Państwu Bayard wydała się przesliczną tą dziewczynka z dużymi błękitnymi oczami i jasnymi włoskami, wymykającemi się z pod lichego, czarnego żałobnego czepeczka. Leon uściskał

mleczną siostrzyczkę, a krewny, który tegoż ranka, wypoliczkował sierotkę za to, że się ociągała z zamiataniem sali, rozczulił się wobec paryżan, jak gdyby odjazd Noriny serce mu rozdzierał.

Gdy jednak zamówili sute śniadanie, pocieszył się prędko.

Była to pogodna, czerwcową niedzielą. Pan Bayard odezwał się zatem, że należy skorzystać z tego, iż są na wsi i użyć świeżego powietrza. Żona jego, opiąwszy suknię szpilkami, wraz z dziećmi i z boną poszła zbierać do bukietu, kwiaty polne na sąsiedniej łące, a drogiasta, bynajmniej niedumny, zaprosił krewnego szynkarsza na kieliszek wermuthu; usiedli więc przy bilardzie, okrytym trupami much. Chociaż jedli śniadanie w altanie ogołoconej z liści, pod promieniami południowego słońca, wszystkim było dobrze i przyjemnie. Pani Bayard przywiązała kapelusz wstążkami do kraty altany, mąż w słomianej wioślarskiej czapce, pożyczonej od krewnego, wesoło rozkrawał kaczkę pieczoną, a Leonek i Norinka, prędko zaprzyjaźnieni, opróżniali miskę sera ze śmietaną. Potem ta rodzina mieszcuchów paryżkich, przebywająca zazwyczaj na ulicy wilgotnej nawet w czasie letnich upałów, rozkoszowała się na trawie, pływała łódką, wyyskując w zupełności tę idyllę à la Paul de Kock.

Tak, była nawet chwila, gdy powracali łodzią, a słońce zachodziło przepysznie i snuły się zółta

we obłoki na tle zielonem, że pani Bayard, surowym swym wzrokiem magnetyzująca chłopców sklepowych, zaśpiewała znaną melodyę: *Vers les rives de France*, w takt wiosel poruszanych przez męża, siedzącego bez surduta u steru.

Obiad spożyto tam gdzie i śniadanie, ale ta druga biesiada, była smutniejsza; nocne ómy palące się w płomieniach świec, przestraszały dzieci, a pani Bayard tak była zmęczoua, że nie mogła odgadnąć naiwnego rebusa, wymalowanego na talerzu.

Z tem wszystkiem, był to bardzo miły dzień; gdy wracali wagonem pierwszej klasy, niczego sobie nie żalowali. Pani Bayard, schyliwszy głowę na ramię męża i patrząc na dzieci śpiące na kolanach bony, rzekła uszczęśliwionym głosem:

— Słuchaj, Ferdynandzie, spełniamy dobry uczynek— przytulając tę biedaczkę.— Zresztą będzie ona towarzyszką Leonka, będą z sobą jak brat z siostrą.

* * *

Rzeczywiście wzrastali obok siebie, jakby rodzeństwo. Niezaprzeczenie byli to poczciwi ludzie z tych Bayardów. Nie robili żadnej różnicy pomiędzy ukochanym swym synem i biedną sierotą, synem, który kiedyś miał jako „Bayard i Syn,” zmonopolizować rabarbarum i bobrową esencyę; jak własną córkę kochali Norinkę, dziew-

czynkę roztropną, miluchną, delikatną zarówno pod względem umysłowym jako i fizycznym. Obecnie bona prowadziła dwoje dzieci w pogodny dzień na skwer la Tour Saint-Jacques, a wieczorem, przy rodzinnym stole, stały obok siebie dwa wysokie krzeselka dla mlecznego rodzeństwa.

Wkrótce państwo Bayard spostrzegli, że Norinka wywiera najlepszy wpływ na Leona. Żywa, więcej nerwowa, zdolniejsza do nauki od tego chłopca lymfatycznego i ociężałego, zdawała się udzielać mu żywości swej i ognia.

— Ona go podżega — mówiła pani Bayard.

Od czasu jak miał siostrzyczkę przy sobie widocznie ożywał się Leon i otrząsał z odrętwienia.

Gdy ich zaczęto uczyć czytać, Leon stanął jak mur na jednym z tych alfabetów, gdzie obok wymalowanego anioła jest litera A, obok znowu litera Z, co matkę o rozpacz przyprawiało; lecz jak tylko Norina, która się nauczyła sylabizowania w krótkim czasie, przyszła w pomoc malcowi, natychmiast okazał wielkie postępy.

Tak samo było, gdy ich posyłano do szkoły, utrzymywanej przez starą pannę Merlin, przy ulicy l'Homme-Armé. Według kłamliwej reklamy, jaką ta przełożona rozesłała pomiędzy kupców z tej dzielnicy, był tam „ogród,” to jest cztery tyki na piaszczystym podwórzu. Tak to pierwszego dnia, podczas rekreacji, naiwny Leonek, krzyknął przeraźliwie, ujrzawszy, że panna Merlin, zmuszona wypadkiem przerwać drutową ro

botę, zagłębia drut w swe wywatowane wdzięki. Jedna ze starszych, stojąca na pokucie w oślej czapce, napróżno silila się wytłumaczyć to zjawisko jemu i Norince, chłopiec zachował na zawsze wobec panny Merlin, wrażenie przesądnej trwogi.

Paraliżowałyby to jego dziecięce zdolności i przeszkadzałyby mu śledzić w klasie za pałeczką panny Merlin, gdy nosowym głosem objaśniała mapę Europy lub uczyła wag i miar, gdyby Norinka nie uspakajała go i nie dodawała mu otuchy.

Odrazu stała się ona najlepszą uczenicą, a dla leniwego, nierozwiniętego Leona była siostrą, doradczynią i pilną korepetytorką. O czwartej godzinie, bona przyprowadzała dzieci do magazynu, gdzie siadały obok pani Bayard w klatce oszkłonej i Norinka, otwierając książkę lub sekstern, tłumaczyła Leonkowi zadania źle przezeń zrozumiane, albo też powtarzała z nim lekcję źle wyuczoną.

— Bóg nas wynagradza—mówiła czasami pani Bayard do męża, gdy się już położyli spać. — Ta Norinka, to skarb prawdziwy... Taka rozsądna i pilna! Dzisiaj znowu słyszałam, jak pracowała nad Leonkiem... Zdaje mi się, że gdyby nie ona, nigdyby się nie nauczył mnożenia.

— Bądź spokojna, Mimi—odpowiadał Bayard—widzę ja to wszystko... Interesa nasze są w wybornym stanie, będziemy więc mogli wyposażyć ją i wydać za męża, gdy przyjdzie czas na to.

Przyszedł nakoniec ten czas, a przychodzi on zwykle zbyt prędko! W szklanej klatce siedzi piękna i wysmukła blondynka, obok pani Bayard u której w czarnych warkoczach, srebrne promyki zaczęły się zjawiać. Teraz Norina pisze w wielkiej księdze z miedzianemi narożnikami, a przy brana jej matka zazwyczaj coś haftuje.

Siódma godzina, panowie powinni już być w domu; trzeba będzie zamknąć sklep, bo wiatr północny porusza i gasi płomienie gazowe.

Nakoniec wchodzi! Bayard obecnie ma duży brzuch i breloki, a Leon, dopiero od miesiąca wykwalifikowany na aptekarza pierwszej klasy, wyrósł na co się nazywa pięknego chłopca.

— Dzień dobry, Mimi, dzień dobry Norinko. Chodźmy prędej na obiad. Powiem wam wielką nowinę przy zupie—powiedział drogista.

Idą na górę do jadalnego pokoju i podczas kiedy pani Bayard siedząca pod barometrem, w kształcie liry, rozlewa zupę, mąż, zakładając serwetę za kamizelkę, patrzy na nią z figlarną miną i mówi:

— Wiesz, Mimi... interes załatwiony.

— Państwo Forget zgadzają się?

— Jak najchętniej... Leon zaślubi Hortensyę za pół roku... a synowa zamieszka z nami. Tak, Norinko, nie wiedziałaś nic dotąd, bo o takich rzeczach nie mówi się paniąkom, od roku, ale już przeszło, Leon jest zakochany w pannie Hortensyi Forget i męczy nas, by go z nią ożenić...

Nie poszło to zbyt trudno; jedno słowo wystarczyło, przecież Leon jest wyborną partya... Oto się tylko zahaczało, że chcemy mieć syna przy sobie... Nakoniec wszystko w porządku, mleczny twój brat otrzyma żonę, której pragnie. Spodziewam się, że cię to bardzo cieszy, Norinko?

— Bardzo mnie to cieszy — odezwała się.

O! głupi. O! ślepi! Nie usłyszeli głosu Noriny, kiedy im odpowiadała, tego głosu ponurego, bolesnego, który jest echem rozbitego serca. Nie widzieli, że zbladła i że jej głowa, która nagle stała się zbyt ciężka, chwiała się na prawo i na lewo, jak gdyby Norina miała zemdleć. Nic nie odgadli, nic nie zrozumieli i oddawna nic nie widzą i nie rozumieją. Jednakże kochają tę Norinę, co stanowi wdzięk i powab ich domu.

Myślą nawet, poczciwi ludziska, wydać ją wkrótce za mąż, za swego pierwszego subiekta, wdowca, który ma uciulany grosz i „wszystko, czego potrzeba, aby uczynić żonę szczęśliwą”. Leon także ją kocha z całego serca; kocha, ale tylko jako siostrę tkliwą i dobrą i nie odgaduje, ten rozpieszczony chłopiec, że biedna Norina jest w nim zakochana i że śmiertelne męki znosi. Nie, nawet tego wieczoru, kiedy jej zadają, mimowoli, największą katuszę, nie domyślają się prawdy i usną spokojnie, rozkoszując się słodkimi marzeniami o przyszłości, w tej chwili właśnie, kiedy, zamknawszy się w pokoju, oddzielonym cienką ścianą od przybranych rodziców, Norina

padnie na łóżko, odchodząc z bólu od przytomności i będzie gryzła poduszkę, aby stłumić łkania!

* * *

Bal skończony i w opróżniających się salonach, u świec dopalonych do końca, popękały niektóre profitki, a kawałki ich padają na woskowaną posadzkę.

Państwu Bayard zależało na tem, aby wesele, odbyło się u nich w domu. Ponieważ było to w środku lata, przy pomocy kwiatów, nadano świąteczny pozór mieszkaniu przy ulicy Vieille-de-Temple, w którym uroczyście zainstalowali synowę.

Nakoniec, wszystko się skończyło, młodzi małżonkowie, oddalili się do swych pokoi, gdzie ich zaprowadziła pani Bayard; wychodząc ztamtąd, zastała Norinę w saloniku, pomagającą służbie w gaszeniu światła. Czule ją uściskałszy, rzekła:

— Idź spać, moje dziecko... musisz być zmęczoną.

Potem dodała z uśmiechem: Niedługo twoja kolej nastąpi.

Nakoniec Norina pozostała sama w pokoju, który oświecał tylko lichtarz jej, postawiony na fortepianie.

— Mój Boże! jakże te kwiaty mocno pachną i jak mnie głowa boli.

Okropny dzień! ileż przecierpiała od chwili, kiedy klęcząc jak sługa, ze szpilkami w ustach,

u nóg tej Hortensyi, swej rywalki, upinała jej białe, atlasowy tren, aż do tego czasu, kiedy Leon, trzymając żonę w pól, przyciągnął do siebie ją, Norinkę i oboje złożyli jednocześnie pocałunki swe na jej czole.

Ach! zapach tych kwiatów jest nieznośny i czuje się odurzona.

Pada na fotel, znękana straszną migreną, zwiesza głowę, ściskając czoło oburącz, nie zamyka jednakże oczu, tylko wciąż patrzy na drzwi od pokoju, gdzie się zamknęli państwo młodzi i poza którymi dokonywa się tajemnica, rozdzierająca jej serce! Nagle ogarnia ją jakiś obłęd; ach! jakże jej dokucza zapach tych kwiatów! Tysiączne wspomnienia, cisną jej się do głowy, widzi w szynku d'Argenteuil siebie małą i tych paryżanów tak pięknie ubranych, co ją pieszcą. Ten piękny chłopczyk, z białym piórem przy kapeluszu, ją całuje... Potem, różne obrazy szybko przechodzą jej przez głowę: pensja panny Merlin, drut od roboty w jej piersiach, pałeczka, pokazująca tablicę miar i wag; skład aptecznych materyałów, w którym ciemno w niedzielę, bo okienice zamknięte a ona się bawi z Leonkiem w chowanego poza workami i beczkami.

Mój Boże, czyżby odchodziła od zmysłów? Nie może się powstrzymać od nucenia tego walca, którego tańczyła przed chwilą z Leonem... ale ona się dusi... ach te kwiaty!... Musi wyjść z tamąd a przynajmniej otworzyć okno... Lecz nie

może, niema siły podnieść się. Miałaby tak umrzeć? Czuje skronie ściśnięte, jakby w żelaznych kleszczach... ach, te różel... ten pomarańczowy kwiat!... Nakoniec robi wielkie wysilenie, wstaje wyprostowana i blada, okropnie blada w swej białej sukni. Lecz nagle słabnie, chwieje się i uderzając o ziemię najwpierw kolanami, a potem ramieniem, biedna Norina pada pod drzwiami małżeńskigo pokoju, zabita przez miłość swą i kwiaty.

Pieszczoszek.

Skoro świat wysokich finansów dowiedział się, że młoda pani Tichler jest „w interesującym stanie,” pierwszym wrażeniem było zadziwienie.

Przedewszystkiem nikt nie posądzał o takie zuchwalstwo tego Geldhaba, który mając przeszło lat pięćdziesiąt, ożenił się z młodzieńką osobą. Trudno nawet było zrozumieć powód tego małżeństwa, bo właśnie tylko co wybudował pałac, na ulicy Prony, dla swej protegowanej, Ludwiki Cavalier, a raczej Elizy Navet, której przybrane nazwisko, widniało na wszystkich afiszach. Ale Tichler był niegłupi: dobrze wiedział, co robi, zostając zięciem jednego z agentów giełdowych najlepszego imienia używającego w Paryżu, człowieka prawie ubogiego, który dawał córcie tylko dwakroć sto tysięcy franków posagu. Tak, Tichler robił doskonały interes, łącząc tę odrobioną pieniędzy uczciwie nabytych ze swemi osławionemi milionami. Widząc, że teraz zasiadają u niego do obiadów, których honory robiła jego

żona, ludzie zajmujący poważne stanowiska: notaryusze honorowi i rejenci banku, śmiał się z cicha i nadymał brzuch napchany truflami, na wspomnienie tego czasu, kiedy handlarz, żyd świeżo przybyły z Frankfurtu, włóczył się po zaułkach Łacińskiej dzielnicy i mając na swem ramieniu dwie lub trzy pary pantalonów, wykrzykiwał: handel! handel!

Co prawda, kosztowała go drogo ta ładna i zbyt kowna żona; rachunki krawca i jubilera nieraz mu czoło zachmurzały; ale przypominał sobie zaraz, jaki korzystny interes przeprowadzony, dzięki tym nowym stosunkom, przez wielką radę administracyi, złożonej z dawnych prefektów i tytułowanych nazwisk, myśląc więc o zapowiadającej się dobrze likwidacyi z końca miesiąca, mówił sobie z uśmiechem: „Bądź co bądź, świetny zrobiłem interes!”

Szczerze też był uszczęśliwiony, gdy mu żona oznajmiła, że zostanie ojcem. Skoro stan jej był stwierdzony, z bardzo przyzwoitą miną i z odcieniem dumy, właściwej w podobnych okolicznościach pięciodziesięcioletniemu człowiekowi, przyjmował powinszowania młodych giełdowiczów, w kołnierzach wydrzanych, którzy przechodzili pod perystyl Giełdy, by go nazwać zuchem.

Nie mogli oni jednak pogodzić jakoś tej ślicznej trzpiotki z ideą macierzyństwa. Jakto, będzie miała dziecko, ta wytworna paryżanka z modrem

okiem i cerą cytrynową, która wymyśliła do swych obiadowych tualet, tak wyzywająco wycięte staniki w kształcie asa pikowego? Zostanie matką ta królowa kotylionów, która w czasie bazaru na dobroczynność, sypzała za dwadzieścia pięć ludorów, najpierwszemu z finansistów, prawo dotknięcia się ustami do smagłej skóry jej okrągłego ramienia ponad rękawiczką szwedzką! Stara pani Bader, najgorszy język z całego przedmieścia Saint Honoré, która w dzień spisania ślubnego kontraktu pani Tichler, powiedziała te pamiętne słowa: „Ta kobieta będzie ohydną w pięćdziesiątym roku życia!” Otóż ta pani Bader oznajmiała każdemu, co jej chciał słuchać, że taka waryatka, jeśli nie coś gorszego, nie jest zdolna spełniać obowiązków matki rodziny.

* * *

Tymczasem, stało się inaczej. Wieszcza ta omyliła się, lub przynajmniej tak się zdawało z początku. Pani Tichler wydała na świat ogromnego chłopca i nawet urodziny Delfina Francyi, z błękitną wstęgą na kolebce, nie byłyby radośniej przyjęte, jak tego małego Gustawa. Wprawdzie skoro „książę nauki” po umyciu i spowinięciu przez służebne kobiety nowonarodzonego przedmiotu, bez włosów, bez zębów, ślepego, ze skórą czerwona i pomarszczoną jak na jabłku marynowanem, przedstawił się matce, młoda kobieta wykrzyknęła

zrazu: „Boże mój, jakież on brzydki!” — ale instynkt macierzyński wprędce wziął górę i wsparta na poduszkach, z interesującą bladocią na twarzy, bez wstrętu, ucałowała tę istotę żyjącą od pięciu minut, podobną w tej chwili do starego członka Akademii Napisów i Literatury pięknej.

Co się tyczy ojca, to się wyśmienicie zachowywał w tej okoliczności. W miarę był tkliwy, a nawet spóźnił się o cały kwadrans na Giełdę, gdzie miał owego dnia umówioną ważną schadzkę z Sedelmayerem, pięknym żydkiem o kędzierzawej brodzie, ładząco podobnym do króla Assura Bampala, jakim go można zobaczyć w Luwrze, na pomnikach w Assyryjskiem Muzeum.

— Mamka... gdzie jest mamka? — zawołała mateczka, skoro młody akademik zakwilił po raz pierwszy.

Mamka czekała na pogotowiu, naprzód wybrana przez „księcia nauki.” Była to pikardka o wielkich biodrach, potwornym gorsie i cerze posługaczki szpitalnej, w szkaradnej perkalowej sukni w kwiaty.

— Okropnie wyglądasz, moja kochana, ale cię tu ubiorą!

Zajęto się tem natychmiast; właśnie garderbiana, która jeździła z panią do Bretanii, zapamiętała kostium kobiet z Concarneau.

— Pani przypomina sobie... kamizelką niebieską i kaftanik bez rękawów, podobny do zuawskiego, z żółtym galonem na ramionach.

— Masz słuszność, Fanny... bo i odpowiedni do tego czepek jest prześliczny.

* * *

We dwa tygodnie potem, kiedy już nastąpił cudowny koniec kwietnia i kasztany w ogrodach publicznych były obsypane kwiatem białym lub różowym, mamka małego Tichlera, sprawiała wrażenie w parku Monceau. W sardyńskim czepku na głowie, pikardka ta, której portret wyrysował pewien przyjaciel domu, wyglądała jak fregata o dwudziestu czterech działach. Piękna pani Cerf, której właśnie przybyła córeczka, spróbowała współzawodniczyć, ubierając swą mamkę za fryzonkę, w złotym kasku; ale wszystkie Mamy zgodziły się na to, że kostium bretoński jest oryginalniejszy. Była to ciężka porażka dla pani Cerf.

Małec przybrany w koronki, stawał się coraz mniej podobny do archiwisty paleografa, który się zestarzał nad odczytywaniem fascykułów z XII wieku. Z osobliwą energią zaczynał chwycić swą małpią rączką, szorstki palec mamki. Usteczka jego uśmiechały się już niewinnie, a oczy, szeroko rozwarte, były tego błękitnego koloru, co nam przypomina, że dzieci z nieba przybywają.

Dzięki tej zmianie, matka kochała go już prawie. Bądź co bądź, nie miała ona nigdy tak ła-

dnej lalki w dzieciństwie; synek jej był daleko piękniejszy jak owe bobo z główką emaliowaną, któremu naciska się brzuszek, żeby powiedziało „Papa, Mama.”

Jeszcze bardziej zaczęła go stroić, żeby mu żadne dziecko wyrównać nie mogło. Odbyto chrzest, bo wszyscy ci żydzi, są nawróceni mniej lub więcej — było to hasłem do gradu podarków z cukierków i łakoci. Ojciec chrzestny, Sedelmayer, trochę się kłopotał przy odmawianiu „Wierzę w Boga,” ale obrzęd odbył się w wykwintnym kościele Śgo Augustyna czy Śtej Trójcy, a ksiądz, sceptyk jako paryżanin, załatwił tę rzecz, mówiąc jednym tchem:

— Czy chcesz być chrześcjaninem? Powiedz: chcę. Wyrzekasz się pokus i szatana? powiedz: wyrzekam się. Powtarzaj za mną: Wierzę w jedynego Boga. Amen.

Pani Tichler, miała owego dnia przepyszny kapelus i wszystko poszło jak najlepiej.

Doprawdy, stara pani Bader, której wszyscy ci panowie nienawidzili za to, że oszukiwała przy wiście, to bardzo złośliwa kobieta; spotwarzyła panią Tichler. Biedna istotka! Przecież ona przepada za swoim malcem; prawda, moja droga?

Tak, kochała go, ale jako cacko, tylko jako cacko, bo nie możecie wątpić, żeby osoba tak wykwintna, tak „tegodziesna,” mój Boże, jak się to teraz nadużywa tego wyrazu, żeby osoba tak modna, nie szalała za drobiazgami. Jest to ma-

nia terażniejsza, niemająca żadnego związku z poczuciem sztuki, ale pozwalająca większej części ludzi bogatych, udawać przed sobą i przed znajomymi, że się znają na rzeczach osobliwych i wykwintnych i w ten sposób zapełniać straszłą pustkę umysłu swego i serca.

Domyślcie się zatem, że nie brakowało cacek w buduarach i salonach u pani Tichler. Było to nawet bardzo niewygodne i skoro przyszedł gość w dzień jej przyjęcia, musiał być niezmiernie ostrożny, żeby nie zbić jakiego skarbu, nie licząc już krzeseł, które pochodziły wszystkie „z epoki” i przypominały narzędzia tortur. Japońszczyzna także zalegała dom. Pani Tichler, nauczyła nawet męża poznawać się na bronzach i dlatego to czasami można było spotkać dawnego „handel! handel!” w pałacu Drouot, gdzie uniesiony zapalem współzawodnictwa, porywał na licytacyach zbiór albumów albo rękojeści od szabel.

* * *

Mały Gustaw stał się więc cackiem i to najładniejszym z całego zbioru cacek, pięknej pani Tichler. Jak tylko nauczył się chodzić, matka obdarzona geniuszem do kostiumowania, zaczęła go ubierać nakształt baletnika. Na kapelusikach jego, ptaki z wysp rozpościerały swe jaskrawe skrzydełka; na sprzączkach od trzewiczków błyszcząły kamyki z Renu; frizki nosił z koszto-

wnych koronek, sukienki z morderowego aksamitu i z atlasu *viol or*, a w półtora roku, chodził już w rękawiczkach. Tylko, ponieważ miał bardzo ładne łydki i trzeba się było niemi popisywać, bez względu na stan powietrza, zawsze miał gołe nóżki, marznąc jakby dziecko nędzarza.

Rozlegał się chór pochwał. Jakże się też omyłono co do tej biednej pani Tichler! Niema lepszego matki na świecie, a jej synek jest prześlizczny! Ależ rośnie... Czy kochana pani widziała go w kostiumie „*Incroyable*,” na balu dziecięcym u Pereirów? Jakież on był zabawny! z binocle i kręconą jak szruba łaską.

Chłopaczek ten uczęszczał już bowiem na wszystkie bale; wyobraźcie sobie tylko... na kostiumowe bale! Co za sposobność do obmyślania toalet. Już się przedstawiał jako *mignon* Henryka III, jako Łabuś Ludwika XV, jako madziar i chłopak z Abruzzów. Niezaprzeczenie, tęgi z niego chłopaczek, z tą bujną, ciemną czupryną i z oczkami głębokimi jak tonie jeziora. To też stawał się sławnym, mówiono: „piękny jak syn pani Tichler.” Skoro miał lat pięć, matka, nie czekała dłużej, kazała zrobić jego portret.

Przypominacie sobie, jakie miał szalone powodzenie. Wywieszony został na pierwszej wystawie po wojnie i słynny malarz Petrus Bertran, nigdy może nie podpisał piękniejszego płótna. Zaraz po wywerniksowaniu obrazu, publiczność nazwała go: *Biute dziecko*. Istotnie, pędzlami

i paletą, artysta dokazał takiej sztuki, jak Teofil Gautier piórem, gdy napisał pyszne strofy *Symphonie en blanc majeur*. Dziecię stało na skórze podbiegunowego niedźwiedzia przy draperyi z białej jedwabnej materyi, w białych trzewiczkach, w bluzce aksamitnej i w dużym, białym pilśniowym kapeluszu, ubranym piórem łabędziem, trzymając w jednej ręczce gałązkę lilii a drugą opierając na dużym syryjskim wyśle, tak białym jak i on.

Publiczność ogłosiła tę orgię białości, jako arcydzieło i przypadkiem nie omyliła się, a Petrus Bertran otrzymał order.

Ładna pani Tichler upojona radością i dumą, nie wychodziła już z pałacu na Polach Elizejskich, mając ciągle przy sobie małego Gustawa, rozumie się, w takimże kostiumie, jak na portrecie.

Przechadzała się z zadowoleniem wśród szmeru:

— Patrzcież... to on... to samo białe dzieckol

Spotykała i przyjaciółki.

— Ach, moja droga, co za sukces! Duszą się ludzie przed tym obrazem... To cudo!

I wszystkie ścisnęły małego modela, który drepcąc od dwóch godzin, zgłodniały był i ziewał ze znużenia.

* * *

Od tej chwili chłopiec ten, którego chwała była u szczytu, wszędzie towarzyszył matce, w wi-

rze rozrywek. Uczestniczył on we wszystkich uciechach paryzkich. W dni wyścigowe, oślepiony kurzawą, upojony powietrzem, odurzony hałasem, usypiał z nudów, siedząc na ławeczce w lando. Na pierwszych przedstawieniach blada i senna jego twarzyczka, odbijała od ponowego aksamitu w łoży. Wsławiony był teraz, we wszystkich modnych miejscowościach kuracyjnych: w Nizy, u wód i w kąpielach morskich. Gdy oberżyści z Luchon, ujrzeli go w ubraniu pirenejskiego przewodnika, jadącego na wynajętym osle, lub kiedy hotelnikom w Trouville, ukazał się w eleganckim mundurze marynarza, przyglądający się grze w piłkę, zacierali ręce, mówiąc:

— Oto mały Gustaw Tichler... będzie dobry sezon!

Jednakże niepowrotne lata upływały! Mały Gustawek wyrósł nagle, wiekuisty karnawał, w jakim żył dotąd, zbliżał się do końca i trzeba było przecież pomyśleć o tem, żeby to dziwacznie wystrojone dziecko, ubierać na podobieństwo innych chłopczyków. Pani Tichler, która wiedła już trochę od niejakiego czasu, ładna pani Tichler, znalazła na to sposób, żeby jeszcze zadawać *chic*, toaletami synka. Ubierała go w kurtkę i majteczki czarne, w duży wywinięty biały kołnierz i w kapelusz, jakie się widuje w niedzielę, w dzielnicy l'Arc de Triomphe, na pызatych chłopakach, udających się na nabożeństwo odprawiane w ja-

kim mieszczańskim domu, na drzwiach którego przybita była blacha z wrytym napisem, oznajmia, że „Modlitwy odbywają się tu na trzecim piętrze.”

Doprawdy, to stara gadzina, ta pani Bader, musi ona być bardzo starą, powiadają, iż niegdyś, podobno uszczęśliwiała swemi łaskami Kazimierza Périer! Ale ten przeklęty język miał słuszość, utrzymując, że macierzyńska miłość pani Tichier, nie jest trwałą. Ubrany jak wszyscy chłopcy, synek, który jej dotąd służył za cacko, zaczął szczególnie zakrawać na młodzieńca i przyjaciółki nie omieszkały odzywać się głośno z tą uwagą:

— Ach, moja droga, jakiego już masz dużego chłopca!.. Jak nam to dodaje lat...

Skończyło się na tem, że Gustawa wpakowano do kolegium i że w ubiegłym październiku, — jak też czas bieży, wstąpił do drugiej klasy.

Teraz duży to już kawaler lat piętnastu przynajmniej. Ogłupiony internatem, jest niegodziwym uczniem, który się kryje po kątach, żeby palić, choćby sznurki od swego obuwia, za co ciągle wzbronione ma wyjścia. Ale matka nie trapi się tą drobnostką; woli ona nie popisywać się swym studencikiem w zakrótkich spodeńkach. Skoro przypadkiem której niedzieli nie siedzi w kozie za karę, lecz udaje się do rodziców — nie służy mu szczęście, bo właśnie tego dnia jedzą obiad za domem. Kładzie mu więc lokaj nakrycie na końcu długiego stołu, w olbrzymiej jadal-

nej sali; poczem czeka w tym salonie pustym i jedną tylko lampą niedostatecznie oświetlonym, żeby kamerdyner zechciał go odprowadzić do kolegium. Widząc niewyraźnie wśród ciemności na dużym portrecie *Białe dziecko*, przypominające mu czasy, kiedy matka zdawała się go kochać, płacze ten duży chłopiec, któremu już wąsy rosną!

Biedny synu, który niegdyś służyłeś matce za cacko, a teraz przestałeś ją bawić!

Szczotka do zmiatania okruchów.

Szczotka była powodem całego nieszczęścia.

Wicie... taka szczotka z białego włosienia, z grzbietem i rączką z kości słoniowej, w kształcie sierpa lub szabli tureckiej, jaką zwykle przy końcu obiadu u mieszczan, przed wetami, bona a czasami „pani” lub „panna,” zmiata okruchy z obrusa, z przed każdego gościa, obchodząc stół do koła.

Otóż taka to szczotka mię zgubiła.

Anim się myślał zenić, bo mając lat dwadzieścia ośm, dosyć jeszcze miałem czasu przed sobą. Naczelnik mego biura, nieoceniony człowiek, który naśladował mój podpis na liście przybywających, gdym się spóźnił, często powtarzał:

— Na pańskim miejscu, jabym się nigdy nie ozenił... Wcale nie dlatego to mówię, że sam nie żyję z żoną od lat dziesięciu i zem miał już trzy procesa o zaprzeczenie ojcostwa... ale na pańskim miejscu nie zeniłbym się.

Prócz tego, czytałem był już u La Rochefoucauld't myśl, w której zawarty sens dopiero dziś pojmuję do głębi i którą dawniej instynktowo już podzielałem: „Bywają dobre małżeństwa; ale rozkoszne nigdy.”

Zresztą, byłem zupełnie szczęśliwy i doskonale urządziłem sobie kawalerskie życie.

Byłem wówczas urzędnikiem jak i dotąd jeszcze jestem w administracyi publicznej. Dwa tysiące siedmset franków i gratyfikacya, to bardzo piękne stanowisko, jak na dwudziesto ośmio-letniego chłopca. Biuro, w którym pracuję: Biuro Trupiarń i Amfiteatrów, a wydział: rozkładanie osobników w sali dysekcyjnej. Co prawda nie był on z najprzyjemniejszych, cały dzień miałem bowiem przed oczami zielone pudła, na których grzbiecie wypisałem: „*Urząd Trupów.*” Alem znalazł do gruntu moją specjalność, załatwiałem jako tako moje zajęcia w godzinę lub dwie, a resztę czasu ślęczałem nad odgadywaniem rebusów w *Monde Illustré*. Nabrawszy w tem wielkiej wprawy, posyłałem odgadnienia, skutkiem czego, dobiłem się honoru, że imię moje widniało w dzienniku pomiędzy rubrykami: „*le Cercle militaire de Sunegnemine*” i „*les habitués du café de l'Europe, à Pithiviers.*”

Zresztą czas spędzany w ministryum, była to tylko ofiara czyniona dla chleba powszedniego. Prawdziwe moje życie rozpoczynało się od godziny czwartej, kiedy, umywszy ręce, zawieszwszy na haku stare biurowe ubranie, szedłem,

postukując miarowo laską, przez bulwar des Invalides, do mojej oddalonej dzielnicy.

* * *

W letnie wieczory szczególnie, była to prześliczna przechadzka: ukośne słońce wywołujące „efekt,” jak powiadają malarze, ozłacało owe stare drzewa, które ścięto potem, w czasie okropnego oblężenia. Zastąpiono je nedorzecznymi jaworami, co z ogrodzeniem żelaznem u spodu wyglądały na wycieraczki do nóg. Dawniejsze drzewa były to poczciwe stare wiązy, lipy i kasztany powoli wyrastające z ziemi od czasów Ludwika XIV-go; sięgając epoki, kiedy we Francyi byli cierpliwi i lubili to, co mocne; nie oglądali się więc na to, że trzeba długo oczekiwać, zanim dojrzeje drzewo lub instytucya. Miło było chodzić pod ich krzepkimi gałęziami, pod ich gęstym liściem, pełnym ciepłych iskier padającego nań słońca.

Zatrzymałem się przed dworcem kolei wschodniej. Garson pilnował mi stołu przy oknie antresoli małej restauracyi. Jadłem obiad powoli, przyglądając się, dla rozrywki, tłumom wysiadającym z wagonów pociągu wersalskiego: byli tam dwaj artylerzyści, podobniuteńcy do siebie, z kitami czerwonymi przy czako, w ciężkich pantalonach z baraniej skóry, z ręką na pochwie od szabli; były pary kochanków okrutnie zmęczo-

nych, powracające z snopami kwiatów polnych; był stary botanik ze śpiczastą bródką, w zapyłonych kamaszach i w słomianym kapeluszu, z zieloną puszką, kołyszącą mu się na plecach. O zmierzchu, szedłem do kawiarni na wolnem powietrzu, wypijałem filiżankę kawy, poczem najczęściej wracałem do domu.

Kto też zajmuje teraz mój pokój, tam wysoko, przy ulicy d'Assas? Może jaki filistyn, który znieważył ściany, rozwieszając chromolitografowane portrety ludzi politycznych. Za moich czasów, był to ubogi pokój, to prawda; ale umeblowany według mego upodobania. Był to pokój domatora, człowieka ceniącego swe ognisko domowe, dla którego, każdy kwiatek obicia stanowił pamiątkę jakiego marzenia. Miałem tam mój flet, fajkę, porządny dywan, wielki fotel z wygiętym grzbietem, wygodny do rozmyślań i czytania przy kominku; na półce leżały książki, które umiem na pamięć, sceptyków bez drapieżności, jako to: Montaigne'a i Lafontaine'a a na chwile rozrzewnienia, kochanego Dickensa. Na prawo zaś i na lewo od lustra, wisiały moje piękne próby: *Coucher de la Mariée* i *Hasards heureux de l'Escarpolette*.

Latem przebudzenie się było rozkoszne; przechadzałem się po pokoju, bez surduta, paląc pierwszą fajkę, z której ulatający dym zlewał się z białawymi promieniami słońca, a przez okno otwarte na oścież, widziałem masę zieleności

Luksemburga, kopuły Panteonu oraz Val-de-Grâce i niebo, dużo nieba... Zwinne jaskółki, bezustannie przelatywały tuż koło mnie, piszcząc, jakby na dzień dobry. Ale wieczory, zwłaszcza też gwiazdziste, były jeszcze przyjemniejsze, kiedy po przeczytaniu kilku zajmujących stronic i po odegraniu na flecie jakiego kawałka z Mozarta, opierałem się na oknie wobec rozpromienionego zodyaku, przysłuchując się urywanym dźwiękom walca, które wiatr nocny przynosił mi od Bulliera.

Prawda, że brakowało w tem wszystkim kobiety. Spódniczka odegrywała małą rolę w mem zyciu; nie przeczę, sprzykrzyły mi się szwaczki z magazynów, na które się czatuje wieczorem i odprowadza, słuchając ich opowiadań, naszpikowanych wykrzykami: „Z pewnością,” „doprawdy?” które odchodząc, zapinają sobie buciki szpilką od włosów. Właśnie z tą tęsknotą, zwierzyłem się niebacznie przed kolegą; powinienem się go był wystrzegać, jako człowieka praktycznego, który się wyczuzył szewctwa dla przyjemności i przez oszczędność, w chwilach wolnych od zajęć, sam wyrabiał sobie trzewiki w biurze. Zaraz mi powiedział:

— Mam, czego ci potrzeba... trzydzieści tysięcy franków i nadzieje... Matka ma usta sine... umrze na serce...

Nie będąc jeszcze zdecydowanym na ożenienie się, zacząłem się wzbraniać, ale... przy końcu dru-

giego tygodnia, już było po mnie... przyjąłem zaprosiny na obiad...

* * *

Szczotka do okruchów dokonała reszty. Było to przy wetach. Obiad odbył się w bardzo miły i serdeczny sposób. Matka zdawała się sympatyczną kobietą, chociaż miała broszkę z fotografią swego męża, on zaś był trochę za uroczysty i zaraz przy zupie zaczął rozprawiać, jak się Francya powinna zachować względem Rossyi; ale także mi się dość podobał, w swej greckiej czapeczce na głowie z białą brodą, która by mogła służyć za model do Mojżesza. Pieczone widocznie upieczone przy ogniu z drzewa, burgundzkie było doskonałe i miało zapach fiołków. Rozpromieniałem przy wetach, przy tym deserze zimowym, małomieszczzańskim, składającym się z leguminy z makaronu, z jabłek, z pomarańcz i gorących kasztanów w serwecie. Wówczas to panna, na znak dany przez matkę, wzięła koszyk i szczotkę w kształcie jatagana perskiego, żeby przy każdym nakryciu zebrać okruchy. Nie jesteś kamienny, czytelniku, nieprawda? Ja także—więc kiedy ta wysoka brunetka, z policzkami jak leśne jabłuszko, schyliwszy się, by znieść z obrusa, dotknęła mego ramienia kibicią i upajała mnie delikatnym zapachem upomadowanych włosów, powiedziałem sobie „oświadczyć się” (było w tem trochę winy — burgundzkiego).

Takiem też uczynił, jest temu lat dziesięć; nie odrzucono mej prośby i jestem najnieszczęśliwszym z ludzi!

Przedewszystkiem człowiek żonaty i ojciec rodziny, musi być urzędnikiem nie na żarty.

Żegnam was, rebusy z *Monde Illustré*; teraz po uszy zakurzam się w moich wstrętnych papierach; badam kwestyę „Trupiarń,” zgłębiam „Amfiteatry.” Budzi to we mnie wstręt, obrzydzenie, ale mam już troje dzieci, a jestem tylko pomocnikiem naczelnika, z pensją pięciu tysięcy franków. Ażeby mię zwierzchnicy mieli za światłego specjalistę, wydałem kilka dziełek, których same tytuły mię przerażają: *Czem były trupiarnie, czem są dzisiaj i czem być powinny. O niebezpieczeństwie spiesznego grzebania ciał. Teraz zaś przygotowuję grube sprawozdanie: O cmentarzach podmiejskich i przewożeniu ciał drogą żelazną, z punktu przyzwyczajenia jakoteż i higieny publicznej.*

Ja! niegdyś flecista! Ja, com rymował sonety!

Nieraz marzę o moim biednym pięknym flecie, jużem go dawno nie wyjmował z futerału, również jak i mojej fajki piankowej z pokrywką, w kształcie orlej łapy. Muzyka, marzenia, to dobre dla poetów i ludzi nieżonatych!

Minęły także niepowrotnie przechadzki po pracy biurowej; obecnie wsiadam szybko do tramwaju, chcąc jak najprędzej wrócić do szkaradnej dzielnicy, gdzie mojej żonie podobało się zamieszkać, ażeby być bliżej rodziców. Zajmuję tam

smutną antresolę z bardzo niskimi sufitami, z kądem widzę z rana, gołąc się przy oknie, profil domu o sześciu piętach, z namalowanym zielonym dyablem, który wytrząsa z rogu obfitości kamizelkę, pantalony i kurtkę za siedmnaście franków.

Co prawda, nie mogę uskarżać się na żonę; jest to bardzo dobra istota; tylko, że dzieci swe kocha nie jak matka, ale jak kura i okropnie je psuje; prócz tego, jest nieporządna. Jest że to znośne dla nerwowego człowieka, znajdować, jak mi się to każdodziennie trafia, przemokłe trzewiczki dziecięce na ruszcie, lub powijak schnący na kracie kominka? Również nie mogę pojąć, dlaczego obstaje za tem, by trzymać tę bonę z plamą na twarzy, której widok apetyt mi odbiera.

Moja świekra mogłaby być znośną. To nie-szczęśliwa niewolnica, ciągle teroryzowana wielkimi czarnymi brwiami i białą brodą starego męża. Przemawia doń zazwyczaj w następujący sposób, łączący szacunek z czułością:

— Panie Dubu, podaj mi musztardę... Panie Dubu, czy chcesz jeszcze trochę zupy?

On to, on, Dubu, mój teść, zatrul mi życie! To obrzydliwy mieszczuch, tyran domowy. Będąc ograniczonym i zarozumiałym, nadużywa surowej i poważnej fizyonomii swojej, ażeby nadawać wszystkim słowom, gorzkie znaczenie lekcyi i narzuca mi głupie swe teorye o postępie, o sztuce utylitarnej, o dobrodziejstwach oświaty i o wszy-

stkich gazeciarkich bzdurstwach. Ta głowa patriarchy, podobna do popiersia z mydła, drażni mię do tego stopnia, że kiedy teść mój mówi o wdzieraniu się klerykalizmu w obce sprawy, bierze mnie chęć przedsięwziąć pielgrzymkę do Lourdes; a jeżeli wysławia prawne zabory mieszczaństwa, które zwykle nazywa arystokracją pracy, uczuwam wielką ochotę przywdziać czerwony pas i kepi z dziesięciu galonami i stanąć na czele nacierzy. Chociaż szkaradnie skąpy i nieludzki w prowadzeniu interesów, śmie wołać o rozwiązanie kwestyj społecznych. Miłosierdzie publiczne nazywa rzeczą upokorzącą dla narodu i nie da nigdy dwu sous ubogiemu, pod pozorem, że żebracy wytwarzają sztuczne kalcetwa i że pewnego wieczora, zaczęła go kobieta w łachmanach, mająca na ręku dziecko zrobione z gałganów.

Ponieważ byłem tak niadorzeczny, że m powiedział urządzenie domu temu okropnemu człowiekowi, który upewniał, że dostarczy wszystkiego za tańsze pieniądze i w lepszym gatunku aniżeli by mnie się udało, muszę więc mieszkać wśród wstrętnych mebli mahoniowych, krytych czerwonym aksamitem. Zamiast kukułki mojej z Czarnego Lasu, która tak mile wydzwaniała godziny wolności, w moim pokoju, przy ulicy d'Assas, mam w salonie szkaradny zegar z marmuru koloru sera włoskiego. Moje piękne sztychy według Boudonin'a i Fragonard'a, jako nieprzyzwoite,

oddawna usunięte zostały do ciemnego korytarza, a ich miejsce zajęły grobowe obrazy Delaroché'a, dar mego teścia: Joanna Grey przed fatalnym pieńkiem, obok płaczącego kata; Lord Strafford, wsuwający rękę przez kratę więzienną, — w jaskrawych ramach, zasmucają ściany mego mieszkania.

Przeszłego roku, na imieniny żony, musiałem unieść się gniewem na p. Dubu, który groził, że mi ozdobi lokal okropną sceną z inkwizycyi, z całym trybunałem mnichów, z katami, z obnażonym męczennikiem, wijącym w konwulsyach, na żarzących się węglach. Nawet nocy nie mam już tak spokojnych; gdy zjem na obiad coś niestrawnego, Joanna Grey i lord Strafford, przesładują mię; śni mi się, że muszę ściąć głowę mojej żonie lub że klękam przed okienkiem więziennem, przez które teść mój wyciąga mi swą rękę, do ucałowania.

Nędznik ten strasznie się zemścił za mój opór, zawieszając w pokoju córki, w naszym sypialnym pokoju, swoją fotografię w powiększonym formacie — jego Dubu, w masonskich insygniaach.

* * *

Oto moje życie! A to wszystko stało się dlatego, że mi krew uderzyła do głowy, w chwili kiedy Adelaida, moja żona, zmiatała okruchy, pozostałe na obrusie. Jakby dla odnawiania mych

żałów, co niedzielę wieczorem, po obiedzie, u moich teściów, zanim podadzą wety, podczas kiedy magnetyzowany mimowoli, modelową brodą mego teścia, rozmyślam o kłopotliwym powrocie do domu w noc dżdżystą, o dzieciach zbyt ciężkich do dźwigania, o wyczekiwaniu bez końca w biurze omnibusów; moja żona, po dawnemu, zmiata ze stołu, sądząc, że to jest dla mnie miłą pamiątką, porusza z uśmiechem szczotkę, której zakrzywiony kształt, nasuwa mi myśl o ostatnim nowiu naszego miodowego miesiąca, który już tak dawno przeminął!

Okno oświetlone.

Jest to noc parna, zapowiadająca burzę, ciemno, bez gwiazd i księżyca. Na szerokim bulwarze, wysadzonym nędznymi drzewami, ciężkim krokiem spóźnieni przechodnie stąpają, a podwójny szereg płomieni gazowych, ciągnie się bez końca i niknie z przed oczu w pustkach przedmieścia.

Wyniany ze swego pokoju, przez uciążliwe gorąco, zmęczenie i szmer sierpniowych nocnych owadów, latających dokoła lampy, Ludwik podniósł się z fotelu, na którym pracował, z żalem spojrzął na niedokończoną kartkę prozy, napisaną bez werwy i przyjemności, pełną poprawek, nieudatną, — poczem zniechęcony, zgasił światło, spuścił się z czwartego piętra, przeszedł na drugą stronę pustego bulwaru i zasiadł przy stoliku, przed małą piwiarnią, położoną naprzeciw jego domu.

Jakież to męczący wieczór! Szklanekę piwa, którą mu podał roznegliżowany garson, ciągnąc za sobą pantofle, czuć bukszpanem, aż do mdło-

ści; chłodu nie więcej jak w pokoju, a gdy dojdzie powiew wiatru, to taki gorący, jakby oddech chorego. Teraz zdaje się Ludwikowi, że byłby lepiej zrobił, gdyby pozostał w domu i położył się do łóżka. Pascal miał słuszość, mówiąc: że człowiek powinien być pod dachem, a przysłowie arabskie trafnie też powiada: „lepiej być leżącym niż siedzącym; lepiej być umarłym niż leżącym.” Lepiej być umarłym? Tak, nieinaczej. Literatom bez powodzenia, a może i bez talentu, któż to wie — daje się życie we znaki. Nie jestże ono tak jednostajne, jak droga tego tramwaju, który, co dziesięć minut, toczy się po szosie pełnej pyłu, ciągniony przez zmordowane perszerony? On także, aby zarobić na podściółkę i strawę, musi być koniecznie koniem omnibusowym i zaprzędz się w hołoble jakiegoś dziennika. Czy trudniej ciągnąć za postronek, czy od wiersza? Cóż to za ciężkie rzemiosło sprzedawać czasowniki i przymiotniki! Ma teraz lat trzydzieści ośm, jednakże goląc się zrana, spostrzegła siwiznę na skroniach. Stracona już młodość!... Nie pozostało mu żadne miłe i tkliwe wspomnienie, żaden „kącik zielony,” jak mówią anglicy. Nic, prócz miłostek smutnych lub hańbiących bezżennego biedaka. Jeśli są w sercu jego imiona kobiet, to je tam zapisały jakby na zwierciadle w restauracyi. Smutny aż do łez, przypomina sobie jedną ze swych najokropniejszych nocy, spędzoną w przeddzień pojedynku u kochanki przypadkowej, któ-

rej nie chciał nawet obudzić i uścisnąć rano, zanim się poszedł bić, tak dalece czuł, że ta kobieta jest mu obcą.

Pograżając się w te ponure marzenia, Ludwik bezwiednie patrzy przed siebie; lecz podniósłszy głowę, żeby wychylić szklanekę piwa, spostrzegł nagle, na piątym piętrze swego domu, nad samem jego mieszkaniem, okno oświetlone.

W tem jednym oknie świeciło się, nietylko w jego domu ale i okolicznych, bo na przedmieściu ludzie wcześniej spać się kładą. Ponieważ, gdy niebo jest bez gwiazd, szczyty budowł giną w cieniach, to jedyne widne okno błyszczało więc wśród ciemności nieruchomo i spokojnie, jakby latarnia morska. Otwarte jest, ale zasunięte firanką białą, która się porusza od wiatru.

Kto też tam może mieszkać? — myślał sobie Ludwik.

Tak mu było smutno w tej chwili, tak się czuł opuszczony i samotny, a to oświetlone okno rzucało takie miłe, łagodne światło, że przez ironiczny kaprys wyobraźni, zaczął śnić obrazy szczęśliwszych, z pewnością o wiele szczęśliwszych egzystencji, aniżeli jego, jakie musiały być pędzone w tym pokoju, tak wysoko. Każdy, kogo niesmak lub zmartwienie często wypędza z mieszkania i kto stara się zwalczyć swój splin nocną przechadzką, temu dobrze jest znane podobne wrażenie. Któż, widząc oświetlone okno w nocy, nie powiedział sobie: tam musi przebywać

szczęście; nie wpatrywał się w nie długo z głębi cieni, z rzewną jakąś zazdrością, jak człowiek, którego wszystko zawiodło na ziemi, ale smętną pociechę znajduje, gdy spogląda na gwiazdę, z nadzieją, że kiedyś rozpocznie tam nowe życie.

* * *

— Kto też tam może mieszkać? — zapytywał siebie Ludwik. — Kto czuwa o tak późnej godzinie?

Pracownik, jak on, może pisarz, poeta? Alboż nie zamieniali czasem z sobą ukłonów na wschodach z jakimś bardzo młodym chłopcem, bladym, i licho ubranym, który zazwyczaj niesie książkę? To musi być on. To dziecko pewnie zarabia niezbędne sto sous na codzienne utrzymanie, dając lekcję rano, sprzedając trochę swej łaciny, ale resztę czasu poświęca sztuce i poezji. Jest ubogi, ale dumny i czysty jak lilia. Zachował nie-
tkniętym skarb młodości i złudzeń, a kiedy pomimo lichego odzienia, gryzетка spogląda nań z uśmiechem,—jak dziewica spuszcza swe głębokie oczy, z aksamitnymi rzęsami, zachowując się na przyszłość dla Beatryczy.

Pragnie chwały, ale ją chce zdobyć tylko arcydziełem, w któreby wlał całą prawdę swej duszy; on tak szanuje swe pióro, jak rycerz miecz swój i wolałby umrzeć z głodu, niżeli się stać wyrob-
nikiem literackim. Szlachetne to dziecko, nie

zaznało jeszcze pewno życia; ale czemuż jest życie dla poety, jeśli nie zniweczeniem, zabiciem jego mrzonek. Obecnie zaś pisze on pierwsze swe wiersze, boski i jedyny poemat młodości. Stwarza raj, raj zaczarowany, raj nieprawdopodobny, gdzie ptaki są woniejące a kwiaty skrzydlate, gdzie wszystkie kobiety są czyste i łagodne jak gwiazdy, gdzie są tylko uczucia i marzenia, a później, gdy wypuści w świat te pieśni, ci, co się upoją ich śpiewaniem i czytaniem, opamiętani zostaną smutkiem, jak nazajutrz po rozpuście i ogarnie ich gorzki żal, że życie nie jest tak piękne!

Ale dotychczas poemat ten do niego tylko należy, ten poemat niedokończony i tem mu droższy; bo jako szkic, może się tak przedstawiać, jakim by był w ideale. Co ten młody poeta może robić o tej godzinie? Czy się już położył, żeby czytać późno w noc? Czy wziął z półki, zawieszanej tuż przy łóżku, książkę ulubioną i odczytywaną ze sto razy, książkę, w której dla jego potężnej i świeżej wyobraźni otwierają się pomiędzy wierszami szerokie widnokęgi? Nie, on raczej pracował cały wieczór, napisał kilka udatnych strof, poczem znużony natężeniem umysłu, padł na swój duży fotel, śliczną młodzieńczą główkę zwiesił na ramieniu, oczy zamknął, pióro wypuścił z palcy... Widzi jednak ciągle zaczęłą stronicę, śni mu się, że zadowolona Muza, która dlań jeszcze istnieje, podobna zarazem do matki

i do anioła, oparła się o grzbiet jego fotelu, patrzy z uśmiechem na śpiącego i kiedy niekiedy, lekką ręką odgarniająco mu włosy, składa długi pocałunek na czole!

— Kto też może tam mieszkać?—zapytuje siebie Ludwik, dając się ciągle porywać tajemniczemu powabowi oświetlonego okna i myśli błędzącej swobodnie.

Kochankowie! Tak, kochankowie, dla których nic nie istnieje na świecie całym, prócz ich zobopólnej żądzy; kochankowie, którzy nie patrzą dalej poza swe splecione cienie, idące przed nimi przy blasku księżycy!

Ach! ta młoda i śliczna para! Ich prosta idylla zaczęła się na końcu przedmieścia, pewnego wieczoru, kiedy znajdując się przypadkiem jedno obok drugiego, przyglądali się karuzelowi; ona odrazu spostrzegła, że on, ten student, ma blond włosy i usta karminowe; on zaś oddał się w jednej chwili tej brunetce, z oczkami wesołemi jak piosenka; o wolność użycia szczęścia, prosili tylko swoich lat dwudziestu. Trwa to od wiosny, od miesiąca wisien i snującej się w powietrzu przedy Matki Boskiej ¹⁾. Ale oni są w tym wieku, kiedy *jutro* znaczy tyle co *zawsze* i przemienili swój pokój pod dachem, w klatkę na pocałunki.

¹⁾ Jesiennej pajęczyny.

Jest to coś dziwnego, że się dziś u nich świeci; zazwyczaj kładą się wcześnie i wstają późno, bo miłość lubi długie noce. Kochanek był dziś zmuszony gdzieś się oddalić, może poszedł na obiad do starych jakich krewnych, ale mu obwiązała szyję chusteczką swoją, żeby w drodze czuł jej woń i nie zapomniał o niej. Kiedy zasiadła do jedzenia, sprawiało jej to przyjemność, że jest sama, że będzie mogła swobodnie myśleć o nim Rozmarzona, bezwiednie pisała imię jego na obrusie, końcem noża; przypominała sobie z tkliwym uśmiechem, jego ładny chód i ładne ułożenie; rozkoszne uczucie napełniło jej serce. Skończyło się na tem, że się rozebrała i położyła. Teraz śpi przy palącej się świecy; świeża jej twarzyczka ginie w rozrzuconych włosach, oparta na złożonych rączkach, a cieniuchna koszulka zsunąwszy się, odkrywa okrągłe i kształtne ramię. Gdy on wejdzie, pocichutku, będzie miał tę uciechę, że ją zastanie uśpioną jak kwiatek; usiadłszy przy łóżku, długo się wpatrywać w nią będzie. Wtedy, odgadując go instynktownie, przez sen, otworzy ona oczy; ach to otwarcie powiek, dwudziestoletniej, budzącej się dziewczyny, to pierwsze migotanie gwiazdki! Szalejący z miłości, porwie ją, obejmie namiętym uściskiem i ukryje twarz na jej wonnej piersi.

*

*

*

— Kto też tam mieszkać może? — myśli Ludwik, z oczami ciągle wlepionymi w to okno, jaśniejące tam wysoko, wśród nocy.

Dlaczegoby nie uczciwe jakie małżeńskie sta-
dło z dziećmi? Jesień z pięknymi owocami. Prze-
cież to także istnieje... serca pokorne i zrezygno-
wane, szczęśliwe wśród obowiązków i przez obo-
wiązki, jak ci małżonkowie, których Ludwik spo-
tyka czasami w niedzielę, na tem przedmieściu,
gdzie panują patryarchalne obyczaje. Matka,
zwiądła blondynka w lichem okryciu, pcha w wóz-
ku najmłodszego synka, ojciec zaś, siwiejący, wy-
gląda na podnaczelnika, czekającego krzyża i z du-
mą prowadzi za rękę swego studenta. To oni
mieszkają tam na górze; ponieważ pensya ich wy-
nosi około czterystu franków miesięcznie, pomy-
śleć tylko, z dwojgiem dzieci. Często zastępuje
im śniadanie kawałek wczorajszej zimnej cielęciny
i student sypia w jadalnym pokoju na kana-
pie, która się rozbiera co wieczór. Ach! ten no-
wonarodzony biedaczek, którego nieoczekiwano,
ale przyjęto serdecznie, zniweczył równowagę
szcuplego budżetu. Na szczęście, papa został
u pewnego drogisty buchalterem za sześćset fran-
ków rocznie, skutkiem czego musi wychodzić
z domu o ósmej rano i zabiera śniadanie w czarną
skórzaną tekę. Ale nikt tam nie narzeka i wszy-
scy są zdrowi. Leon, najstarszy ich syn, uczeń
z piątej klasy, otrzymał trzy nagrody przeszłego
roku. Rozczulający to widok, jakie tkliwe spoj-

rzenie zwraca mąż ku żonie, gdy widząc, że mężczy oczy nad szyciem wieczornem, mówi: „Połóż się mamusiu, dosyć tego na dziś.” Ale dlaczego i ojciec tego nie robi, on, co jutro ma wstać tak rano i obliczyć księgi drogisty? Czemuż tak długo pracuje przy lampie naftowej? Oto zmiarkował, że w dalszym ciągu nauk, Leon nie będzie się mógł obejść bez korypetytora, ten poczciwiec chce więc sobie przypomnieć starogrecki język i ślęczy nad Burnoufem.

Pomimo tych wszystkich niedostatków, Ludwik zazdrości tym zacnym ludziom; posiadają bowiem to, czego on nie mógł by kupić za całą krew w jego żyłach płynącą: to jest wielkie uczucie i nędzny kawałek chleba z onoty przyprawą.

* * *

Niespodzianie, duże krople deszczu zaczęły padać na chodnik i stół piwiarni, o który Ludwik się opierał. Burza nadchodzi, trzeba wracać do domu.

Pomimo spóźnionej godziny, odźwierna nie śpi jeszcze i w swej izdebce ceruje wełniane pończochy. Przecież dowie się teraz, kto czuwa za tą franką oświetloną, wobec której tak smętnie dumiał o wszelkiego rodzaju szczęściach; przynajmniej o tych, co są przystępne dla ubogich, o pracy, miłości i rodzinie.

— Kto to mieszka nademną?—zapytał starej.—
Nad moim pokojem, tuż nademną? W tem tylko
oknie jest światło.

— Niestety, nikt tam już nie mieszka!—odrze-
kła odźwierna...

Zajmował ten pokój stary biedak, co był wi-
nien za dwa kwartały. Gospodarz nie upominał
się, przez litość, bo mu już było blisko lat siedm-
dziesięciu i miał być przyjęty do Bicêtre... ale
umarł o samej czwartej, dziś po południu. Ta
pani z pierwszego piętra dała mu prześcieradło
do trumny, a ponieważ nie miał nikogo... ani
przyjaciela, ani krewnego, coby nad nim czuwał,
zapaliłam gromnicę przy jego łóżku. Teraz, kiedy
już powrócili wszyscy lokatorowie, pójdę tam na
godzinkę, żeby zmówić różaniec na jego intencję.

P r z y p a d e k.

Stary kościół Ś-go Medarda przy ulicy Mouffertard, wślawiony niegdyś przez dyakona Parysa i konwulsyonistów, jest bardzo ubogą parafią. Tak zwane w tamtych stronach „przedmieście Marceau” nie wiele ma religii i rada fabryki z biedą musi wiązać koniec z końcem. W niedzielę podczas nabożeństwa, bardzo mało jest ludzi i prawie same tylko kobiety. Są to w niewielkiej liczbie panie z burżuazyi, zamieszkujące tę dzielnicę i sługi w okrągłych swych czepkach. Co się zaś tyczy mężczyzn, to przychodzi najwyżej trzech lub czterech starców, w chłopskich kaftanach. Klękają oni na kamieniu przy filarze, z czapką pod pachą i przebierają w palcach gruby różaniec, poruszając ustami i wznosząc oczy ku łukom sklepienia. Ale w ciągu tygodnia nikogo tam niema. W zimie, w bocznych nawach daje się słyszeć chwilowo, we czwartki, suwanie kaloszami, gdy przychodzą i odchodzą dzieci uczące się katechizmu; czasami jakaś biedaczka, wło-

kąca za sobą jedno lub dwoje dzieci, a jedno mając przy piersi, przychodzi zapalić świeczkę woskową w kaplicy Matki Boskiej; niekiedy rozlega się krzyk dziecięcia przy chrzcie; ale najczęściej odbywa się pogrzeb jakiego nędzarza: sosnowa trumna, pokryta czarnem suknem, postawiona na marach i ksiądz z pośpiechem nad nią odprawiający modlitwy, wobec bardzo małej gromadki kobiet; mężczyźni bowiem, jako wolnomysliciele, czekają końca obrzędu naprzeciwko, gdzie się zabawiają kieliszkiem.

Dlatego też stary ksiądz Faber, jeden z wikaryuszów parafii, prawie zawsze jest pewien, że nie zastanie penitentów przy swoim konfesyonale i po większej części wysłuchuje tylko nieciekawych spowiedzi kilku kobiet. Jako człowiek obowiązkowy, chodzi on jednak regularnie we wtorki, czwartki i soboty, o samej siódmej, do kaplicy Śgo Jana, chociażby miał tylko zmówić modlitewkę i wrócić do domu, w razie gdyby nie zastał nikogo.

* * *

Pewnego wieczoru, przeszłej zimy, borykając się z zawieruchą pod swym parasolem, ksiądz Faber wspinał się z trudnością po ulicy Mouffetard, idąc do swej parafii. W przekonaniu, że się na próżno trzodzi, załował w głębi duszy ognia płonącego w mieszkaniu na ulicy Lhomond; *Les*

Bollandistes in folio, które pozostawił otwarte na stole, położywszy na niem okulary. Ale był to sobotni wieczór, dzień, w którym stare wdowy, żyjące skromnie z małego procentu w pensyonatach mieszczańskich, jakich tam jest dużo dokła, przychodzą czasami po rozgrzeszenie, ażeby przyjąć komunię nazajutrz. Zacny kapłan musiał więc zasiąść w dębowym konfesyonale i jako akuratny kasyer, otworzyć to okienko, przez które dewotki, uważające spowiedź za rodzaj kasy oszczędności, znoszą swe powszednie grzechy z całego tygodnia.

Ksiądz Faber, tem niechętniej wyszedł, że owej soboty, był to dzień wypłaty i że zazwyczaj wtenczas na ulicy Mouffetard, pełno bywało ludzi, niezbyt przyjaznych dla jego sutany. Nawet świętobliwemu człowiekowi przykro jest, spuszczać oczy wobec nieprzychylnych spojrzeń i zatykać uszy na obelżywe słowa, dochodzące go po drodze. W szczególności, lękał się pewnego szynku, gdzie jasno płonął gaz, a przez drzwi otwarte wydzielała się woń alkoholu i okazywały się całe szeregi beczek, zdobnych w etykiety: *Absynt*, *Bitter*, *Madera*, *Vermuth* i t. d. Tam, przed szynkfasem, w długich bluzach i wysokich czapkach, stała zawsze gromada zuchów, którzy za biednym księdzem, przemykającym się śpiesznie, rzucali obelżywe słowa.

Ale owego wieczoru, ponieważ słońce opustoszyła ulice, ksiądz Faber bez przeszkody przybył

do kościoła. Umoczył palec wskazujący w kropielnicy, przeżegnał się, oddał krótki pokłon przed wielkim ołtarzem i kierował się ku konfesyonałowi. Nie przyszedł napróżno, czekał bowiem penitent.

* * *

Penitent! Była to rzecz rzadka i wyjątkowa u Ś-go Medarda. Spostrzegłszy przy czerwonym świetle wiszącej lampy u sklepienia kaplicy, krótką, białą sukmanę i podeszwy z dużymi gwoździami, u klęczącego człowieka, ksiądz pomyślał, że to być musi robotnik, który zachował wiarę wieśniaczą i dobre nałogi praktyk religijnych. Spodziewał się, że spowiedź, jaką usłyszy, będzie tak banalna, jak tej kucharki z ulioy Monge, która oskarżywszy się o branie koszykowego, w żaden sposób nie chciała go zwrócić. Ksiądz uśmiechał się nawet, przypominając sobie krótką formułkę, jakiej użył pewien mieszkaniec przedmieścia, który przyszedł po świadectwo odbytej spowiedzi, potrzebne do aktu ślubnego. „Nikogo nie zabiłem, ani okradłem; co się tyczy reszty, to niech mię ksiądz proboszcz przetrząśnie.” Wikaryusz wszedł zatem spokojnie do konfesyonału i uraczywszy się sporą dozą tabaki, z zimną krwią odsunął zasłaniające okienko firaneczkę z zielonego merynosu.

— Księżę proboszczu—odezwał się ostry głos, starając się być jaknajcichszym.

— Nie jestem proboszczem, mój przyjacielu. Zmów *Confiteor* i nazywaj mię ojcem.

Człowiek ten, którego twarzy oblanej cieniami, nie mógł widzieć ksiądz Faber, powoli wybąkał modlitwę, którą sobie widocznie z trudnością przypomniał, poczem rzekł znowu głuchym głosem:

— Księżę proboszczu... nie... ojcze... zresztą, proszę mi darować, że nie umiem stosownie przemawiać, bom się nie spowiadał od dwudziestu pięciu lat... tak... odkąd opuściłem swoje strony. Wiadomo księdzu, co to jest Paryż... nie byłem gorszym od innych i mówiłem sobie: Pan Bóg musi być dobrotliwy... Ale to, co dziś mam na sumieniu, jest za wielkim ciężarem, żebym go zdźwigał, musisz więc mię wysłuchać, księżę proboszczu... zabiłem człowieka!

Ksiądz podskoczył na ławeczce. Zabójca? Nie szło o roztargnienie podczas nabożeństwa, o obmowę bliźniego oraz inne błahe grzechy starych babin, których słuchał bez uwagi i które rozgrzeszał na ślepo... Zabójca! To czoło tak blizkie jego czoła obmyśliło i wykonało zbrodnię i nosiło się z tą myślą; te ręce złożone na konfesyjonałe, może są jeszcze krwią zbroczone? Zmieszany i nawet nieco strwożony, zdobył się ksiądz tylko na machinalne słowa:

— Spowiadaj się, mój synu... Miłosierdzie Bożkie jest bez granic.

— Wysłuchaj więc, księżę proboszczu, całej historyi — rzekł ów człowiek, głosem zdradzają-

cym głęboką boleść.—Jestem mularzem i przybyłem do Paryża, przeszło dwadzieścia lat temu. Towarzyszył mi przyjaciel lat dieścięcych, z którym razem wykradaliśmy gniazda i uczyliśmy się czytać w szkole. Był to prawie brat, nazywał się Filip... a mnie Jakób na imię... On był słusznego wzrostu i przystojny chłopiec; ja zaś ociężały i niezgrabny. On służył jako zdolny robotnik, ja byłem tylko partaczem. Przytem Filip był dobry, odważny i szczery... Pysznilem się, że z nim byłem przyjaciel, że chodzę z nim razem na przechadzki, że mnie klepie po ramieniu, nazywając ciężkim głupcem. Słowem, kochałem go, bom go podziwiał! Zaledwieśmy tu przybyli, posłużyło nam szczęście, bo obu nas przyjął jeden majster... ale wieczorem zostawiał mnie samego, po większej części i szedł się bawić z towarzyszami... Było to naturalne w jego wieku... lubił używać życia, a wolny był, nie miał obowiązków... Ja zaś musiałem oszczędzać, żeby móc coś posłać chorej matce, którą zostawiłem w swoich stronach. Jadałem w tym domu, gdzie mieszkałem, u przekupki legomin, gotującej dla mularzy... Filip stołował się gdzieindziej; co prawda, nędznie nas żywiła, ale że to była uboga wdowa, wiedziałem, że jadając tam, oddaję jej przysługę. Zresztą, muszę przyznać, że się odrazu zakochałem w jej córce... Biedna Katarzyna! Zaraz się dowiesz, księżę proboszczu, co się stało... Przez całe trzy lata, nie śmiałem jej wyznać mo-

ich uczuć. Jak powiadam, lichesy ze mnie był robotnik, więc odrobina, jaką zarabiałem, zaledwie wystarczała na moje potrzeby i na pomoc dla chorej matki. Niepodobna było myśleć o zeniaczce... Nakoniec, moja zacna matka poszła do nieba, było mi więc lżej, odłożyłem trochę pieniędzy i gdy mi się zdawało, że ich mam dosyć, żeby rozpocząć własne gospodarstwo, odezwałem się do Katarzyny z mojem uczuciem. Zrazu nie odpowiedziała ani tak, ani nie. Wiedziałem z góry, że mi się nie rzuci na szyję, bom nie miał w sobie nic pociągającego... Jednakże Katarzyna naradziła się z matką, która ceniła mię jako pracowitego robotnika i statecznego człowieka, małżeństwo zostało więc postanowione... Ach! miałem kilka tygodni szczęścia! Widziałem wprawdzie, że Katarzyna znosi mię tylko, że niema do mnie pociągu, ale znając jej dobre serce, spodziewałem się, że powoli, powoli, przywiąże się do mnie. Rozumie się, że to opowiedział Filipowi, z którym widywaliśmy się codzień przy robocie i gdy Katarzyna została moją narzeczoną, zapragnąłem, żeby ją poznał... Może ksiądz proboszcz odgadł już resztę... Filip był przystojny, wesoly mężczyzna, słowem miał właśnie te zalety, jakich mnie brakowało i mimowoli, nie wiedząc o tem, rozkochał w sobie Katarzynę, do szaleństwa. Jak tylko zmiarkowała, co się z nią dzieje, mając otwarte i uczciwe serce, zaraz mi to wyznała... Nigdy nie zapomnę tej chwili! Był to dzień imie-

nin Katarzyny; na wiązanie kupiłem jej więc medalionik złoty i włożyłem go ładnie na wacie do nowego pudełka... Byliśmy sami w izbie za sklepem, podała mi właśnie zupę. Wyjąwszy pudełko z kieszeni, otworzyłem je i pokazałem podarek. Wtedy rozplakała się, mówiąc:

— Wybacz mi, Jakóbie i zachowaj to dla przyszłej żony. Ja nie mogę nią zostać... bo... kocham Filipa.

* * *

Przyznaję, że ciężko przeboleał to zmartwienie, ale cóżem miał zrobić, kochając ich oboje? To, co mi się wydawało ich szczęściem—połączył ich z sobą! Ponieważ Filip zawsze lubił trochę hulać i rzadko miał grosz przy duszy, pożyczyłem mu uciulane oszczędności, na zakupienie potrzebnych sprzętów.

Pobrali się więc i w początkach wszystko szło dobrze. Urodził się im synek, którego jako chrzestny ojciec nazwałem Kamilem, na pamiątkę matki mojej. Wkrótce po jego przyjściu na świat, Filip zaczął żyć nieporządnie. Omyliłem się na nim; nie był on stworzony do stanu małżeńskiego, bo zanadto lubił uciechy i pijatykę. Przemieszkując w dzielnicy ubogiej ludności, musisz znać, ojciec, smutną historję robotnika, który powoli wpada w lenistwo i pijaństwo, po dwa i trzy dni próżnuje, nie przynosi już rodzinie ty-

godniowego zarobku i jeśli znużony hulanką powraca do domu, to tylko po to, żeby wzniecać swary i bić żonę. Otóż w przeciągu niecałych dwu lat, Filip wyszedł na jednego z tych niepomiów. Z początku próbowałem robić mu uwagi i czasami, wstydzając się swego postępowania, usiłowałem poprawić się. Ale to nie trwało długo... Przytem morały moje gniewały go i gdy będąc u niego, spoglądałem smutno na pokój opustoszo-ny z powodu, że wszystko prawie było zostawio-
ne w Mont-de-Piété i na biedną Katarzynę, wychudłą i wybladłą od zmartwień, wpadał we wściekłość.

Pewnego dnia, odważył się zrobić mi scenę zazdrości z powodu swej żony, chociaż jest to kobieta nieskazitelnej uczciwości. Przypomniał mi, że się w niej kochał niegdyś, oskarżał, że trwam w tem uczuciu i plótł różne głupstwa i bezecenstwa, które mi wstyd powtórzyć. Owego dnia, mało brakowało, żebyśmy się na siebie nie rzucili..... Uczyniłem wtedy to, co było moim obowiązkiem: wyrzekłem się widoku Katarzyny i chrestniaka. Co się zaś tyczy Filipa, tom go już spotykał tylko przypadkiem, gdyżśmy mieli wspólną robotę przy jakiej budowli.

Ale rozumie się, że byłem zbyt przywiązany do Katarzyny i małego Kamila, żeby ich całkiem stracić z oczu. W sobotnie wieczory, wiedząc, że Filip poszedł pić z towarzyszami, włóczyłem się po dzielnicy, żeby spotkać dziecko. Jakiem

zmiarkował, że bardzo krucho u nich w domu, naturalnie, że nie wracało z pustemi rączkami. Ten nieszczemny Filip musiał wiedzieć, że dopomagam jego żonie, ale zamykał na to oczy, bo mu z tem było wygodnie. Dosyć tych smutnych szczegółów; powiem jeszcze tylko, że dużo lat upłynęło; Filip brnął w złem coraz bardziej, ale Katarzyna, którą wspomagałem w miarę możliwości, wychowywała syna... Jest to teraz ładny dwudziestoletni chłopak, dobry i dzielny jak jego matka... On nie jest robotnikiem, bo odebrał edukację... uczył się rysować w wieczornych szkołach i teraz pracuje przy architekcie, z czego ma niezłe utrzymanie. Chociaż obecność pijaka zawsze czyni ich dom smutnym, jest tam już lepiej, bo Kamil niezrównanie dobry dla matki. Kiedy spotykam Katarzynę, a bardzo jest zmieniona biedaczka, pod rękę z synem, z pańska ubranym, serce mi się raduje.

Wczoraj wieczór wychodząc z mojej garkuchni, spotkałem Kamila i ściskając się z nim za rękę, bo on wcale nie dumny i nie wstydzi się mojej bluzy gipsem powalanej, zauważyłem, że jakiś nieswój.

— Co ci jest? — pytam.

— Ciągnąłem wczoraj los — odrzekł — i dostał mi się Nr. 10, jeden z tych, za którym jedzie się zdychać na febrę w koloniach, wraz z marynarzami. Będę musiał zostawić matkę na pięć lat przy najmniej, samą jedną, bez środków do utrzyma-

nia, z ojcem, który tak pije i dokucza, jak nigdy. Ona umrzeć gotowa! Ach! nad ubogimi wisi klątwa!

Jakże przykrą noc miałem! Wyobraź sobie tylko, księżę proboszczu, dwadzieścia lat wysiłków tej biednej kobiety w niwecz obróconych w jednej chwili, dlatego, że głupi traf kazał dziecku wyciągnąć z worka zły numer! To też dziś rano, po tej bezsennej nocy, byłem pochylony jak starzec, idąc do owego domu, który budujemy teraz, przy bulwarze Arago. Pomimo zmartwienia, trzeba pracować, nieprawda? Wgramoliłem się na sam szczyt rusztowania, bo jużśmy doprowadzili budowlę do czwartego piętra — i zaczynam układać sklepienie; nagle, czuję, że mię ktoś klepie po ramieniu... był to Filip! .. W ostatnich dniach, jeżeli pracował, to tylko przez osobliwą zachciankę i widocznie przyszedł w celu zarobienia na pijatykę; ale majster zagrożony za płatą kary, jeśli nie skończy tej budowli na czas umówiony, przyjmuje każdego, co się zgłasza.

* * *

Dosyć dawno nie widziałem Filipa; trudno mi go więc było poznać. Spalony i wysuszony przez wódkę, brodę miał siwą i ręce drżące; zupełny był starzec, ruina.

— Cóżto — odezwałem się — mały wyciągnął zły numer?

— I cóż z tego? — odrzekł ochrypłym głosem i z brzydkim spojrzeniem. — Czy i ty myślisz mię tem nudzić, jak Katarzyna i Kamil? Chłopak zrobi to, co inni, będzie służył ojczyźnie! Wiem ja dobrze o co im chodzi, żonie i synowi... Gdybym nie żył, toby on nie wyjechał... Ale jak na złość, tęgo się jeszcze trzymam i Kamil nie jest synem wdowy!

Synem wdowy!... Ach, księżę proboszczo, dla czego miał nieszczęście wymówić te wyrazy! — zaraz mi przyszła do głowy zła myśl i nie opuszczała mię cały ranek, podczas kiedym pracował obok tego niegodziwca. Wyobrażałem sobie cierpienia biednej Katarzyny, gdy nie będzie miała syna, żeby ją żywił i bronił, kiedy pozostanie sama, z tym niecnym pijakiem, tak zbydlęconym, że zdziczał już zupełnie i zdolnym jest do wszystkiego złego... Jedenasta wybiła na sąsiednim zegarze i robotnicy zeszli na śniadanie. My dwaj, z Filipem, zostaliśmy ostatni. Wchodząc na drabinę, żeby się także spuścić, patrzy on na mnie z szyderczym uśmiechem i powiada swym pijackim głosem:

— Jak widzisz, tęgo się jeszcze trzymam i Kamil nie tak prędko będzie synem wdowy.

Wtedy ze złości krew mi uderzyła na mózg! Porwałem obiema rękami za szczeble od drabiny, której Filip czepiał się, wołając: „Na pomoc!” i w jednej chwili zepchnąłem go na ziemię!...

Odrazu się zabił... wszyscy są przekonani, że się to stało z wypadku, a Kamil jest teraz synem wdowy i nie pojedzie!

Oto czegom się dopuścił, księżę proboszczu i co czułem potrzebę wyznać Tobie i Bogu. Rozumię się, że żałuję tego czynu, ale niechaj nie widzę Katarzyny, jak idzie w żałobnej sukni, uszczęśliwiona, pod rękę z synem, bo gotów jestem przestać żałować mej zbrodni... Aby tego uniknąć, wyemigruję do Ameryki. Co się tyczy pokuty, oto jest, księżę proboszczu, złoty medalik, którego Katarzyna nie przyjęła wtedy odemnie, wyznając, że się kocha w Filipie. Zawsze go zachowywałem na pamiątkę jedynych dobrych dni, jakie zaznałem w ciągu życia... Weź go, Ojczy i sprzedaj, a pieniądze rozdaj ubogim.

* * *

Czy Jakób powstał z klęczek rozgrzeszony przez księdza Fabera? Co pewna, to że stary kapłan nie sprzedał złotego medalionu. Wrzuciwszy do skarbonki kościelnej sumę, wynoszącą mniej więcej wartość tego przedmiotu, powiesił go, jako *ex voto*, na ołtarzu w kaplicy Matki Boskiej, gdzie często chodzi modlić się za biednego mularza.

Scenariusz.

W pewnej restauracyi, przy ulicy du Dragon, gdzie jadłem często śniadanie z przyjacielem moim, studentem prawa, widywałem niegdyś jednego z waryatów, czy też oszustów, którzy się podawali za Ludwika XVII.

Był to starzec dosyć wysokiego wzrostu, suchy i chudy, z cerą koloru wina, z nosem mniej więcej burbońskim, z białym, jakby u starego dzika zarostem, który mu nadawał fałszywe podobieństwo z popularnym Bearneńczykiem z Pont-Neuf. Znak szczególny: odcięte jedno ramię i rękaw od czarnego, przyzwoitego tużurka, starannie zwinięty pod pachą. Zdaje mi się, iż ten jegomość, o którego śmierci donosiło w swoim czasie kilka dzienników, był raczej obłąkanym aniżeli szalbierzem, twarz bowiem jego tchnęła uczciwością i szczerością. Jakkolwiek mówiono mi w owym czasie, że ofiarując mu filizankę kawę, łatwo go skłonić do opowiadania smutnych przygód, jakich zaznał w charakterze nieuznane-

go Delfina, nigdy nie miałem tej ciekawości i nikt z młodzieży, jadającej w owej restauracyi, nie uległ okrutnej chęćce zabawienia się kosztem biednego starca. Wszyscy okazywali względy należne wiekowi i przez ten wrodzony popęd, który wschodnim ludom każe oziębłość obłąkanych jakby świętych; nie drażnili go nigdy, owszem szanowali jego obłąd. Naśladując ich w tej delikatności, widywałem tylko, lecz nie poznałem króla arcy-chrześcijańskiego, tego mniemanego starszego syna kościoła, który tyle razy, w mojej obecności, powoli spożywał jajka z serem i maczał biszkopt w ostatnim kieliszku swej półbutelki Bordeaux.

Ale sam widok tego starca, podającego się za dostojnego męczennika z Temple, musiał pobudzać do marzeń młodego poetę, oczarowanego okolicznościami jego życia. Ten samozwaniec napotkany przypadkiem, natchnął mię wtedy przedmiotem do dramatu. Prawdopodobnie, nigdy z niego nie skorzystam, ale dziś bierze mię ochota naszkicować go zlekka.

* * *

Pewien szlachcic, osobisty przyjaciel hrabiego Prowancyi, hrabia de * * *, odbył kampanię amerykańską i przejął liberalne idee, jakie armia Lafayette'a przyniosła z sobą. Gdy rewolucya wybuchła, zrazu brał w niej gorliwy udział;

wkrótce jednak nadużycia zrodziły w nim nie-smak i postrach, cofnął się więc i le Feuillant nie stał się Jakóbinem. Jednakże, brzydząc się gwał-tami stronnictwa ludowego, oplakuje niepewną lub zdradliwą politykę Dworu. Ucieczka do Va-rennes oburza go i Dziesiątego Sierpnia, nie znaj-duje się on z mieczem w ręku, na wschodach w Tiuleryach.

Ale więzienie, wyrok śmierci króla, a zwa-sza też królowej, wznecają wyrzuty sumienia w tej duszy skłonnej do skrupułów: on, szlachcic, wierny ciągle, w głębi serca sprawie króla—wy-rzuca sobie swą niepewność i wahanie, układa projekt i podejmuje się wyzwolić dziecię kró-lewskie więzione w Temple.

Powiodło mu się to przedsięwzięcie. Mniejsza o romantyczne środki, jakich użył do ułatwienia porwania. Będzie w czem wybierać, bo znajdzie się ich kilka w fantazyjnych opowiadaniach Ma-thurin'a Bruneau, d'Hervagault, barona Riche-mont, de Naundorff, etc. Czy hrabiemu de * * * uda się porwać Delfina na koniu kartonowym, w któ-rym to wybiegu naśladowałby greków i wzięcie Troi; czy przez pozostawione w więzieniu, na miejscu Ludwika XVII dziecię, idyotyczne i głu-chonieme—wszystkie te niedorzeczności podawali, jako wypadki bardzo prawdopodobne, pewni hi-storycy, nawet Ludwik Blanc, jeżeli się nie myłę. Dramaturg ma zatem prawo uznać je, także za prawdziwe i wyciągnąć z nich korzyść dla siebie.

Dziecię jest więc uwolnione; ale w jakimże oplakany stanie! Okrutne obchodzenie się katów, doprowadziło je do najwyższego stopnia tego, co ludzie nauki nazywają wyczerpaniem fizyologicznem. Całe ciało ma pokryte ranami, utraciło mowę, rozum jego jest obłąkany (szczegół wielkiej wagi) i pamięć postradało.

Wybawca umieściwszy Delfina w bezpiecznem miejscu i otoczywszy go gorliwemi staraniami, zastanawia się, co z nim robić? Czy go oddać rodzinie? W oczach dawnego towarzysza broni Lafayette'a, w oczach szlachcica wolnomyśliciela, bracia Ludwika XVI, prowadzili bezbożną wojnę z Francją, walcząc przeciwko niej z cudzoziemcami. Gdyby im oddał dziecko, z pewnością karmiliby je przesądami starej dynastyi i gdyby kiedy wstąpił na tron, byłby złym królem. Marzyciel ten i ideolog, obmyśla więc plan dziwnie zachwały: zatrzymać chłopca przy sobie, uciec z nim do Ameryki, skorzystać z chwilowego obłądu, zedy weni wmowić, gdy odzyska inteligencyę, że jest synem prostego osadnika, dać mu zdrową i hartującą edukacyę pracy i ubóstwa, a później, skoro okoliczności wymagać tego będą, wyjawić mu tajemnicę jego urodzenia i powiedzieć:

— Sądziłeś, żeś prosty obywatel kraju wolnego? Tymczasem jesteś królem Francyi... Idź panować nad twym narodem i daj mu wolność!

Ponieważ trudno zbudować inaczej melodramat, trzeba się więc udać do jakiejś sztucznej po-

mocy, do „krzyżyka mojej matki”, który będzie dowodem materyalnym i niezaprzeczalnym tożsamości Delfina. Kiedy mamy bujać w dziedzinie fantazyi, co byś powiedział czytelniku, na trzy lilie wypiętnowane na jego ramieniu, przez hrabiego de * * *, któremuby się udało zawiadomić o tym fackie *Madame Royale*, siostrę i towarzyszkę niewoli Ludwika XVII?

Hrabia doprowadza do skutku osobliwe swe przedsięwzięcie. Zawiadomiwszy ksiąząt o ucieczce i o nowym losie ich siostrzeńca, wsiada z chórem dzieckiem na okręt w Nantes, płynie do Ameryki i osiedla się w Luizyanie, gdzie kupuje małą plantacyą za ostatki złota. Tam, młody książę bardzo powoli przychodzi nakoniec do siebie i jakby dla poparcia zamysłów hrabiego, pozostają luki w pamięci dziecka, które zachowuje o przeszłości swojej straszne ale bardzo mętne wspomnienie.

Lata upływają i podczas kiedy tam, na starym lądzie, Napoleon robi ciągle przewroty w mapie Europy, syn Ludwika XVI staje się pięknym, dumnym, inteligentnym i odważnym młodzieńcem, a jego mniemany ojciec, szlachcic plantator, w swym drewnianym domku, czywa zazwyczaj późno w noc nad „Emilem” Rousseau, stosując do ucznia swego edukacyę liberalną i filozoficzną.

Wiadomość o klęskach wielkiej armii w Rosyji i o bitwie pod Lipskiem, pobudza hrabiego do poważnych rozmyślań. Przewiduje on, że Cesar-

stwo runie i czuje, że zbliża się chwila, kiedy będzie musiał wyjawić Delfinowi tajemnicę jego królewskiego pochodzenia. W tymże czasie zapada on w śmiertelną chorobę; redaguje więc do dawnego przyjaciela swego księcia Prowancyi, późniejszego Ludwika XVIII, uroczyste pismo, które podpisuje i pieczętuje swym herbem, a czując zbliżające się konanie, wyjawia wszystko zdumionemu młodzieńcowi, wręcza mu list i umiera.

A co? Jaka scena! A monolog przy zwłokach! Odgadujesz to wszystko, czytelniku i nie masz nic przeciw temu, żeby autor wylał tu potoki wymowy. Ale ja tu kreślę tylko krótki scenariusz, dorywczy plan, muszę więc przyspieszać bieg wypadków.

Młody książę wylądowuje w Hawrze, w ostatnich dniach marca 1814 r. i przybywa do Paryża, jednocześnie ze sprzymierzonymi. Odnajdujemy go z fuzyą w ręku przy rogatece Clichy, poza harcappem i skrzydełkami starego Moncey'a, gdyż na huk armaty, który sądzi, że pierwszy raz słyszy (dziesiątego sierpnia, był małym dzieckiem), idzie za popędem miłości ojczyzny i jeden z ostatnich strzałów w obronie cesarza, pada z ręki dynasty królewskiego domu Francyi.

Jest to, jeśli się nie mylę, co się nazywa efekt, mówiąc językiem teatralnym.

Ciężko ranny w rozprawie pod Clichy, młodzieniec dostaje się pod troskliwą opiekę pewnej rodziny paryzkiej i córka tych obywateli... ale do-

syć... łatwo tu odgadnąć zawiązanie się intrygi. Gdy przyszedł do zdrowia, już było po wszystkim: Restauracya została ustalona, Ludwik XVIII osiadł na tronie, stare rządy prawie że wróciły. Mój liberalny Burbon nie ścierpi tego; da się poznać stryjowi, odezwie się ze swemi prawami i stworzy dla swego narodu erę niezależności i pomyślności.

Uprzedzam cię, czytelniku, że zhańbię Ludwika XVIII i dam mu „trzecią rolę,” rolę zdrajcy; ale autorowie dramatyczni są bez miłosierdzia; gotowi poświęcić własnych rodziców dla „sytuacyi.”

Dotarliśmy do sceny pomiędzy Ludwikami XVII i XVIII; jest to scena główna, scena zdolna wywołać „furore,” jak mówi nasz przyjaciel Sarcey.

Król nie może wątpić o dobrej wierze młodzieńca, którego ma przed sobą. Został on niegdyś uwiadomiony przez hrabiego de ** o ucieczce Delfina i w doręczonym mu liście poznaje nie tylko pismo, ale też idee starego przyjaciela. Plan hrabiego powiódł się: oddaje Francyi księcia, który rewolucyi wybaczył, a zasady jej przyjął i w czyn wprowadzać będzie. Truchlejąc na tę myśl, Ludwik XVIII ulega jednak w pierwszej chwili prawdziwie królewskiemu popędowi. Chce być posłusznym najważniejszemu prawu monarchii dziedzicznej i tę koronę, której tak długo pragnął i czekał, złożyć u stóp Głowy dynastyi.

Jakkolwiek poświęcenie to jest wielkie, spełnia je, wyciąga ramiona do synowca i po długim uścisku okazuje mu najgłębsze uszanowanie, nazywa go „Sire” „Votre Majesté” i stojąc, pomimo podagry w nogach, zmusza, by usiadł na jego królewskim fotelu.

Ale jestto tylko przebłysk rozczenia i szlachetności. Ambitny i chytry polityk bierze w nim wkrótce górę. Na mocy wieku swego i pokrewieństwa, wypytuje młodzieńca, daje mu rady, bada, jakie ma zamysły. W kilku słowach Ludwik XVII wyklada mu swą politykę—przyzna on wszelkie swobody i wprowadzi wszystkie reformy. Wtedy stary Burbon, szczerze zresztą przekonany, że zgubi Francję, oddając ją temu rewolucyoniście, wpada na grzeszną myśl:

— A więc—mówi do młodego księcia, dyskusya bowiem ożywiła się — twoim ideałem, jest ideał zbójców twej rodziny i króla męczennika, który był ojcem twoim?

— Ja tylko pamiętam słowa, jakie wymówił na rusztowaniu, słowa, których werbel Santerre'a nie mógł zagłuszyć: *Przebaczam moim nieprzyjaciółom!* — odpowiada Delfin.

Tego już za wiele! Stary król rzuca w ogień list hrabiego de * *, jedyny dowód tożsamości synowca i mówi te okrutne słowa:

— Delfin umarł w więzieniu Temple... Nie znam cię... Jesteś oszustem lub waryatem...

wyjdź, jeśli nie chcesz, bym cię lokajom kazał wyrzucić.

Książę oburzony tak zuchwałem i zbrodniczem odmówieniem mu sprawiedliwości, chce walczyć—niepodobna! Nareszcie, po stu dniach, pokonawszy wiele przeszkód, dociera do swej siostry *Madame Royale*, która dzieliła z nim niewolę i została potem księżną d'Angoulême. Jest ona bardzo wzruszona burbońską twarzą młodzieńca i trzema liliami wypiętnowanemi na jego ramieniu, ale nie są to przekonywające dowody; w dodatku, ażeby zamącić umysł księżnej, z rozkazu króla, tajna policya mnoży fałszywych Delfinów. Nakoniec zmęczony tem, że go mieszają z waryantami i intrygantami, zrażony i zniechęcony, nie szczęśliwy ten człowiek wyrzeka się walki, ukrywa w cieniu, gdzie go przynajmniej pociesza miłość pokornej i tkliwej kobiety, od której tron byłby go na zawsze oddzielił.

Ale to nie jest rozwiązaniem, które, wierząc mi, będzie daleko efektowniejsze. Rozwiązanie, a raczej epilog, ma miejsce na barykadzie, na jednej z ulic paryzkich, w lipcu 1830 r. Tam, głowa dynastji Burbońskiej, Ludwik XVII, król Francji i Nawarry, ponosi śmierć za prawa swego narodu, wołając: „Niech żyje Rzeczpospolita!”

* * *

Oto skromny dramat, jakim mię natchnął, około dwudziestego roku życia, widok starego bie-

daka bez ręki, który się tak nędznie żywił jajecznicą z serem, w restauracyi przy ulicy du Dragon. Niegdyś plan ten wydawał mi się wspaniały, ale dziś mniej o nim trzymam.

Wierzyłem wtedy trochę — co jest zresztą widocznem! — w idee rewolucyjne, w czyny i dzieła czystej imaginacyi. Od owego czasu zmieniłem się bardzo; z pobłażliwym sceptycyzmem spoglądam na kwestye polityczne i — rzadki to wyjątek wśród współczesnych mi ludzi — nie mam w kieszeni żadnej konstytucyi, mającej zapewnić szczęście narodowi francuzkiemu. Co się zaś tyczy pomysłów dowolnych i skomplikowanych, jakie napotykam w romansach felietonowych i w sztukach teatralnych, to je szanuję, ale oddałbym wszystkie za jedną stronicę dobrej prozy lub chętniej jeszcze za kilka pięknych wierszy.

Prócz tego legenda o Delfinach runęła; mój uczo ny przyjaciel, pan de Chantelauze, zajęty właśnie rozkopywaniem ostatnich jej rumowisk, zrzekam się więc napisania mego Ludwika XVII, który zresztą jest zbyt podobny do Fałszywego Smerdissa i Fałszywego Dymitra, wyszłych już z mody tragików przeszłego wieku.

Dosyć tego, że jeśliby jaki młody autor dramatyczny, zazdroszczący sławy panu Adolfowi d'Ennery, chciał rozwinąć ten scenaryusz i dać go wygwizdać na scenie teatru *des Nations*, odstąpiłbym mu z łatwością moich praw autorskich.

Chybiona Idylla.

Tylko starzy paryżanie wiedzą o tem, że każde przedmieście wielkiej stolicy jest małą prowincją, żyjącą osobistym życiem, mającą swych wielkich ludzi i znakomitości miejscowe. Otóż, pięć czy sześć lat temu, nikt nie był sławniejszym w dzielnicy rozciągającej się od Pól Marsowych do fortyfikacji, jak Saint-Armand, artysta do pierwszych ról, którego nazwisko wydrukowane dużemi głoskami, miało zaszczyt znajdować się zawsze na czele afisza teatru Grenelle. Prawda, że sława miała dosyć ciasne granice i że Saint-Armand, tak głośny w Javel, prawie był nieznany w Gros-Caillou—ale któż może sobie podchlebiać, że istotnie zdobył sławę? Wszakże niedawno, pewien urzędnik w merostwie, spisując akt ślubu, zapytał jednego ze świadków, Wiktora Hugo: „Czy nazwisko pańskie kończy się na t?”

Saint Armand, był to mędrzec, zadawałnial się tem, że jest bożyszczem swej dzielnicy i nie tra-piło go to, że w „Inwalidach” niema żadnego zna-

czenia. Zresztą mieć *emploa* pierwszych ról *assoluto* bez sporu, wszystkich Bressants i Mélingues i mówić protekcyjnym tonem do duenny i do komika w galowym stroju, może to wystarczyło miłości własnej, chociażby nawet—aktora. Jemu głównie idzie o to, żeby zajmował pierwsze miejsce, a nawet z różnych względów, powinien chętniej występować w skromnym teatrzyku na przedmieściu, gdzie odbiera głośne oklaski od rozentuzjazmowanej publiczności przedmiejskiej, tak rozmówianej w teatrze, że w tym światku, sumienie nieskazitelnego mężczyzny i cnota kobiety nieskalanej, chwieją się na widok ofiarowanego biletu.

Czy słynny ten artysta we wszystkich swych rolach zasługiwał na popularność? Prawie we wszystkich.

Długo obiegał on prowincye i blizki czterdziestki, Saint-Armand był mężczyzną prześlicznie zbudowanym, stworzonym do trykotów. Podobno już miał trochę wydatny brzuch? Co znowu! To tylko kamizelka, żołądek, słowem objaw zdrowia krzepkiego, który mu nie przeszkadzał w rolach uwodziciela, a dopomagał w patetycznych. Na karku jak u byka, osadzona była twarz duża o grubych nieco rysach, do optyki scenicznej doskonała, tej oliwkowo-bladej cery, co przy świetle bieleje. Oko bardzo czarne i jeszcze błyszczące, chociaż widniały już przy niem zmarszczki; włosy rzadkie, ale pod żelazkiem

fryzyera nabierające jeszcze życia, krótkie wąsy, nawet w rolach wymagających pudru — i resztki niedającego się wytepić akcentu tuluzańskiego — wszystko w nim było w harmonii, z jakimś gorącym i pospolitym talentem tuzinkowego aktora, który dyszy piersiami, chcąc wyrazić wzruszenie i tupie nogą na zakończenie tyrady.

Ale jaki też urok wywierał! Cała publiczność grenelska, uczęszczająca na pierwsze przedstawienia, to jest robotnicy z okolicznych fabryk, z twarzami czarnymi od węgla, sklepikarze umęczeni, robotnice z fabryki oygara z poślódkami palcami, nie znieśliiby innego d'Artagnan lub Lagardère; a skoro Saint-Armand miał odegrać którą z wspaniałych ról z płaszczem i mieczem, to przez cały tydzień o tem gadano.

Takie tryumfy zrodziły w nim próżność, łatwą do wytłumaczenia. Mówił on nadto chętnie o swojej osobie i swem powodzeniu. W szczególności pozwalał sobie na to w pewnej kawiarni przy ulicy Fondary, gdzie chodził regularnie co wieczór, o piątej godzinie, starannie ubrany, w tużurku obcisłym w pasie, z włosami cokolwiek podfarbowanymi, gdyż siwiały już przy skroniach, w kapeluszu wysokim i błyszczącym jak pałasz. Wtedy to, jedząc obiad z utrzymującym tę kawiarnię i jego żoną, jako człowiek przystępny i niedumny, rozwodził się ze swemi teoryjami o sztuce i przy serze, czynił często porównania pomiędzy sobą, a głównymi aktorami teatrów bulwarowych.

— Tak, tak—mówił do podziwiających go słuchaczy—jestem skromny i nie pozuję na wielkość. Zapewne Dumaine może być lepszy odemnie w *Patrie*, Taillade w *Deux Orphelines*; Lacressonnière w podwójnej roli *Courrier de Lyon*... Może być... ale się nie lękam nikogo w *Lazare le Père*.

Mamże dodać, że taki człowiek odnosił liczne i bardzo pochlebne zwycięstwa nad płcią czarującą? Niegdyś na prowincyi miał być straszny, jak niesie podanie; szpilka zdobna w czarną perłę, którą nosi Saint-Armand, wierny zawsze długim krawatom, jest w związku ze wspomnieniem tyczącem się pewnej pani prefektowej, ze zbyt czułem sercem. To też w kwestyi galanteryi miał on zasady własne i despotyczne idee—baszy, któremu dosyć rzucić chustkę, — człowieka mogącego robić wybór z pośród składanych mu hołdów. Przestrzegając hierarchii i chcąc się za kulisami utrzymać przy swej godności głównego aktora, wzgardliwie traktował aktorki i jak słoń, krył miłości swoje.

Prawdziwy stan rzeczy ukrywał on jednak pilnie... oto—od czasu jak przybył na przedmieście, zmniejszyła się liczba jego tryumfów. Kilka kochanek oficerów, kilka żon niższych urzędników, zdemoralizowanych beczynnem spędzanem popołudniem — oto i wszystko. Trzeba się było poddać konieczności. Grenelle było złym gruntem, na którym nie przyjmował się kwiat miłości. Jednakże dużo sere biło, kiedy około jede

następ udawał się na próbę; piosenki cichły w pralniach i robotnice z fabryk, przechadzające się gromadkami po chodnikach, jedząc łakocie z tutki papierowej, ze wzruszeniem ścigały go oczami. Wolny będąc od przesądów kastowych, chętnieby się uśmiechnął, do której z tych idyll przedmieściowych; ale przyzwyczajony, żeby robiono doń pierwsze kroki, czekał.. dziewczęta zaś, olśnione aureolą artysty, nie śmiały sięgać tak wysoko żądzą i nadzieją.

Dlatego, w pełni sławy, w pośrodku zimy i kiedy nastąpiło wznowienie: *Vampire*, roli do której kładł buty z chwaścikami, spodnie szare oboisłe i surdut z pelerynką, w którym to stroju był porywającym, rzecz nieprawdopodobna — Saint-Armand nie miał kochanki!

* * *

Pewnego ranka, goląc się w swym skromnym lecz wygodnym pokoju, miał bowiem trochę zaoszczędzonego grosza, smętnie rozmyślał o swem położeniu i przypomniawszy sobie konserwatorium, wyszeptał ten sławny wiersz: „*Mon innocence enfin commence à me peser*” ¹⁾ kiedy odzwierny przyniósł mu list i to od kobiety.

Nareszcie!

Ortografia wątpliwa! pismo prostej sługi. Widocznie „bardzo wielka dama,” nie jest tu w grze

¹⁾ Niewinność moja zaczyna mi już ciężyć!

jak w *Tour de Nesle*; mniejsza o to, jest to ktoś, co go podziwia, co go kocha. W liście tym, wyrażającym cześć i uczucie, błagano go, by się znajdował tegoż wieczoru, o godzinie piątej, pod dużym murem, przy ulicy Lecourbe.

Odrązu umyślił stawić się na wezwanie—i jak na takiego kata serc, osobliwa to była rzecz, do samego wieczoru był niecierpliwy i nerwowy. Nareszcie zapadł zmierzch i Saint-Armand prawie zmieszany, dążył na miejsce schadzki.

Zaległa już zupełna ciemność; mróz był suchy i gaz rzucał jasne światło na pustą ulicę. Po stronie domów, gdzieś, biegł ktoś szybko, a z drugiej strony, wzdłuż muru fabryki gazowej, ogromne rury zbiorników odbijały się na gwiazdzistym niebie.

Saint Armand zapalał papierosa, żeby sobie skrócić czekanie, kiedy głos młody i drżący trochę, szepnął tuż przy nim:

— Oto jestem!

Żywo obróciwszy głowę, przyjrzał się swojej ofercie, bo właśnie stał obok płomienia gazowego.

Było to dziecię z gminu; jedna z tych, co w pierwszych latach życia, wałęsa się po ulicy, a potem w szkole i terminie szybko dojrzewa. Może jeszcze przeszłego roku bawiła się z malcami, na wschodach pięcio piętrowego domu, zamieszkanego przez rodziny robotników; teraz nagle stała się dorosłą dziewczyną, z paryzkim wdziękiem noszącą tandetne okrycie i czapeczkę z fał-

szowanej wydry. Ma ona lat siedmnaście lub ośmnaście i jest: „*beauté du diable*,” jak mówią francuzi. Włoski jej jasne, roztrzepane, usta czerwone i zęby zdrowe, pomimo chorobliwie bladej cery, a z głębi dużych, lubieżnych oczu, tryaska spojrzenie naiwne, przypominające gałązkę bzu w szklance, w miesiącu kwietniu, na oknie kurtyzanki.

Saint Armand, upojony już technieniem młodości, wydzielajacem się z tej dziewczynki, podał jej ramię i wziął ją za pulchną ciepłą rękę, u której końcu palców były szorstkie jak zwykle u robotnic.

— Przedewszystkiem... jak pani na imię?

— Agata.

Zawstydzona, nagle spuściła oczy w asfalt chodnika; lecz nagabywana pytaniami, zwierzyła się aktorowi ze swym małym romansem. Co piętek, jako w dzień modny, chodziła do teatru Grenelle i podziwiała go we wszystkich rolach, umiała na pamięć całe frazesa i tyrady, w których naśladowała jego deklamację: „*Amelio! jest temu lat szesnaście, jak występek uczynił cię moją żoną!*...” A co, tak... nieprawdaż? W warsztacie swoim, przy ulicy Bonaparte, gdzie kolorowała obrazki świętych, o nim tylko rozprawiała, a towarzyszki, powtarzając: „Nie chciałby cię twój artysta,” namówiły ją jednakże, by doń napisała.

Wtedy ułożyła ów list — przepraszała go za pismo — i dwa dni, wahając się, nosiła go w kie-

szeni. Przed wrzuceniem go do skrzynki, kazała sobie położyć kabałę i teraz gdy dążyła na tę schadzkę, w ustach jej zasychało i serce biło. Ale przyszedł, to bardzo grzecznie, z jego strony... Tuliła się do niego, spoglądała nań z pod oka, narzucała mu się nieboga, oddawała się, zarazem zuchwała i wstydliva.

* * *

Cóż to się stało naszemu aktorowi? Przecież nie był skrupulatnym w miłosnych sprawach. Jednakże, odkąd Agata mówi, nie tak mocno ścisła ją za rękę i czuje się zbitym z tropu. Odgaduje tajemnicę jakąś, coś ciemnego i niewiadomego w mowie dziewczęcia, jest jakby zalękniony tym nieświadomym siebie cynizmem.

— Jak idziesz do teatru, w piątek — zapytał Agaty, żeby się z czem odezwać—to pewno z przyjacielem?

Ale tym razem spojrzała mu prosto w oczy, wybuchając śmiechem.

— Z przyjacielem? Zapewne... Ja nie mam przyjaciela i nigdy go nie miałam. Jeśli pan zechce widywać się ze mną czasem, to nawet będzie trudno... Z moimi rodzicami niełatwa sprawa... zawsze mię strzegli, jak żrenicy w oku. Nabrałam ja się policzków dawniej, jeślim się spóźniła do szkoły. Papa nie może się mną bardzo zajmować, bo pracuje we fryszerkach Cail... ale

mama... ach, mama jest straszna... Dopiero od-
kąd jestem w pracowni przy ulicy Bonaparte,
pozwala mi chodzić tam i napowrót samej, bo tak
daleko nie może mi towarzyszyć.. Przyjaciół?
koleżanki spokoju mi nie dają, że nie mam przy-
jaciela.

Śmiejąc się ciągle, długo szczebiotała w ten
sposób, zdradzając przerażającą szczerłość. Nie
można było wątpić, że nikt jeszcze nie zerwał tej
róży, wyrosłej w rynsztoku. Rodzice, mówiła,
chcą ją wydać za jakiegoś krawca z ulicy Croix-
Nivert, który się zajmuje naprawianiem odzieży,
szkaradny jest, czerwony, nogi ma wykoszlawio-
ne od ciągłego ślęczenia przy warsztacie, nie może
go znosić!

Raz jeszcze pytamy: co się dzieje z tym akto-
rem, uwielbianym przez kobiety, z tym Lowela-
sem prowincjonalnym, z tym Valmontem depart-
tamentalnym, który, niegdyś, obdarzony był ła-
skami samej pani prefektowej? Nawskroś jest
przejęty szczebiotaniem tej dziewicy bez niewin-
ności, i do serca jego — bo on ma serce — i niezłe,
bądź co bądź, zakrada się zwolna uczucie, w któ-
rem litość nad niesmakiem bierze górę.

Nasuwa mu się uwaga, że pomimo farb i ko-
smetyków, ma jednakże lat czterdzieści i że gdy-
by się był ożenił niegdyś, w Montauban z „nai-
wną,” mógłby mieć córkę w wieku Agaty, a wy-
chowana za kulisami, — ładny świeatek! — byłaby
może jak ta, oto...

W tej chwili księżyc się ukazał i rzuca blade światło na duże zbiorniki fabryczne, wyraźnie odbijając na murze grupę złożoną z Saint-Armanda i z Agaty. Osobliwa rzecz, patrz czytelniku! nasz aktor już nie podaje ramienia panience, stoi przed nią, trzymając za obie ręce, ale z ojcowską miną i potrząsa głową, jak człowiek, co długo przemawia i daje rady. Ale co jest ciekawe, to sylwetka Agaty na murze! Spuszcza nos na kwintę, widocznie zawstydzona, a Saint-Armand, wodzi przed nią palcem surowo, jak gdyby jej prawił morały. Czy to podobna? wyjęła chustkę do nosa z kieszeni, płacze! Ach, co on też robi... pewno zbyt ostry dla biedaczki! Nie, to dobry człowiek... pociesza ją teraz; wziął ją znów za ręce i głaszcze pieścizotliwie... Co to jest? Całuje ją... w czoło, tak to co innego! To pożegnanie; znowu ściskają się za ręce, ona się odwraca, odchodzi bardzo szybkim krokiem i ze spuszczoną głową... Boże mój! Cóż to za dziwny ruch robi sylwetka Saint-Armanda w kierunku, gdzie się Agata oddaliła... Tak... komedyant, by odegrać rolę, wyciąga ręce i błogosławi ją.

* * *

Nagle, wybiła szósta godzina na sąsiednim zegarze.

Szósta! powiedział sobie aktor. Muszę zjeść obiad naprędce, żeby mieć jeszcze dosyć czasu na ucharakteryzowanie się.

Biegąc bez tohu w stronę ulicy Fondary, myślał sobie:

— Ktoby mi był powiedział, że dziś wieczór odegram rolę „szlachetnego ojca?...” Bądź co bądź, dobrzem zrobił... Zdaje mi się, że wywarł wrażenie na tej małej, zrobi więc, co matka zechce i pójdzie za krawca... Jeśli się źle pokieruje, ja przynajmniej nie przyłożę ręki do tego bezceństwa. W każdym razie, mój kochany Saint-Armand, koledzy gotowi by cię wyśmiać, gdyby się dowiedzieli, żeś uszanował tę biedaczkę... Doprawdy, to zakrawa na czyn, godny nagrody Montyona.

Ojciec chrzestny.

Kupiec wyrobów żelaznych p. Matoussaint, bardzo się zafrasował pewnego wieczoru, kiedy służąca jego Karolina, podawszy mu wety, spuściła wstydliwie oczy i zwijając dół fartuszka, jak gdyby go obrębiać miała, oznajmiła, że zamierza wyjść za ślusarza, z ulicy Pas de la Mule.

Nic przykrzejszego jak zmiana służącej, zwłaszcza też dla człowieka mającego nałogi, dla pięćdziesięcio pięć letniego kawalera. Usunąwszy się z handlu, z dochodem wynoszącym piętnaście tysięcy franków, p. Matoussaint zadowolony był z życia, jakie sobie urządził, ośmnaście już lat temu, w swem mieszkaniu na bulwarze Beaumarchais. Karolina nastąpiła do domu jego w dniu przenosin i ciągle służyła mu wiernie i gorliwie. Prócz tego, doskonałą była kucharką, o co p. Matoussaint wiele chodziło. Co się tyczy naprzykład sufletu z serem, to się nie bała niczyjego współzawodnictwa, słowem, była to *perta!*

— Głupstwo robisz, moja kochana! — wykrzyknął ostro p. Matoussaint, ciskając serwetę. — Znam z widzenia tego twojego ślusarza... młodszy od ciebie... Może pijak, który cię bić będzie, wszystkie kobiety waryatki... zresztą, co on może robić w tej dzielnicy? Zakładać dzwonki, otwierać drzwi ludziom, co zapominają wziąć klucz ze sobą. Nic innego nie czeka, tylko nędza. Ale pannie się chce odgrywać rolę damy, mieć swój dom... Gdybyś została u mnie, byłbym cię zamieścił w testamencie. Co prawda, twoja to rzecz, ale powtarzam raz jeszcze, że głupstwo robisz.

Owego wieczoru, p. Matoussaint był w okropnym humorze, w małej kawiarni, gdzie miał swą fajkę na kołku. Z powodu nieporozumienia przy grze w bilard z p. Revillod, stolarzem z ulicy Amelot, wpadł we wściekłość i oznajmił temu ojcu rodziny, łagodnemu jak baranek, że w młodości, podróżując w handlowych interesach, pokłócił się z pewnym podoficerem od dragonów, skutkiem czego, pokieroszowali się szablami—lepiej go więc nie zaczepiać.

Jednakże, p. Matoussaint nie mógł powstrzymać swej służącej od wyjścia zamąż i ponieważ był to niezły człowiek, pomimo odrobiny egoizmu, kupił jej ślubną suknię i trzy srebrne sztuce.



W dziesięć miesięcy potem, pewnego ranka, gdy p. Matoussaint, w szlafroku, badał barometr, weszła Eufrazia, nowa sługa, którą, nawiasem mówiąc, był zachwycony i gdyby wiedział, że mu z taką łatwością zastąpi Karolinę, nie byłby się tak zgryzł; weszła zatem Eufrazia, oznajmiając, że dawna jego kucharka, przyszła z nowonarodzonym dzieckiem na ręku i chce się z nim widzieć.

Ponieważ barometr poszedł w górę, p. Matoussaint w dobrym był humorze i wesoło przyjął Karolinę.

— Aa... to twój malec... trzeba przyznać, że nie traciłaś czasu.

Karolina ubrała się w swą świąteczną suknię, tak mocno niebieskiego koloru, że patrząc na nią, możnaby dostać choroby oczu. Delikatnym i ostrożnym ruchem właściwym matkom i mamkom, odrzuciła zasłonę i kapę, pod którymi ukryte było dziecko i z dumą pokazała je p. Matoussaint, mówiąc:

— Nazywa się Wincenty. Prawda, że piękny?

Wicuş jest okropny, czerwony jak miedź, usta bezzębne, wykrzywione ma jak u starca i czepek spada mu na oczy. Zaledwie matka odsłoniła mu twarzyczkę, zaraz powieki pozbawione rzęs, roztworzyły się i noworodek wlepił w starego kawalera niepewny a surowy wzrok, swych fajansowych oczu.

— Jeżeli pan zechce zrobić wielki zaszczyt Konstantemu i mnie — Konstanty to mój mąż — to.. pan... będzie łaskaw być chrzestnym ojcem naszego chłopaczka.

Prawdę mówiąc, p. Matoussaint spodziewał się trochę powyższej prośby, powiedział nawet sobie z góry: „nie mogę odmówić... będzie to mnie kosztowało ze sto franków.” Ale w tej chwili nie myśli o chrzcie, zadziwiony i nawet nieco przestraszony, przygląda się noworodkowi, który się okropnie skrzywił i zaślinił fartuszek—powiada sobie: jak można kochać takiego potworka.

— Bardzo chętnie, moja Karolino Kiedyż obrzęd?

— W przyszłą niedzielę, o pierwszej, pomiędzy sumą a nieszporemami u Ś-go Pawła.

— A kto będzie matką chrzestną?

— Świekra moja... pan daruje... prosta wieśniaczka.

* * *

P. Matoussaint wywiązał się dobrze z zadania, odświeżywszy w pamięci *Credo*, wypowiedział je bardzo przyzwoicie, podczas gdy ksiądz kropił świeconą wodą Wicusia główkę, okrągłą i łysą jak galka. Następnie ofiarował piękne niebieskie pudelko księdzu, podał ramię mamce w chłopskim czepou i rzucał cukierki, grosze, oraz fasolę pchłookom, stojącym w progu kościoła; poczem

zaprosił całe towarzystwo do siebie na śniadanie, złożone z ciast, butersznitów, a nawet i z butelki szampana. Ślusarz popijał małemi łykami, mru gając okiem, z miną znawcy; ale w głębi duszy, myślał, że go chyba gospodarz ma za chorego, kiedy częstuje ziółkami. Co do babuni, to wziąwszy w rękę, z poszanowaniem, serwetkę podaną do herbaty, oglądała ją ciekawie, jakby jakiś osobliwy przedmiot i do użytku nieznanego w świecie cywilizowanym.

P. Matoussaint wpatruje się w chrzestniaka, który leży u Karoliny na kolanach rozpowity i podnosi w górę nóżki kabłąkowate, silnie trąc jedną stopę o drugą. Dziwna rzecz! Już się teraz nie wydaje tak bardzo brzydki p. Matoussaint. Jednak to ładniuchne, takie delikatne, takie świeże ciało maleńkich dzieci! Zaczyna dumać, że i on musiał być takim, że miał matkę, dobrą matkę, która go tak samo trzymała na kolanach i całowała z rozkoszą, jak Karolina swego malca. Skoro Wicusz został na nowo spowity i ubrany i ślusarzowa wzięła go na ręce, stary kawaler podał mu palce i uśmiechał się tkliwie, pod wąsem, gdy dziecię schwyciło go swą rączką maleńką.

Owego wieczoru pijąc kawę, były kupiec dawał dowody niezwyklej oierpliwości i spokojnie, z fajką w zębach przyglądał się, jak stolarz z uli oy Amelot strzelał bąki przy bilardzie.

* * *

— Jak się ma chrzestniak mój? — pyta p. Matoussaint, wchodząc do warsztatu, gdy przechodził przez ulicę Pas de la-Mule, co umyślnie robi od bardzo dawnego czasu.

Ale pewnego dnia, ślusarz ciska młot i sztabę czerwonego żelaza na kowadło, obciera rękę o fartuch, żeby ją podać „panu” i odpowiada na zwykłe zapytanie:

— Nie bardzo dobrze, na nieszczęście, panie Matoussaint... Izydor, porzuć miech i powiedz mojej żonie, żeby tu przyszła.

— Co mu jest? Co mu jest? — z przejęciem pyta chrzestny ojciec.

— Alboż to można wiedzieć, co jest takiemu maleństwu? Kaszle i kaszle... przytem jest tak czerwony, że mi się to niepodoba. Doprawdy, panie Matoussaint, szczęśliwy pan jesteś, żeś się nie ożenił i nie masz dzieci... To dyabelny kłopot... Doktor ma przyjść jeszcze dziś po południu.

Karolina, rozczochrana, w kaftaniku, przychodzi z czeladnikiem. Jakie ma oczy zmęczone! z pewnością całą noc przesiedziała.

— A co, jakże się ma? — zapytuje ojciec.

— Nie gorzej, mówię ci to od rana — odrzekła biedna kobieta, a w głosie jej brzmiała boleść i niecierpliwość.

— Pójdę go zobaczyć, zaprowadź mię— odezwał się p. Matoussaint, z niepokojem.

Ale Karolina, wyprowadziwszy na podwórze swego dawnego pana, wołała ze łkaniem:

— Pan go nie możesz zobaczyć... Doktor zakazał.. Lęka się, żeby to nie był krup. Jeszczem się nie odważyła powiedzieć tego ojcu; zawsze się biedak za prędko dowie. Ach, mój dobry, mój drogi paniel Co za noc... Co za noc? Takie piękne dziecko! Takie silne, choć ma dopiero dwa lata!...

I mówi, mówi, mówi, powtarzając ciągle to samo, jak waryatka; a stary kawaler, który ją trzyma za rękę, czuje na swojej — łzy biednej matki, ciężkie i gorące, jak pierwsze krople ulewnego deszczu.

— Powiedz mi, Revillod—rzekł p. Matoussaint tego wieczoru do swego przeciwnika bilardowego — czy które z twoich dzieci miało krup?

— Ludwisia... o mały włos, cośmy jej nie stracili.

Pan Matoussaint westchnął pełen otuchy, że nie wszystkie dzieci umierają na tę okropną chorobę.

* * *

Wyleczony! wyleczony!

Pan Matoussaint zaprosił wszystkich troje na śniadanie: ojca, matkę i dziecko, aby uroczyście obchodzić wielką radość. Ostrygi są na stole i pocziwiec wziął się ostrożnie do odkorkowania butelki starego Chablis.

— Eufrozyno! dzwonią... To oni, idźże otwórz!

Ale ślusarz sam wchodzi, w świątecznym stroju, niosąc na rękę chłopczyka, jeszcze nieco bladego.

— Jakto, Karoliny niema?

— Pan daruje, ale dziś na nią biedną przyszła kolej położyć się do łóżka... Nic jej nie będzie... zmęczyła się tylko podczas choroby malca.

Trzeba przyznać, że p. Matoussaint z łatwością się pocieszył po nieobecności matki. Ma on swego chrzestniaka, swego Wicusia, a jego jednego kocha teraz, na całym świecie. Jest to także pewnego rodzaju samolubstwo.

— Usiądź tu, kochanečku! — zawołał, sadzając malca na wygodnem krzeselku, które poprzedniego dnia poszedł kupić, tak, on, we własnej osobie!

Gdy chłopaczek schwycił łyżkę i zaczął nią bić głośno w talerz, ojciec z surowem wejrzeniem, krzyknął:

— Ej! mały! mały!

— Dajże pokój! — wykrzyknął p. Matoussaint, który, zapominając o ostrygach, wziął najwpierrw najśliczniejszą nerkę z półmiska, stojącego na fajercie i Wicusia poczęstował.

— Ach, panie Matoussaint! — zaprotestował ślusarz — gotowiliśmy się pogniewać. Pan go zanadto psujesz!

Ale stary kawaler, zwracając się do gościa z komicznym gniewem, zawołał, patrząc mu bystro w oczy:

— Dajże mi pokój, ojcze. Wicus jest moim ochrzestniakiem, czy nie?

Poczem, wróciwszy do dziecka, bierze nóż i widelec, pochyla się nad talerzem i ujawniając całą tkliwość uczucia w tej macierzyńskiej czynności, kraje mu mięso na małeńkie kawałeczki.

M e d a l i k.

Chmury, zbierające się cały ranek, lunęły nareszcie, przed pięciu minutami gorącym deszczem, od którego powstały duże bańki w rynsztokach. Dlatego nagle zrobiło się pusto na ulicy Sèvres, a tam na skwerze Bon-Marché, gdzie stacya dorożek, konie nieruchome, świecące od ściekającej po nich wody, stały się podobne do pokostowanych zwierząt w pudełku zabawek.

Omnibus, kursujący od Chaussée du Maine do stacyi Północnej, skręcił na rogu ulicy l'Abbé Grégoire. Dwa siwe jabłkowate konie, zmordowały się brodząc po kałużach, a pasażerowie, co czekali w biurze nadejścia omnibusu, jakby rzymskie legiony osłaniające się puklerzami, kryjąc się pod parasole, przepuszczające deszcz jak sito, dążą do ciężkiego wehikułu!

— Naprzód „Północ!” — woła konduktor, nie domyślając się, do jakiego stopnia zuchwałe jest jego wołanie...—Tylko trzy miejsca wewnętrzne.

Pierwszy, drugi! trzeci! Nikt nie odpowiada...
czwarty... piąty...

— Oto są... czwarty i piąty...—odezwał się miły głos z pod dużego, białego kornetu siostry miłosierdzia Ś go Wincentego à Paulo.

— Korespondencyi niema?

Zamknąwszy ogromne niebieskie bawełniane parasole, jakie się obecnie widuje tylko po klasztorach i na targach wiejskich, obie siostry wsiały do omnibusu.

— Jeszcze jedno miejsce! — wykrzykuje konduktor. — Numer szósty!

Znowu jakaś kobieta roztrąca tłum i podaje swój numer, kobieta z ludu, w perkalowym czepku, stara, choć ma lat dwadzieścia pięć, osłaniająca starannie dziurawym parasolem chłopczyka z zapadłym okiem i wynędzniałą twarzą, którego niesie uwieszono u szyi.

— Hej! matko!—zawołał konduktor, z którego ciekła woda, pomimo paltota gumowego—ten mały powinien już płacić za miejsce.

— Jakto? — odezwała się matka, nadrabiając miną — dopiero ma półczwarta roku!

— Gadajcie zdrowa... no, ale taka słota, siadajcie sobie!

Biedna kobieta trochę zawstydzona, zajmuje jedyne wolne miejsce przy drzwiach, naprzeciwko dwóch zakonnicy, trzymając przed sobą chłopczyka i dyń! dyń! dyń! omnibus zapelniony, rusza

dalej, z odurzającym hałasem żelaztwa i trzęsących się szymb.

Owe dwie siostry miłosierdzia, siedzące obok siebie i zupełnie jednakowo ubrane, bynajmniej nie były podobne jedna do drugiej. Starsza, była to kumoszka, mająca lat pięćdziesiąt, tęga i czerstwa, jak wieśniaczka; oddała ona konduktorowi sześć dużych sous, obwiniętych w kawałek papieru, cały majątek, jaki biedaczki te mają przy sobie. Przełożona dała im te pieniądze, poruczając jakiś interes dla szpitala Lariboisière. Otyła siostra zamaszystym ruchem wieśniaczki, postawiła duży swój kosz na kolanach i na pałąku założyła ręce. Jestto służebnica pańska, *ancilla Domini*, ale służebnica do niskich posług, do grubej roboty.

Towarzyszka jej, jest jeszcze bardzo młoda, ma lat dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery. Cała jej osoba nosi na sobie cechy delikatne i arystokratyczne, dające się scharakteryzować wyrazem: rasa. Jeden tylko Filip de Champagne byłby zdolny wymalować tę twarz bladą, o dużych piwnych oczach, już więdnącą; przezroczyście jej ręce o wysmukłych palcach, na rogowej rączce parasola oparte, godne są arcyksiężniczki.

* * *

Jacy to dobrzy ludziska ten gmin, te duże dzieci, pełne ufności i wylania, które się podzega i bałamuci niecnem i nedorzecznem pochlebstwem,

ale które ja, znam dobrze, wiem zatem, że są pełne serca! Owa prosta kobieta, owa biedna matka, zawiązała zaraz rozmowę z konduktorem, małym człowieczkiem o siwej brodzie, byłym strzelcem Wenseńskim, mającym na kurcie wypłowiałą wstążeczkę od medalu krymskiego. Od bierając trzydzieści centymów od pasażerki, nie poskąpił uśmiechu i dobrego słowa dla schorzałego chłopczyka.

— O, tak! bardzo chorował — odrzekła — właśnie odebrałam go przed chwilą, jakim go pan widzisz, ze szpitala Dzieciątka-Jezus, gdzie pozostawał sześć tygodni. Dotąd ma twarzyczkę jakby z papki papierowej... Jednakże ten stary udekorowany doktor, co jak do psów, mówi do ludzi, ale swoją drogą wygląda na poczciwego człowieka, powtórzył mi jeszcze przed chwilą: „Niechaj jeszcze przez pół roku zażywa tran rybi a wszystko będzie dobrze.” Nieprawdaż Poldku?... Leopold nazywa się... Nie będziesz się krzywił.. przelykając lekarstwo... boś to obiecał mamie.

Zmieniając nagle ton mowy, rzekła do konduktora, z jakąś sympatyczną figlarnością:

— Pan masz pewno dzieci?

— Mam.... troje—odparł stary wojak—ale duze... trzy córki. Najstarsza wyszła za mąż przed rokiem, a najmłodszą teraz oddałem do terminu.

— A więc wiesz pan, co to jest... Jak nas zaniepokoił stan małego, w złym czasie to wypadło, bo w lipcu, w samym środku ogórkowej

pory... Mój mąż jest introligatorem, trzeba panu wiedzieć, pracuje w domu i ma klientelę u burżuazyi... ale na lato wszystkie te domy wyjeżdżają na wieś, do kąpeli morskich i nie wiem już dokąd. Mój biedny malec zachorował właśnie w przeddzień uroczystości czternastego... Zaziębił się, zaczął jęczeć, uskarżał się na duszność... a głupi ojciec bawił się mimoto, wystawianiem w oknie chorągwi, czerwonych balonów i małej Republiki z gipsu... Jakże mię to niecierpliwilo! Ale cóż robić, mężczyźni muszą myśleć o polityce... To ich zabawka! Ale nazajutrz, nie była mu już w głowie iluminacya! Doktor przyszedł, skrzywił się i przyłożył biednemu dziecku na plecach wezykatoryę, dużą jak moja dłoń... Była to pleura! Słyszane to rzeczy? w tym wieku! Wyznam prawdę, żeśmy w ten czas byli w wielkiej biedzie... Mój mąż poszedł upomnieć się o należność do kilku osób... ale cóż, wszyscy się rozjechali!... Przytem, w naszym mieszkaniu, nie mógłby się wyleczyć nasz cherubinek... Zajmujemy dwa pokoiki, przy ulicy des Vinaigriers, okno od sypialni wychodzi na niezdrowe podwórko... Doktor powiedział, że trzeba go odesłać do Dzieciątka-Jezus i że nam da list do jednego z przyjaciół doktorów, mieszkających w szpitalu. Ach! jakaż to była przykra rzecz! Zawieźliśmy go dorozką—zastawiłam nawet dwa prześcieradła w Mont-de-Piété, żeby zapłacić za ten kurs... U bramy szpitala, mąż ucałował małego, którego

niosłam na rękę, obwiniętego w wełnianą kołdrę i powiedział szorstko: „Idź sama, ja nie mam odwagi.” Weszłam, bo matki są silne, ale kiedy posługacz wziął mi z rąk Leopoldka, zdawało mi się, że mi serce wyrywa z piersi... Wtedy poszłam czempredzej do ojca, który czekał na mnie, paląc fajkę. Skoro zobaczył, że wracam sama z kołdrą pod pachą, rzucił fajkę na chodnik i rozbił ją na drobne kawałki. Potem wróciliśmy do domu, jedno obok drugiego, niemówiąc ani słowa... Ach! nigdy nie zapomnę tych sześciu tygodni, co Leopold spędził w szpitalu! Było to lato, pogoda... a mnie się zdawało, że słońce już nie świeci!... Chociażem go mogła widywać w niedzielę i czwartek i pomimo zakazu, nosiłam mu słodycze, przysmaki ukryte pod chustką... chociaż mówiono mi, że zdrowszy i że z pewnością wyleczy się... Jak tylko wyszłam na ulicę, żeby wrócić do domu, łzy strumieniem płynęły mi z oczu. Trzeba je było przelękać i nie wracać zocerwonemi oczami, bo mąż mój nie mógł mi towarzyszyć, dostawszy znowu robotę... On tęsknił tak samo jak ja za małym, chociaż nadrabiał miłą. Pewnego razu, wróciwszy z targu, zastałam tego biedaka szlochającego nad starym barankiem tekturowym Leopolda, którego postawił sobie na warsztacie! Nareszcie skończyła się ta nasza niedola! — zawołała matka, pozerając chłopca pocałunkami. — Zobaczysz zaraz papę, czeka nas ze śniadaniem... Będziesz zdrów i wy-

rośniesz na tęgiego chłopca! Daleko lepiej już wygląda... Będzie zażywał tran, żeby ucieszyć matkę... Prawda, mój królu?

* * *

Podczas gdy ta kobiecina mówi z przepędnionego serca, konduktor omnibusu, który jest ojcem rodziny i stara zakonnica, dobra kobieta, słuchają jej, dodając otuchy uśmiechem. Ale o czym myśli ta druga siostra, taka blada z patrycyuszowskiemi rękami, która spuściła na oczy zasłonę ze swych aksamitnych rzęs, jak gdyby dla pogrążenia się w zadumie?

Myśli o tem, że jednakże istnieje coś takiego, jak dwie istoty złączone z sobą na dobrą i złą dolę, kochające się i mające małeńkie dziecko; myśli o tem, że niegdyś—o bardzo dawno temu—na długi czas przedtem, zanim jej miłosierne ręce dotknęły się nędzy ludzkiej, miewała sny czyste i szlachetne, których niejasne odbicie znajduje w naiwnych uczuciach, wyrażonych przez tę kobietę z gminu. Myśli o przeszłości, odnawia wspomnienia ..

Nazywała się wtedy Anna de Cardaillan, wyszła z klasztoru panien Sercanek i w książęcym pałacu ojca, wysokie okno w jej panińskim pokoju wychodziło na duży ogród. Było to na wiosnę, widziała kasztany w kwiecie, brzmiały śpiewem ptasząt. Wtenczas stryj jej, arcybiskup,

przemówił do jej rodziców za połączeniem jej z lordem Cavendale, należącym do najdawniejszej szlachty irlandzkiej... Słyszy teraz smutną melodyę minorową mazurka węgierskiego, granego przez orkiestrę w ukryciu, na tym balu, kiedy go poraz pierwszy widziała. Jakże silne wrażenie sprawił na niej od pierwszego wejrzenia, ten młodzieniec tak elegancki, któremu najeżone włosy, krótka ruda broda i oczy czarne, błyszczące jak brylanty, nadawały fatalną choć królewską postać jednego z Walezyuszów. Duglas! — nazywał się Duglas!... Przez pół roku bardzo często powtarzała to imię półgłosem, dla siebie samej, z tkliwym uśmiechem. Jednakże chwilami nie podobało jej się w nim spojrzenie zbyt zuchwałe i śmiech szydery. Potem, niespodzianie, ojciec wyjechał z nią, pewnego dnia, do jednego ze swych zamków, w głąb Owernii. Odważyła się spytać o narzeczonego, stary książę, czerwieniąc się ze złości, przykazał jej tylko, żeby nigdy nie wymieniała jego imienia w jego obecności. Posłuszną była choć z boleścią, nie rozumiejąc, aż do dnia, w którym z dziennika, co jej wpadł przypadkiem w rękę, dowiedziała się o okropnym skandalu, o tej kłótni w nocnej restauracyi, o tym pojedynku o aktorkę, o tym człowieku z zimną krwią zabitym przez lorda Cavendala, jakby przez prostego awanturnika. O całej tej hańbie, ujawnionej przed sądem kryminalnym. A daty!... te okropne daty!... Potem nastąpiła długa jej

choroba, przywoływanie Duglasa w gorączce i niepewne światło lampy nocnej wśród bezsennych nocy. Gdy jesień nastąpiła, jako rekonwalescentka, odbywała posępne przechadzki przed panoramą gór, po tarasie zamkowym, zasypanym złotymi liśmi jaworów. Wpatrzona w chmury gnane północno zachodnim wiatrem i rozdzierające się o szczyty gór, utwierdzała się zwolna w ważnem postanowieniu. Nareszcie pomimo boleści ojca i nalegań stryja, wielbnego de Cardaillan, który co prędzej przybył ze swej dyecezyi, przybrała sukienkę siostry miłosierdzia. Od sześciu lat opatruje rany, które jej zdają się łatwiejsze do zagojenia, niżeli zadana jej sercu i czuwa nad konającymi, zazdroszcząc im prawie, że się przed nią pożegnają z życiem... Naraz przypomniała sobie, że choć się uważa za umarłą dla świata, zachowała jednak i nosi na szyi medalik poświęcony przez Papieża, a przywieziony jej przez lorda Cavendale, z krótkiej wycieczki, jaką do Włoch zrobił.

Ach, jakże serce ludzkie jest słabe!

* * *

W tej chwili towarzyszka sądząc, że usnęła, dotyka zlekka jej ramienia.

— Obudź się, siostrze... już dojeżdżamy do bulwaru Magenta.

Panna Anna de Cardaillan nazywana w klasztorze siostrą Urszulą, otwiera oczy i najwpierw

spozstrzega przed sobą tę kobietę ze swoim chłopczykiem na kolanach, co była mimowolną przyczyną jej zadumy. Żywo sięga ręką do szyi, z niejaką trudnością wsuwa dwa palce pod wykrochmalony perkalowy fartuszek na piersiach, wydobywa zawieszony na cienkim sznureczku, złoty medalik, który oderwawszy jednym pociągnięciem, podaje owej kobiecie, wilgotny jeszcze od ciepła jej piersi, mówiąc:

— Bądź pani łaskawa, przyjąć tę pamiątkę i zawiesić ją na szyi swemu choremu dziecku... Jest to medalik poświęcony w Rzymie, przed sześciu laty, przez Ojca Świętego.

Chcąc uniknąć bezładnych dziękczynień matki, dąży ona za swą otyłą towarzyszką, brnącą już śmiało po błocie.

Konduktor, mający w kieszeni numer gazety *l'Intransigeant*, chętnieby powiedział jakie złośliwe słowo, ale jest to były kapral strzelców pieszych, któremu pod Bałakławą, kula rossyjska urwała pół ucha... Szanuje on kobiety. Zresztą, biedna matka patrzy na medalik z poważnym i wzruszonym wyrazem twarzy. Jako „francuz i wojak,” według słów piosenki, ze względu na płeć piękną—konduktor uśmiechnął się tylko pod wąsem.

Stara tunika.

Będąc ekspedytorem w biurach ministeryum wojny, pracowałem w jednym pokoju z kolegą Janem Vidal, byłym podoficerem, któremu amputowano lewe ramię, podczas kampanii; lecz prawą jako dzielny furyer, dokazywał cudów kaligraficznych w piśmie prostopadłem, zwyczajnem i greckiem. Jednym pociągiem pióra rysował on ptaszka w wykrętasiu swego podpisu.

Zacny to był człowiek ten Vidal! typowy żołnierz, prawy i czysty. Chociaż miał dopiero lat czterdzieści i gdzieś tam, ukazywały się dopiero siwe włosy w jasnej bródce tego byłego zuawa, jużśmy go wszyscy nazywali w biurze: Ojcem Vidal, nie tyle przez poufałość, ile przez uszanowanie; wiedzieliśmy bowiem, jakie honorowe życie, pełne poświęcenia prowadzi w taniem mieszkanku, w głębi Grenelle, gdzie przygarnął swoją siostrę, wdowę z kilkorgiem dzieci i utrzymywał całą tę rzeszę ze swego małego budżetu, to

z emerytury i z pensyi... trzy tysiące franków na pięć osób! Pomimo to, tuzurki ojca Vidal, te tuzurki, których lewy rękaw przypinał się do trzeciego guzika, — zawsze były wyszczotkowane, jakby na przegląd generała i inspektora. Poczciwiec ten brał tak na seryo swą czerwoną wstążeczkę, zawsze świeżą, że ją wyciągał z pętlicy, gdy mu wypadło nieść zawiniątko idąc ulicą, parę butów naprzykład od Latoura z ulicy Montorvueil, lub spodnie kupione rano w La Belle-Jardinière.

Ponieważ mieszkałem wówczas także na południowym przedmieściu Paryża, dosyć często powracaliśmy do domu razem z ojcem Vidal; dla rozrywki prosiłem, by mi opowiadał swoje kampanie, przebywając dzielnicę Szkoły wojskowej, gdzie na każdym kroku, spotykało się wtedy — było to w ostatnich latach cesarstwa — piękne mundury gwardyi cesarskiej, gidów zielone, ułanów białe i wspaniałe czarne ze złotem oficerów artyleryi, w których warto było dać się zabić.

Czasami, w gorące wieczory, wśród lata, częstowałem absentem mego towarzysza, przysmakiem, którego sobie odmawiał biedny Vidal, przez oszczędność — i z pół godziny siedzieliśmy przed oficerską kawiarnią, przy alei de la Mothe Pivuet. W takie dni, były podoficer, który się stał najprzykładniejszym ojcem rodziny i odzwyczyił się od pijatyki, wstawał od stołu z mózgiem nastrojonym do bohaterstwa i byłem wtedy pewny, iż

usłyszę, w dalszym ciągu powrotnej drogi, jaką piękną historję wojenną.

* * *

Pewnego wieczoru, zdaje mi się, Boże mi odpuść, Ojciec Vidal wypił dwa kieliszki absyntu, idąc wzdłuż szkaradnego bulwaru de Grenelle, zatrzymał się nagle przed wystawą tandeciarza wojskowego, których jest dużo w tej dzielnicy. Był to brudny i posępny sklep, w którego oknach widniały pistolety zardzewiałe, miseczki drewniane pełne guzików, epolety z pocerniałego złota, przy których wisiały, pomiędzy ohydnymi łachmanami, stare tuniki oficerskie, zgniłe od deszczu i wypłowiałe od słońca, ale że były wcięte w pasie a szerokie w plecach, miały jeszcze jakiś prawie ludzki pozór.

Vidal, jedyną ręką chwytając mię za ramię i zwracając ku mnie oczy niezbyt trzeźwe, podniósł część pozostałego ramienia i wskazał jedną sztukę z pomiędzy tej odzieży, tunikę oficera afrykańskiego z fałdzistą spódnicą i z potrójnym żółtym galonem na rękawie, który układał się w ósemkę w górze rękawa jak u huzara.

— Patrz pan—rzekł—to mundur mego dawnego korpusu, kapitańska tunika.

Zbliżył się, żeby lepiej zobaczyć ten łachman i przeczytawszy numer wryty na guzikach, zawołał z zapalem:

— To mój pułk!... Pierwszy zuawów!

Lecz nagle, ręka ojca Vidal, która już była schwyciła za spódnicę starej tuniki, pozostała nieruchomą, twarz mu się zasepiła, usta drgać zaczęły i spuszczać oczy, wybąknął z przerażeniem:

— Boże mój! gdyby to była jego?...

Potem gwałtownym ruchem obrócił tunikę i mogłem dostrzedz na środku pleców, w suknie, okrągłą dziurkę od kuli, otoczoną czarną krawędzią, pewnie to była stara krew.

Ta złowroga dziura budziła takie przerażenie i politowanie, jakby rana.

— Oo! to brzydka jakaś rana?— odezwałem się do ojca Vidal, który zaraz rzucił to odzienie i szedł dalej szybkim krokiem, z głową spuszczoną.

Przeczuwając jakąś historję, dodałem, dla podniecenia mego towarzysza do opowiadania:

— Zazwyczaj, kapitanowie zuawów nie dostają kul z tyłu.

Zdawał się nie nie słyszeć i mruczał tylko jakieś słowa, przygryzając wąsy.

— Jakim sposobem *ona* mogła się tu dostać? Daleka droga z batalii pod Melegnano do bulwaru de Grenelle..! Aa... rozumiem... kruki idą w ślad za wojskiem, obdzierają trupów... Ale dla czego tu właśnie o dwa kroki od Szkoły wojskowej, gdzie koszary pułku *tamtęgo*? On musiał

tędy przechodzić, musiał ją poznać... Ach, to zupełnie jakby upiór.

Mocno zaciekawiony, rzekłem, biorąc go za ramię:

— Ojciez Vidal, nie mówże tak zagadkowo, tylko mi opowiedz, co ci przypomina ta przedziurawiona tunika?

Przypuszczam, że gdyby nie te dwa kieliszki absyntu, nie byłbym się niczego dowiedział, gdyż usłyszawszy tę prośbę, rzucił na mnie podejrzliwe, prawie lękliwe, spojrzenie; lecz naraz, jak gdyby postanowił coś wielkiego, rzekł krótko:

— Dobrze, opowiem ci to... Jesteś zresztą uczonym i uczciwym młodzieńcem; budzisz we mnie zaufanie; ale gdy skończę opowiadać, powiesz mi, tylko szczerze, z ręką na sumieniu, czy ci się wydaję winnym, że postąpił tak a nie inaczej... Od czego zacząć? Uprzedzam cię jednak, że zatają nazwisko *tamtego*, bo *on* jeszcze żyje; będę go nazywał przezwiskiem, jakie nosił w pułku... *La Soif*, tak, nazywaliśmy go *La-Soif* i bardzo właściwie, bo nie wychodził prawie z szynku i wypijał dwanaście kieliszków w takt do dwunastu uderzeń zegara... Był on sierżantem w czwartym drugiego, gdzie ja był furyerem i maszerował w szeregu obok mnie. Dobry z niego był żołnierz... bardzo dobry... Pijak, awanturnik, jedyny do bijatyki, miał wszystkie złe nałogi, jakich się nabywa w Afryce, ale odważny był jak bagnet, oczy miał niebieskie i zimne jak

stał, rudą bródkę i smagłą twarz, po której zaraz się poznawało, że z tym jegomością niema żartów. W chwili kiedy przybyłem z punktu zbornego dla batalionów, skończył mu się właśnie urlop; zapisał się więc powtórnie, wziął wynagrodzenie, hulał trzy dni, podczas których włóczył się powozem po najgorszych zakątkach Algeru z kilkoma hulakami, trzymając trójkolorową chorągiew z napisem: „*To nie zawsze trwać będzie!*” Przywieziono go do koszar z głową rozplataną cięciem szabli, gdyż pobił się z pijakami u pewnej maurytanki, która kopnięta w brzuch nogą, przypłaciła bójkę tę życiem. La Soif wyleczył się, ale odsiedział dwa tygodnie aresztu i postradał galony, już po raz drugi. Gdyby nie złe prowadzenie się, La Soif, jako pochodzący z burżuazyi i mający pewną edukację, byłby oddawna oficerem... Po owej sprawie z maurytanką, odebrano mu więc galony, ale w półtora roku później, właśnie kiedym zaawansował na sierżanta, odzyskał je, dzięki pobłażliwości kapitana, starego afrykańczyka, który w Kabylii, widział go w ogniu. Cóż, kiedy posunięto starego na dowódcę batalionu, a nam się dostał dwudziestoletni kapitan, chłopiec zimny, ambitny, wielkiej wartości, jak mówiono, ale bardzo wymagający we wszystkim, co się tyczyło służby i przykry dla ludzi. Jak nic, osadzał na tydzień aresztu, za plamkę rdzy na karabinie lub guzik oderwany od kamazy; prócz tego, nigdy jeszoze

nie służył w Algeryi i wcale, ale to wcale nie uwzględniał uchybienia przeciw karności i „*la fantasia*.”

Kapitan Gentile, korsykanin, odrazu zniechęcił La Soif i ten jego nawzajem. Nie mogło być inaczej. Pierwszy raz gdy sierżant nie stawił się do wieczornego apelu: tydzień aresztu; pierwszy raz gdy się upił: dwa tygodnie aresztu. Gdy kapitan, sztywny, mały brunecik, z najeżonymi wąsami, wygłaszał mu swój wyrok, dodając sucho: „Wiem, kto jesteś i przytrę ci rogów, mój kochany;” La Soif nie odpowiadał nic i spokojnym krokiem udawał się w stronę sali policyjnej, ale kapitan byłby może zrobił ustępstwo, gdyby widział, jak sierżantowi czerwienila się twarz ze złości, skoro tylko odwrócił głowę i jaką wściekłość wyrażały jego straszne, niebieskie oczy.

* * *

Wkrótce potem, cesarz wypowiedział wojnę austryakom i wyprawiono nas do Włoch...

Ale tu nie idzie o kampanię... przystępuję do faktu... W przeddzień utarczki pod Melegnano, gdzie, jak wiesz, straciłem ramię; batalion nasz biwakował pośród małej wioseczki i przed rozpuszczeniem kompanii na noc, kapitan miał do nas krótką i dobrą przemowę. Przypomniał, że jesteśmy w przyjacielskim kraju, że nam honor nakazuje dobrze się zachować i że ktoby najmniej-

szą przykrość wyrządził któremu z mieszkańców, odebrałby należytą karę. Podczas gdy mówił, La-Soif, który stojąc obok maie, chwiał się trochę oparty o swój karabin, wychylił bowiem od rana pół puzdra u markietanki, wzruszył lekko ramionami, ale na szczęście, kapitan nie spostrzegł tego.

Wśród nocy, budzę się nagle... Zrywam się z wiązki słomy, na której spałem w podwórzu folwarcznem i widzę przy blasku księżycy gromadę złożoną z kolegów i wieśniaków, wrywających z objęć La-Soif, wściekłego jak lew, piękną dziewczynę w poszarpanem ubraniu i z rozartgany włosem, wzywającą pomocy Matki Boskiej oraz Wszystkich Świętych. Biegnę na ratunek, ale mnie kapitan wyprzedził. Jednym spojrzeniem — a prawdziwie nakazujące miał oko, ten mały korsykanin — odepchnął przestraszonego sierżanta, poczem, uspokoiwszy w kilku włoskich słowach lombardkę, stanął przed winowajcą i grożąc mu palcem, rzekł:

— Takim nędznikom jak ty, powinno się strzelać w łeb. Skoro się tylko zobaczę z pułkownikiem, znowu stracisz galony, ale tym razem, na dobre.. Jutro będzie bitwa, staraj się, by cię zabito.

Położyliśmy się spać na nowo, ale kapitan prawdę powiedział; o świcie, obudziły nas strzały.

Pobiegliśmy po broń, sformowaliśmy kolumnę i La Soif, jego przeklęte niebieskie oczy, nigdy

mi się nie wydały tak pełne złości, umieścił się obok mnie. Batalion pomaszerował. Celem naszym było, wyprzeć białe mundury, oszańcowane we wsi Melegnano. „Naprzód! marsz!” Nie uszliśmy dwu kilometrów, kiedy kartacze austriackie przecinają nam drogę i pada z naszej kompanii około piętnastu ludzi. Wtedy oficerowie nasi, czekający rozkazu do ataku, kazali nam pokłaść się w kukurydzę, jako tyralierom, oni zaś stali, naturalnie; możesz mi wierzyć, że nasz kapitan nie trzymał się mniej prosto od innych. Na klęczkach, wśród łodyg, strzelaliśmy dalej na najbliższą baterię. Nagle, czuję, że mię ktoś trąca w łokiec; obracam się, a to La-Soif, patrzy się na mnie, z usty wykrzywionemi szyderczym uśmiechem i nabija broń.

— Wszak widzisz kapitana — rzekł, wskazując nań głową.

— Widzę, więc cóż? — odparłem, spoglądając na oficera, stojącego o dwadzieścia kroków od nas.

— Źle zrobił, odzywając się do mnie w ten sposób, dzisiejszej nocy — odparł.

Poczem ruchem pewnym i szybkim wycelował broń i wystrzelił... Kapitan nagle wyprężył korpus, głowę w tył odrzucił, sekundę trzepotał w powietrzu rękami, wypuścił z ręki szpadę i padł oiężko na grzbiet.

— Zabójco! — krzyknąłem, chwytając sierżanta za ramię.

Ale on mię odepchnął o trzy kroki, uderzeniem kolby w piersi.

— Głupcze! Dowiedz, że to ja jego zabiłem!

Podniosłem się wściekły; lecz wszyscy tyralierzy także właśnie wstawali z klęczek. Nasz pułkownik z gołą głową, na koniu buchającym parą, wskazywał nam baterię austriacką, wrzeszcząc o ile mu płuca pozwoliły:

— Naprzód, zuawy... Na bagnety!

Cóżem ja miał robić... powiedz.. Nabić broń jak inni... Znakomite było to natarcie zuawów pod Melegnano! Czyś kiedy widział wzburzone morze, uderzające o skałę? Tak. To było zupełnie tak samo. Każda kompania pięła się na skałę, jak fala morska. Trzy razy bateria pokryła się błękitnymi kurtkami i czerwonymi spodniami i trzy razy powtórzyło się zniszczenie, a paszcze armat, tak nie wzruszone były jak skała po natarciu morza.

Ale czwarta kompania nasza, miała zadać ostateczny cios. Ja, w dwudziestu skokach stanąłem przy reducie, przy pomocy kolby od karabinu, lecz zdążyłem tylko spostrzedz jasne wąsy, czapkę niebieską i lufę karabinu, który mnie prawie dotykał. Otrzymałem taki strzał przy lewej łopatce, że myślałem, iż tracę ramię. Puściłem broń, zakręciło mi się w głowie, padłem na bok, przy kole od jaszczyka, starając się prawą ręką podtrzymać biedne lewe ramię zdruzgotane i przypomniałem

sobie, jak okropną zbrodnię popełnił La-Soif, zabijając zwierzchnika swego z tyłu i to podczas batalii.

Nagle wyszedł on z szeregu i przystąpił do generała. Tak, on sam, La-Soif, zabójca kapitana! W utarczce stracił nos i z czaszki płynęła krew po czole i policzku. Jedną ręką opierał się na swym karabinie, drugą trzymał poszarpaną i pokrwawioną chorągiew, którą zabrał austryakom.

Generał przyglądał mu się z widocznem uwielbieniem, wydawał mu się wspaniałym.

— Patrz no Bricourt — rzekł do jednego ze swych oficerów ordynansowych, spojrzuj... co to za ludzie!

Wtedy La Soif odezwał się swym śpiewnym głosem:

— Prawda, panie generale, ale pierwszy żuawów, już tylko na raz wystarczy!...

— Uściskałbym cię za te słowa! — zawołał generał.. — Otrzymaś krzyż... zobaczysz...

I powtarzając ciągle: co za ludzie! co za ludzie! — rzekł do swego adjutanta frazes, którego nie rozumiałem; bo, jak wiesz, prostak jestem, alem go dobrze zapamiętał: „Prawda Bricourt? To z Plutaroha!”

W tej chwili ramię tak mię zabolalo, zem omdlał znowu i jużem nie nie widział, ani słyszał.

Wiesz resztę; nieraz ci opowiadałem, że mi odcięto to ramię i że przez dwa miesiące, włożyłem się po szpitalach dręczony febrą i gorączką. W bezsenne nocy, zastanawiałem się, jak należy postąpić co do La Soif. Wydać go? Tak, było to moim obowiązkiem.. ale cóż z tego? wszakże nie mogłem dostarczyć dowodów. Zresztą mówiłem sobie: Łotr z niego, ale jest waleczny. Zabił kapitana Gentile, ale zdobył chorągiew nieprzyjacielską... I nie wiedziałem co postanowić... Gdy nareszcie zaczął przychodzić do siebie, dowiedziałem się, że w nagrodę za swój chwalebny czyn, La Soif przeszedł ze swym stopniem do gwardyi żuawów i dostał order. Ach, zrazu obrzydziło mi to krzyż, który pułkownik nasz przypiął mi, właśnie do szpitalnej kapoty. Bądź co bądź, La Soif także na swój zasłużył, tylko że jego znak legii honorowej powinien był służyć za cel obowiązanemu go rozstrzelać... Ale... wszystko to już dawno minęło, nigdy już nie widział sierżanta, który dziś jest w służbie, a ja ją porzuciłem... Przed chwilą jednak, zobaczywszy tę tunikę przedziurawioną, która, Bóg wie jakim sposobem, dostała się tutaj i wisi u tandeciarza o dwa kroki od koszar, gdzie mieszka zabójca, przypomniałem sobie tę nieukaraną zbrodnię i zdawało mi się, że kapitan żąda sprawiedliwości.

*

*

*

Staralem się uspokoić ojca Vidala, którego to opowiadanie wielce rozdrażniło, zapewniając, że nie mógł lepiej postąpić i że waleczność sierżanta zrównoważyła jego występki.

W kilka dni potem, przybywszy do biura, zastałem już Vidala, który podał mi dziennik złożony w ten sposób, bym przeczytał tylko jeden artykuł, przyczem szepnął z miną uroczystą:

— Czy nie mówiłem?

Wziąwszy dziennik, przeczytałem co następuje:

„Jeszcze jedna ofiara niewstrzeżliwości. Wczoraj po południu, na bulwarze Grenelle, niejaki Mallet, przezwany La-Soif, sierżant od żuawów gwardyi cesarskiej, który w towarzystwie dwu kolegów, nadto się raczył w okolicznych szynkach, nagle uległ chorobie *delirium tremens*, w chwili kiedy się przyglądał starej tunice na wystawie u tandeciarza.

„Wpadłszy w zupełny szal, podoficer ten wyjął z pochwy bagnet pałasz i biegał, siejąc postrach po drodze. Dwaj towarzysze wojskowi, z największą biedą przytrzymali szaleńca, który opanowany wściekłością, wrzeszczał: „Ja nie jestem zabójcą!... Zdobyłem chorągiew austryacką pod Melegnanol

„Rzeczywiście, zapewniano nas, że Mallet został dekorowany za ten znakomity czyn żołnierski i że tylko zadawniony nałóg do picia, przeszkadza mu zostać oficerem.

Odprawiono Malleta do szpitala wojskowego Gros Caillou, z kąd wkrótce będzie przeniesiony do Charenton; jest to bowiem wątpliwe, żeby ten nieszczęsny odzyskał jeszcze rozum."

Skorom oddał dziennik ojcu Vidal, spojrzawszy na mnie znacząco, zakonkludował:

— Kapitan Gentile był korsykaninem, więc się zemścił!

Wieczór jesienny.

Być kochanym, jest to tylko przyjemność.. ale ten dopiero ma złudzenie szczęścia, kto sam kocha. Nikt nie jest bardziej przekonany o tej prawdzie, jak słynny muzyk Michał Paz, jedyny kompozytor walców, którego można wymienić po Szopenie. Jeżeli są wiadome ludziom, niektóre jego powodzenia miłosne, to nie skutkiem jego niedyskrecyi, gdyż delikatny ten artysta bynajmniej nie jest samochwałem; pomimo jego woli, nabrały one rozgłosu, ale najpochlebniejsze pozostały w ukryciu. Gdy jasno-włosy ten słowianin, siada przy fortepianie i powoli zdejmuje rękawiczki ze swych pięknych, bladych rąk, kobiety patrzą nań z biciem serca i przypominają sobie historię ślicznej rossyanki, która delikatnie przezeń odepchnięta, zadała sobie śmierć w Nizy, przyłożywszy do ust i nosa kawałek waty w chloroformie umaczanej; ale tego nie domyślają się, że cyfra cienkiej chusteczki, którą artysta obcie-

ra palce przed zaczęciem preludyj, jest wyhaftowaną włosami jednej z Książęcych Wysokości.

Michał Paz tak samo odrzucił dwa miliony posagu młodej rossyanki, jak tam, na Północy, nie przyjął propozycyi miłostek królewskich. Nie miał w tem żadnej zasługi, bo nie kochał. Ale ileż razy uległ ten człowiek, obdarzony namiętą wyobraźnią? Iluż kobietom oddał swe życie, rzadko przez próżność, prawie zawsze przez kaprys żądz, prawie zawsze niespodzianie, przez miękkość serca, niestety! nigdy z miłości!

Ale nie! kochał się on na dobre, niegdyś, bardzo dawno temu, gdy biegał po błocie w Paryżu za lekcyami i bił w kotły wieczorem, w teatrze Ambigu.

Jakaż to smutna, jak okropna była miłość! Dla dziewczyny dziesiątego rzędu, dla cudzej metre-sy! Z całą hańbą i odrazą podziału, z zazdrością bezsilną i wściekłą ubogiego kochanka, któremu aktorka ta w chwilach łaskawych, jakby kość do ogryzienia, kłamliwym swym głosem, rzucała te okrutne słowa:

— Co ci to może szkodzić, kiedy ciebie jednego kocham?

Zerwał ten łańcuch po kilku latach niewoli, w chwili kiedy sława mu się uśmiechała i kiedy jego *Valse des Nixes*, porywał odurzającym wirem kobiety w dworskich sukniach, na woskowanych posadzkach w Compiègne i na podłogach pełnych kurzawy w Elysée-Montmartre. Od tego to czasu

stał się on sławnym Michałem Paz, przebiegł Europę, dając koncerty i na spodzie walizy, przywoził, rzucone bez ładu, słodkie bileciki, pisane we wszystkich językach i ordery wszystkich krajów. Ale karmiony w młodości gorzkim i wzmacniającem mlekiem przez tę dobrą mamkę, jaką jest ubóstwo, pozostał człowiekiem prostym i rozsądnym. Nigdy nie nosił wstążeczek orderowych; a gdy odczytuje stare listy miłosne i uprzytomnia sobie wszystkie te jednoroczne lub jednodniowe stosunki, w których zużył życie, często przypominają mu się, z żalem, który mu lica pokrywa rumieńcem, te wieczory zimowe, kiedy po teatrze, biedny wówczas muzyk z orkiestry, biegł stanąć na ulicy u wejścia artystów, grzęznąć w błocie i czekał na tę kobietę, odchodzącą najczęściej pod rękę z innym mężczyzną, którą jedną kochał, tak dalece, że chciał umrzeć z miłości.

— Szczęścia doznaje ten tylko co kocha — powiedział sobie wtedy Michał, ulegając okrutnemu splinowi rozpustnika sentymentalnego i czuł w oku łzę, co nie spływa, łzę rzadką i bolesną, ludzi nerwowych.

* * *

W takim to stanie duszy, przeszłego roku, wygnany przez słotę z morskich kąpiei, Paz, znajdował się w Paryżu, pośród pustek sierpniowych.

Pewnego dnia, kiedy podług zwyczaju wałęsał się bez celu, ścigając wymykającą się mu melodyę, rozbudził go nagle bojowy akord orkiestry na dętych instrumentach i spostrzegł, że przypadek zawiódł go aż do Luksemburskiego ogrodu, gdzie, przed wodotryskiem Medicis, muzyka wojskowa w lecie około piątej, grywa pod gołym niebem.

Brutalna fanfara rozproszyła jego marzenia; poszedł na pobliski taras, oparł się o balustradę, podziwiał stary pałac włoski, sadzawkę, po której pływały dwa łabędzie, publiczność przechadzającą się wzdłuż gazonów i piękne niebo w drobne chmurki i czerwone plamki, jak zwykle w późnej jesieni. Nagle zobaczył o dwa kroki od siebie, siedzącą na wyplatanem krześle, młodą kobietę, która się weń wpatrywała z osobliwszą uwagą.

Była to delikatna, śliczna blondynka z cerą właściwą rudym włosom; oczy miała złote i nozdrza namiętne. A jak poważnie i przyzwoicie wyglądała, w kapeluszu i staniku z błękitnego aksamitu i spódnicy w kraty z angielskiego materiału. Jakaż to gracya w ruchach jej ramienia trochę szczupłego, w ręczce pod rękawiczką szwedzką aż po łokieć i opartej na porcelanowej lasce od parasolki.

Przy pierwszym na nią rzucie oka Michała, zarumieniła się młoda kobieta, zawstydzona, że spostrzegł jej ciekawość; ale muzyk, zdjął przed nią kapelusz, mówiąc:

— Czy miałem już kiedy przyjemność widzieć panią i jestem tak nieszczęśliwy, że jej nie poznałem?

— Nie panie, pan mię nie zna... to ja znam pana.

Usiadł obok niej i zawiązała się rozmowa. Widziała go przed trzema laty, raz tylko na koncercie Colonne, w ten dzień, kiedy on sam dyrygował swą *Suite d'orchestre*. Michałowi pochwiliło to, przysunął więc krzesło. Jakto, widziała go raz tylko i nie zapomniała! Któż ona jest? O, nie nadzwyczajnego. Nazywa się Łucya, mieszka bliźniutko, przy ulicy Gay-Lussac, ze starszą siostrą, wdową, której życie było zawsze bardzo przyzwoite, dlatego powierzyła jej wychowanie swego chłopczyka. Dziecko? więc jest zamężną? Nowy rumieniec i zwierzenia stały się jeszcze popuńsze. Nie, nie jest zamężną. Ciągłe widuje tego, którego nazywa: „ojcem swego chłopczyka” ale teraz rzadziej i tylko jako przyjaciela.

Nie zawsze skromnie żyła, ale się to już nie przytrafi; niedługo skończy lat dwadzieścia cztery, jest już starą kobietą i woli żyć spokojnie z siostrą z małych procentów, jakie posiadają, a także trochę i z pracy, bo się uczyły krawieczyny. Przychodzi niekiedy do Luksemburga słuchać muzyki wojskowej, zanim jest pora pójść po chłopca, który chodzi do szkoły na ulicy Royer-Collard.

Mówiła to wszystko z naiwnem i prawie dziecięcym zaufaniem, głosem miłym i przytłumionym,

z oczami spuszczeniemi, końcem parasolki rysując kółka na piasku. Michał słuchał z uśmiechem tej banalnej historyi i smutno mu się zrobiło, gdy dostrzegł blade piegi na delikatnej i białej skroni, młodej kobiety.

Dlaczego człowiek taki jak Michał, mający takie szczęście do miłosnych stosunków, zniżył się do tak powszedniej przygody? Oto, przez niekonsekwencyę marnotrawcy, który roztrwoniwszy majątek, nachyla się, by podnieść szpilkę. Nazajutrz i w dzień następny chodził do Luksemburga i widywał się z Łucyą. Wyznała mu, że wtedy na koncercie Colonne, podobał jej się i jak się podobał!—i że wtenczas także, gdy się oparł, tak blisko niej o balustradę, wpatrywała się w niego, pomimo silnego wrażenia, w tej nadziei, że do niej przemówi.

Romans w ten sposób zaczęty, musiał wprędce dojść do stronicy, na której znajdują się zwykle trzy wiersze kropek dających do myślenia, rozmarzających pensyonarki czytające podobne rzeczy pokryjomu. Ale tam, gdzie wzgardliwy i przeszycony Michał spodziewał się zrazu tylko nie nieznaczącej fantazyi, zaznał przyjemności, która go zdziwiła.

Taka była błoga ta miłość, którą tylko potrzebował przyjmować, miłość bez zalotności, nie drożąca się z sobą, tchnąca gminem, prosta jak instynkt! Ponieważ Michał mieszkał z matką, a Łucya z siostrą, dlatego w początkach swej za-

żyłości, widywali się w szkaradnym pokoju hotelowym, tem posepniejszym, że meble były mahoniowe, kryte granatowym adamaszkiem. Łóżko tam było w kształcie łodzi i rycina w stylu „troubadour,” przedstawiająca rycerza w pełnej zbroi, piszącego końcem sztyletu imię kobiety na korze buku. Ale w tem szpetnem schronieniu, pomimo lat trzydziestu pięciu i licznych kampanij na polu miłości, tak biło serce Michałowi, jak mu się to bardzo dawno nie przytrafiło, gdy czekał przybycia Łucyi, wpatrzony w zegar, na którym Gali-leusz ze złoconego cynku, wskazywał palcem na mapę wszechświata. Jakie miłuchne śniadania tam jadali, siedząc obok siebie na sofie z zepsutemi sprężynami i jak przyjemnie było, kiedy po wetach, rzucili serwety na stół, a Łucya tuliła się nieśmiało do ramienia Michała i biorąc delikatnie rękę artysty, który jej się wydawał jakąś wyższą istotą, półbogiem, którego ostrożnie trzeba dotykać, niosła ją do ust i składała na niej pocałunki szybkie, lekkie, prawie pełne czcił

Paz poddawał się tej miłości, która go głaskała po sercu. Bardzo często zdarzało mu się myśleć o Łucyi, w chwilach najmniej spodziewanych. Naraz stawały mu na pamięci jej słowa, cechujące prawdziwie zakochaną kobietę: „Nznaczaj z góry nasze schadzki, żebym miała czas myśleć o nich!” i z niewolnym uśmiechem szczęścia na ustach, wyobrażał sobie ładny, prosty nosek swej kochanki, a w szczególności jej na-

miętny sposób ściskania zębów, gdy obejmując go z całych sił, mówiła jakby do kotka swym niskim i namiętnym głosem: „*Mój mini!*”

— Boże mój! — zawołał nagle pewnego dnia — czyżbym ją kochał? Czy ja ją Kocham?

Niestety! nie chciał słyszeć tajemnego, szyderczego głosu, który protestował w nim po cichu; a ponieważ październikowe niebo było bez chmurki — jednak od miesiąca już znał Łucyę — postanowił, ten bożek kobiet, który rozmarzał księżniczki, urządzić biednej dziewczynie święto miłości, spędzając z nią cały dzień na wsi.

* * *

Trzeba było wcześniej puścić się w drogę, aby przybyć na śniadanie do wioski na skraju lasu, w północnej stronie Paryża, w pięknej okolicy, wśród borów i stawów. Ale zastał Łucyę na stacyi, stojącą przy okienku, gdzie bilety wydawano, ze zwykłą przyzwoitą i taktowną miną. Sami byli w wagonie — jakiż to był pocałunek! sam i też i w omnibusie korespondencyjnym kolei żelaznej, który wiozł ich pędem drogą wysadzaną gruszami. Łucya ta paryżanka upojona świeżym powietrzem, śmiejąc się wołała: „Będzie piękna pogoda”. Złocista, ranna mgła rozplywa się bowiem, ukazując w dali dzwonicę wiejską.

Po upływie godziny, powóz, skacząc po bruku wiejskim, przejechał wzdłuż muru od parku,

zponad którego wychylały się gęstwiny drzew. W przelocie zobaczyli, przez okno omnibusu, tarczę celową pod słomianym dachem, do strzelania z łuku, studnię z przeszłego wieku, zdobną w zwykły dwuwiersz łaciński.

Omnibus zatrzymał się nareszcie, przybyli na miejsce.

Wszedłszy do oberży, a zarazem i dystrybucyi, stanowiącej róg uliczki, położyli na bilardzie bagażę i okrycia, poczem prędko, by nie stracić nawet jednej godziny tego pięknego dnia, zjedli śniadanie w głębi ogrodu, w altanie z purpurowego wina dzikiego, gdzie promyk słońca złocił dużą pajęczynę jesienną.

— Proszę nam natychmiast podać co na śniadanie! Cokolwiek... jajecznicę!.. i tego ładnego wina białego, które trzeba pić tylko na słońcu. Łucya z wąsami od sera ze śmietaną, spogląda na Michała okiem śmiejącem się z radości i mówi:

— Jakaż ci dobra myśl przyszła do głowy, mój *mini*, i jak cię kocham!

Dalej! w drogę do lasu! Trzeba się śpieszyć, bo w październiku noc prędko zapada. Puścili się ścieżką wilgotną, ciemną, usłaną zgniętymi liśćmi. Ale ponad ich głowami, iskry przedzierają się przez gałęzie drzew i gdzieś tam przebijają lazur nieba. Kraa! kraa! i potem łopot skrzydeł... to chmara kruków wlatuje; a od czasu do czasu, daleko, bardzo daleko, odzywa się wystrzał z fuzyi myśliwca. Paryżanie nasi idą wdycha-

jąc woń leśną. „Widzisz ten wrzos, jaki jeszcze różowy!” Łucya klęka, żeby narwać ostatnich kwiatków, a Michał, zsunąwszy kapelusz na tył głowy, ścina laską u stóp dębów rosnące duże grzyby, zielone od trucizny.

Czasami zwalnia kroku, żeby się przyglądać młodej kobiecie, idącej radośnie przed nim. Jaka zgrabna i miluchna w swojej ciemnej sukni! Jaki ma ładny chód i kibić bogini Primaticel! Znowu się zatrzymuje przy drodze; odwraca się i woła towarzysza. „Ach orzechy laskowe?” z takim wdziękiem, nachyla gałęź, żeby zrywać orzechy, że on przybiega, bierze ją w objęcia i całuje długo, długo—w karczek, pełen wijących się złotych włosów.

— Ach *mój mini*, przestraszyłeś mię!

Biegają w ten sposób cały dzień, wesoło spuszczać się w rowy, gdzie echo powtarza ich śmiechy, zachęcając się wspólnie do wspinania aż po ścieżkach, jak kozy, pomiędzy skałami, gdzie się nogi ślizgają po szpilkach sośniny, nagle milknąc, w uroczystem otoczeniu lasu.

Gdy Michał zatrzymuje się przed jakim widokiem, ona opiera się na jego ramieniu, trochę znużona i jakby pijana. Nakoniec wieczór ich zastaje przy dużym stawie... Łucya siada na obalonym wiązcie, a Michał leży u jej nóg na mchu, z głową opartą na kolanach swej przyjaciółki, która, zdjąwszy jedną rękawiczkę, głaszcze go po włosach.

Rozkoszna ta chwila, niema najlżejszego wiatru, ani jednej chmurki nie widać na niebie. Słońce spokojnie zachodzi na firmamencie podobnym do mleka, któreby było błękitne, a cichy staw, jakby zwierciadło, odbija duże, nieruchome drzewa.

Michał czuje, że go ogarnia rozrzewnienie wielkie; zdaje mu się, że przeszłość już nie istnieje, że w całym życiu jego, jest tylko obecny moment. Pełne przesytu serce, które odmłodziła na chwilę przyroda, jakby późno dojrzewająca róża robi wysiłek, by się rozwinąć. Składa na ręce Łucyi długi, tkliwy pocałunek i poraz pierwszy, wymawia wyrazy, których od tylu lat nie powiedział, w skutek szlachetnej odrazy od kłamstwa:

— Kocham cię!

Ale w tej chwili słońce się zanurza po drugiej stronie stawu, poza czarną linią sosen. Wszystko naraz: woda, niebo, drzewa i serce tego człowieka — niestety! Łucya patrząca kochankowi w oczy, dostrzega w nich przebiegający dreszcz i z tą potrzebą prawdy, właściwą istotom prostym, ze spokojną rezygnacją dusz pokornych, odpowiada mu swym przytłumionym i jakby złamanym głosem:

— Nie, nie, *mój mini*, nie kochasz mię... to ja cię kocham!

* * *

Lucya ciągle kocha Michała, który jej miłość przyjmuje. Ale jeśli powrót do minorowej nuty w ostatnim jego walcu, wyraża boleść pełną rozpacz, to dlatego, że muzyk wypowiedział w tych kilku nutach, smutne słowa, wygłoszone przez młodą kobietę nad brzegiem stawu, po zachodzie słońca, dlatego także ów walc, którego nie można słuchać bez łez, nosi tytuł: *Wieczór jesienny*.

Rozbicie się okrętu „l'Inflexible.”

„L'Inflexible” była to fregata o sześćdziesięciu działach, która w r. 1830 brała udział w bombardowaniu Algeru.

Dziś już niema po niej pewno ani śladu; co najwyżej stary kadłub, pozbawiony masztów i ukazujący puste po działach strzelnice, gnije w jakim kącie arsenału w Brest, przemieniony w magazyn kołyszący się na falach. Jednakże ja tak znam „l'Inflexible,” jak gdybym opłynął na nim świat cały.

Znam go z modelu, starego arcydzieła, które dokonał ojciec Clodion, w czasie kiedy był w Szkole Gardemarynarzów. Model ten miał pięćdziesiąt centymetrów wysokości, licząc od dna okrętu do szczytu wielkiego masztu i przedstawiał dokładnie fregatę z rozpiętymi żaglami, gdzie nie brakowało najmniejszego szczegółu. Za młodych lat podziwiałem go dosyć często w pracowni pejzażysty Juliusza Clodion, przezwanego Clodion-des-Bouleaux.

Poznałem się z nim u Bauera, którego samo nazwisko, uprzytomnia dawno upłynione lata zmarnowanego czasu i szkaradnego jądła. Piwiarnia Bauera, znajdowała się na rogu ulicy i bulwaru, tam w stronie Obserwatorium i była wówczas punktem zbronym dla gromadki przyjaciół, do której z wielką przyjemnością należałem. Na szyldzie widniał napis: *Jardin et bosquets*; były tam więc altany obrosłe dzikiem winem, klomby bzów okwitłych i zapylonych, trawnik, na którym niedopałki papierosów zastępowały kwiaty, dwie lub trzy akacje, te uprzywilejowane drzewa każdej zamiejskiej oberży i w kącie, nieunikniony krzak słoneczników. Przychodziliśmy około godziny piątej, gdyż w upały wcześniej nie można było tam wytrzymać i zostawaliśmy zawsze zaczęłą rozmowę o estetyce, przy kieliszkach absyntu, kobietę z gołą głową bujającą się na huśtawce, a przygrze w *tonneau* Clodiona-du Bouleaux w czerwonej bluzie i w pantoflach; wszystkie krążki ciskał pewną ręką w lwią paszozę.

Wszyscy ci ludzie, których Clodion był przewodcą—niestety! ci co pozostali przy życiu, mają teraz około czterdziestu lat—przebili się lub się rozproszyli po świecie. Harivel, chemik, wszedł teraz do Instytutu; Lemétreur, łysy filozof, którego z powodu pontyfikalnej miny, nazywaliśmy „papieżem na wygnaniu,” był z kolei zarządzającym jakimś dziennikiem, nie wiem już czem za

komuny, człowiekiem-afiszem w Londynie i rachmistrzem na pokładzie pakiełbotu kursującego z Hawru do Hamburga, aż nakoniec znalazł zajęcie przy ceremoniach pogrzebowych. Jakież to sprzeczności w losach tych młodzieńców, których traf tyłu rzuca na bruk paryżki! Parę dni temu, spotkałem w Vaugirard, pod rękę z kobietą ubraną jak sprzedająca śpiewki, tego biednego Piotra Avril, Corota poezyi nowożytnej, tak uroczo opisującego drogi leśne i zakręty rzek. Był strojny w zrudziały gibus i w stary czarny frak pod zniszczonym paltotem a palił glinianą fajkę, idąc przez ulicę; z tem wszystkiem miał swoją zwykłą minę granda hiszpańskiego. Napróżno szuka wydawcy, dla ostatniego swego tomu—kiedy ten głupiec de Vassal, malarz rodzajowy, pożyczający sukien od słynnych modułiarek, do kopiowania na obrazach, utrzymuje osławioną baronową i co wieczór galopuje w alei akacyjowej na gniadoszu, wartującym trzy tysiące talarów.

Co się stało z innymi kolegami od Bauera? Rzeźbiarz Lépicier, zabity pod Champigny; Garnisel umarł; Favrot także. Pagès, ekstern z Pittié, jeszcze smutniej, bo się ożenił, ma chmarę dzieci i żeby mieć dla nich chleb, jest lekarzem u pewnej lunatyczki. A Plock, karykaturzysta, z piękną kędzierzawą głową Karakalli? Ma sparaliżowaną prawą połowę ciała i jest fotografem w drewnianej budzie na Point du Jour, klientelę jego stanowią sobotnie wesela. Na portretach

jego zdarza się, że pan młody trzyma na kolanaach swą narzeczoną, ubraną w kwiat pomarańczowy. Nie wesołe są te wszystkie wspomnienia młodości.

* * *

Juliusz Clodion, rudy chłopak z wąsami Vercingetorixa, Galijczyk z Luminais, którego strońę fizyczną dopełniało nazwisko spólczesne Merowingów, był synem zacnego człowieka, kapitana okrętowego, który oszczędziwszy nieco grosza, umarł w chwili, kiedy syn jego, uczeń klasy drugiej kolegium w Hawrze, budził podziw w kolegach wiernem kopiowaniem litografii Celestyna Nanteuil. Matka Juliusza nie żyła już dawno, a siostra jego ojca, stara panna, prosta chłopka, która została się naturalnie opiekunką młodzieńca, nie opierała się wcale jego urojonemu powołaniu na artystę. Wraz z siostrzeńcem, przybyli pewnego dnia do Paryża, z pończochą naładowaną złotem i z ruchomościami starego marynarza. Były to porządne sprzęty prowincjonalne i morskie, między któremi nie brakowało ani lunety, wiszącej na ścianie na dwóch gwoździach, ani map żeglarskich, na których wskazane były prądy wód i wiatry stałe, ani szafy normandzkiej naładowanej bielizną, ani ptaków z wysp, wypchanych, pod szkłem. Główną ozdobę stanowił model okrętu l'Inflexible, wykonany niegdyś

przez ojca Clodion, wówczas kiedy był nowicyuszem o spalonym karku, dostawał kurczów w podszwach, czepiając się lin na statku dla nauki w porcie Brest.

Gdym poznał Clodiona, już oddawna wydane były ojcowskie luidory z pończochy wełnianej, te poczciwe luidory, ciężko zapracowane przez kapitana, na wybrzeżu Gabonu, gdzie sprzedawał liche fuzye królowi negrów, a może też trochę handlował i ludźmi. W nędznej jego pracowni, w głębi podwórza przy ulicy Campagne-Première, zachował z całego dziedzictwa tylko model okrętu Inflexible i ciotkę Modestę w czepcu chłopskim, oszołomioną bohemą, wśród której artysta pędził życie

Miała się czemu dziwić ta biedna chłopka: najprzód dlaczego wszyscy ci ludzie nazywają jej siostrzeńca Clodion-des Bouleaux? Nie znała bowiem legendy tak sławnej w Marlotte. Jak wszyscy inni, tak i Julianek, szedł w chwilach efektownego światła, z workiem na plecach i w spodniach włożonych w buty ku Mare aux-Fées; skoro zmierzch zapadł i wszyscy uczniowie wracali do oberży, by ugotować sobie kurę w rondlu, w oczekiwaniu obiadu—on przychodził jeden z ostatnich, niosąc także studyum swoje. Był to zawsze ten sam rysunek: skały, krzaki i brzozy. Wiadomo było w jaki sposób je zrobił. Znalazłszy się sam jeden w lesie, niepoprawny ten próżniak, kładł się na mchu, palił fajkę przy

swych przyrządach malarskich i dopiero na odchodnem, nie spojrzawszy nawet na krajobraz, naprędcie namazał wieczne swe brzozy, którym zawdzięczał przydomek, a to przy pomocy szczotki i palety; Clodin urzeczywistnił bowiem ten problemat: malować „z szykiem” z natury.

Ciocia Modesta nie mogła tego wiedzieć ani też rozumieć, do jakiego stopnia jej siostrzeniec był chybionym malarzem. Nigdy nie zapomnę jej zdumionej i przestraszonej miny, w te wieczory, kiedy całe towarzystwo z piwiarni Bauera zjawiało się w pracowni. Co za wieczory! Przy świetle kilku świec, osadzonych w butelkach, rozsiadaliśmy się: czterech na kanapie, sześciu na łóżku, jeden na drugim, inni, gdzie mogli; a owe półświatło nadawało straszny pozór tym wszystkim twarzom, zakłęsłym od padających na się cieni, tym włosom rozwianym, tym łysinom podobnym do kul bilardowych, nawet nie wypowiedzianie głupiej głowie wyrobnika poety, z apostołską brodą, który śpiewał nam piosenki w rodzaju Bérangera o braterstwie ludów. Zaczynały się hałaśliwe i długie dyskusye. Lemétre, filozof, rozwijał swą teorię o „ziutyzmie,” Avril deklamował swoje wiersze; Plock, rysownik, utrzymywał, że pozostają mu tylko trzy karykatury do zrobienia, żeby cesarstwo runęło; Garnisel, figlarz, grał na zniszczonym klawikordzie, marsz pogrzebowy generała negra siadając całym swym ciężarem, od czasu do czasu na klawi-

szach; słowem, straszny chaos i zgiełk, rozleżał się wśród dymu tytoniowego.

W takich razach, spoglądałem często na cicię Modestę, którą się nikt nie zajmował. Siedziała samotnie w kącie, nogi trzymając na fajerce a skrzyżowane ręce na brzuchu; na fartuchu zaś leżało jajko bukszpanowe i wełniana pończocha, zrobiona do połowy. Nic nie słysząc, śniła, z oczami wlepionymi w *Inflexible*, który wśród cieni, ukazywał na komodzie swe eleganckie pudło i wysmukłe maszty. Mała ta fregata musiała przypominać poczciwej kobiecie— a jaki żal budziła, mój Boże! Szczęśliwe czasy, kiedy zarządzała domem brata, w Sainte Adresse, podczas jego podróży, i te dni spokojne, kiedy Julek był jeszcze łagodnym i posłusznym chłopcem. Ale ja chciałem koniecznie w to wierzyć, że w ciasnym umyśle tej chłopki, zachodziło jakieś bolesne porównanie, pomiędzy lichymi szkicami Clodionades-Bouleaux, pokrywającymi ściany, a tym przedmiotem, dokładnie i misternie wykonanym, tym owocem i świadectwem sumiennej pracy i cierplivej zręczności.

* * *

Straciłem z oka pejzażystę, ale ponieważ bądź co bądź, był to dobry chłopak, rozpytywałem się niekiedy o niego. Przykro mi było słyszeć, że się nie ustatkował, że zawsze jest próżniakiem i fanfa-

ronem. A ciocia Modesta, czy ciągle przy nim mieszka?

— Ciągle, biedna ta staruszka jak może ratuje dom od nędzy. Ach, to bohaterka! Gdy jej się uda uciuć trochę pieniędzy, bierze jeden z kwitów z Mont-de-Piété. Clodion, po dawnemu, zawsze je pakuje do trupiej głowy, i wykupuje mu jaki niezbędny przedmiot, na przykład: palto zimowe, bieliznę... Co najgłupsze z jego strony, to, że sprowadza co wieczór gromadę próżniaków i nocnych włóczęgów... a ciocia rada nie rada, musi znaleźć czterdzieści sous na koniak i cukier do ich grogu...

Przykro jest być nazajutrz rano u Clodiona i widzieć, że ta biedna kobieta, wymiata błoto i niedopałki wczorajszych cygar.

— *A Inflexible!*

— Ta mała fregata? Jest tam jeszcze... ale to najsmutniejsza strona tej historii... Łatwo się domyśleć, że Clodion-des Bouleaux, prowadząc takie życie, bywa w drażliwych stosunkach z gospodarzami swymi... Co kwartał nowa burza... komornik, wygnanie i zajęcie rzeczy... Już trzy razy ruchomości były sprzedane i zniesiono je na chodnik... Wiesz, tam, obok tych żydów tandecciarzy, którzy wystawiają w oknach łyżeczki i lichtarze z metalu angielskiego. Ciocia Modesta zawsze ocali jakąś część ruchomości, ale powoli, prawie wszystkie już poszły i luneta i se pet normandzki i mapy morskie... fregatę tylko

mogła jakoś dotąd wykupować... Ta poczciwa kobiecina przywiązuje do niej taką wagę, jakby do fetysza. Nawet Clodion stał się przesadnym i wyobraża sobie, że dopóki *Inflexible* u nich będzie na kotwicy, zawsze wywinie się z biedy. I wystaw sobie, że go losy w tem przekonaniu utwierdzają, bo chociaż ma troski, szczęście więcej mu sprzyja niż tego warto. Tak gdy straci wszystko co do grosza, zdarzy mu się zawsze jakaś gratka, to obrazki święte, to papierowe obicie do malowania... Naprzykład w styczniu, zeszłego roku — straszna tam była nędza! Był zmuszony chodzić w kapeluszu słomianym i w kurtce alpagowej, na dziesięć stopni mrozu... naraz sprzedał kupcowi amerykańskiemu mały obrazek *Mare-aux-Fées*... On to przypisuje fregacie... Kto wie zresztą, może ma słuszność?!

* * *

Wszystko to się już dawno działo i puszczone w niepamięć; ale wczoraj, na balwarze Montparnasse, zatrzymałem się przed jednym z tych kramarzy, co sprzedają stare łózka żelazne, szkaradne czerwone kołdry z edredonu i te dawne akwatinty napoleońskie, przedstawiające cesarza, gdy stoi na szyldwachu, w miejscu swego żołnierza, lub podaje rękę zapowietrzonym w Egipcie. Wczoraj wśród tych ohydnych szczątków poznałem *Inflexible*.

Ach, doznał on wielu uszkodzeń. Najwyższa połowa strzelnic, zachowała maleńkie miedziane armaty, wielu części brakowało i kilka rej było złamanych.

Wtedy przypomniałem sobie, że od bardzo dawna, nie widuję za witrynami przy ulicy Laffitte, malowideł Clodiona des Bouleaux. Uprzytomniłem sobie tego biednego bazgracza, który ostatecznie, miał lat dwadzieścia, jednocześnie ze mną, i ciocię Modestę, ową dzielną wieśniaczkę, która tak nieszczęśliwie popadła w tak zwaną Bohemę, i przykro mi dotąd, gdy pomyślę, że musieli oboje zginąć z całym mieniem, kiedy się rozbił ich *l'Inflexible*.

Odźwierna teatralna.

Tylko co oddałem futro odźwierniej i zamierzałem wejść pomiędzy rzędy krzeseł w orkiestrze, kiedym ujrzał, w głębi korytarza, siwą brodę staro-rzeźbiarza, Ludwika Sénéchal i chcąc z nim pomówić, czekałem, póki nie zdejmie paltotu.

Czuje dla Sénéchala przyjaźń pełną szacunku za jego prawy charakter. Wiem, jaki czysty ideał, jaka tkliwa dobroć ukrywa się pod szorstką powłoką tego staro-artystry, którego mieszkańcy przedmieścia Ś-go Jakóba znają oddawna, widząc jak co rano, zgodnie z ludowym zwyczajem, umywa się przy pompie, na rogu ulicy Val-de-Grâce. Mieszając glinę palcami i żartując z modelem w swej pracowni, sam opowiadał mi o swem życiu w początkach karyery, o pracy swej i nędzy. Obecnie, kiedy się stał sławnym i otrzymał palmy akademickie, kiedy przypiął oficerski krzyż do mularskiej bluzy, wiem w jak szlachetny sposób używa dostatków, które zdobył wraz ze sławą. Mówiono o jego tajnych uczynkach mi-

łosiernych, na przykład: pensję swą jako członka Instytutu, oddaje biednej, obciążonej rodziną żydówce, która przed dwudziestu pięciu laty, miała najpiękniejsze z całego Paryża ciało i pozowała do *Hekuby* Sénéchala, statui, która dała początek jego sławie. Chciałem tedy zobaczyć się z nim, przed rozpoczęciem widowiska i pomówić o przyjacielu jego Oktawie Firmez, poecie, zmarłym przed dziesięciu laty, prawie w zupełnem zapomnieniu, którego sława od tego czasu tak urosła, że pierwsze tego wieczoru przedstawienie pośmiertnego dramatu jego: *Błądni rycerze*, przyciągnęło do Odeonu, cały świat modny i artystyczny.

— Zawsze zachowujesz swój Nr. 63?—zapytał, wyciągając rękę, gdy mnie spostrzegł.

— A pan zawsze ma numer 65?

— Tak, cieszę się, że będziemy mogli gawędzić z sobą w czasie antraktów... ale zaczekaj, niech zdejmę swoją „powłokę,” rzekł, używając przedmieściowego żargonu paryzkiego, od którego nie mógł się nigdy odzwyczaić i którym lubił posługiwać się czasami figlarnie, ku wielkiemu zgorszeniu kolegów z Instytutu i Jury.

W tej chwili posłyszeliśmy obok siebie głos kobiety.

— Daj mi pan swoje okrycie, panie Sénéchal— powiedziała doń odźwierna.

Ujrzałem wówczas szczególniejszą rzecz. Oto rzeźbiarz w wieczorowem ubraniu, z rozetką or-

derową przy fraku i mała staruszka pomarszczoną, w nędznej czarnej sukience i czepku z różowemi wstążkami, spojrzeli na siebie, podali sobie ręce i oczy ich napełniły się łzami. Potem, nie zważając na czarne fraki, tłoczące się w korytarzu, Sénéchal, pocałował odźwierną w oba policzki.

— Odwagi, moja biedna Klementyno — rzekł on z głębokiem wzruszeniem. — Odprowadzę cię do domu po skończonem widowisku, dobrze? Pójdziemy piechotą pod rękę i pomówimy o nim... Ale czy przynajmniej zobaczysz jego sztukę?

— Zobaczę—odpowiedziała staruszka—zachowano mi miejsce przy drzwiach, to wielka łaska. Ale przepraszam, panie Sénéchal, służba mnie powołuje.

Podczas kiedy odźwiernia odbierała na nowo paltoty i parasole, rzeźbiarz, smutno się uśmiechając na widok mego zdziwienia, wziął mnie pod rękę i pociągnął do sali.

— Idźmy zająć miejsca — powiedział wzruszonym głosem. Wyjaśnię ci zaraz znaczenie tego obrazka, na który patrzyłeś przed chwilą. Okropna to i bolesna historia, ale zarazem i pocieszająca, bo dowodzi, że są jeszcze bezinteresowne serca... Ale szal! Słysząc trzecie stuknięcie.

* * *

Znanem jest świetne powodzenie *Błędnych rycerzy*, która to sztuka w ciągu stu przedstawień,

napelniła salę Odeonu. Ta akcja epiczna, ten wiersz pełny i szlachetny, mogący się równać tylko z wierszem *Legendy wieków*, od pierwszych scen, wywoływały długie okrzyki pełne zapału. Publiczność wprawiona w odrętwienie od dwudziestu pięciu lat, skutkiem słuchania hałaśliwych sztuk, pisanych na temata, oraz błazeńskich operetek, ocknęła się; skoro ją owionął powiew prawdziwego natchnienia i poezyi. Nie było nawet owego dnia głuchego szmeru, drobnych nienawiści, niskich zazdrości. Autor zmarł od lat dziesięciu, nie miał już zatem nieprzyjaciół. Od początku aż do końca ostatniego aktu, powo-
dzenie rosło, przybierając charakter tryumfu.

— Tak, tak, moi przyjaciele! Klaskajcie, bijcie w dłonie! — wykrzyknął Sénéchal, gdy się zasłona powoli spuszczała i przywoływano aktorów, kłaniających się publiczności z uśmiechem radośnym i znużonym. — Wszystko to was nie uniewinnia, żeście pozwolili umrzeć z głodu Firmezowi i że za życia nie mógł znaleźć sceny do przedstawienia swej sztuki. Bijcie brawo, moi kochani! On już nie żyje i nie stworzy nic więcej!

— Czy Firmez był tak nieszczęśliwy? — zapytałem starego artysty, żeby mu przypomnieć daną obietnicę.

— Tak, i to przez całą swą młodość. Dlatego to nawet, tak mało tworzył; bo ten biedny poeta, czujący potrzebę marzeń i lenistwa, zbyt długo

był zmuszony podejmować się lichych robót, aby wyżyć; sztukować, kompilować po jednym lub dwa sous od wiersza do encyklopedyi i dykcyonarzy. Później wzbogacił go spadek... ale patrz, sala się wypróżnia. Antrakt będzie długi, a historia moja krótka... Wysłuchaj że jej więc.

— Kiedym się poznał z Firmezem, mieliśmy obaj po dwadzieścia pięć lat. On porzucił studia prawne, żeby się poświęcić literaturze. Zkąd wynikało nieporozumienie z rodziną. Ojciec jego, prowincjonalny notaryusz i zaciekły mieszczanin, przestał przysyłać mu zapomogę. Ale w jego latach, żartuje się ze wszystkiego, nawet z nędzy. Zresztą wiadano, że ma zamożnych krewnych, mógł więc znaleźć kredyt u ludzi; nie był zatem w najgorszym z nas wszystkich położeniu—przeciwnie. Nawet kiedy przychodził do mej cygańskiej pracowni, w głębi Vaugirard, śmieliśmy się z krzyczących krawatów i aksamitnych kamizelek, nazywając go *mirliflorem*. Był to wówczas ładny brunet, miał długie włosy, bródkę rozwianą i oczy zakochanej kozy. Przepadały za nim gryzетки i cała dzielnica Łacińska. Tam to poznał się z Klementyną.

— JAKTO?—wykrzyknąłem, przerywając Sénéchalowi z Klementyną z tą starą odźwierną, którą tylko co...

— Tak, z tą samą i co prawda, nie była to zbyt ważna figura podówczas, ta biedna Klementyna. Miała lat dwadzieścia, była piękną jak

angielki bywają czasem, figurkę jej można było objąć dwiema rękami, przytem miała las ślicznych włosów, koloru indyjskiego kasztanu, wyluszczającego się z zielonej łupiny... Ale sierota, rzucona na bruk paryzki, z upodobaniem do uciech, z jednym z tych rzemiosł, które nie przynoszą. Słowem, było z pomiędzy nas dwóch czy trzech, przy których kładła gorset. Oktaw spotkał się z nią w Prado. Schodzili się z sobą, potem się rozchodzili i znów się łączyli. Otóż jednego wieczoru, wchodząc z Oktawem do naszej garkuchni, zostaliśmy Klemetynę siedzącą tam przed rosołem, którego nie jadła, trzęsąc się od febry. Zaczęliśmy ją rozpytywać, wmieszał się do rozmowy obecny tam student medycyny i zao-piniował, że to silne zapalenie płuc. Co począć? Dziewczyna miała liche mieszkanko i była bez grosza.

Posłyszawszy jednak, że medyk wymówił słowo szpital, rozplakała się. Oktaw miał dobre serce, wsadził więc biedne dziecko do dorożki, zawiózł do siebie, pielęgnował i doglądał jakby siostra miłosierdzia, wyleczył nakoniec i nie wypchnął za drzwi, gdy zaczęła przychodzić do zdrowia, i... związek ten trwał... lat dwadzieścia!...

— Jakto? on, Firmez, poeta, z tą dziewczyną?...

— Ta dziewczyna, mój kochany, była biednym dzieckiem ulicy i natury, dopuszczała się głupstw, mając lat dwadzieścia, jak ptaki w miesiącu kwietniu; ale serce miała dobre, proste i nieoblu-

dne, a wdzięczność dla Oktawa, uczyniła z niej najlepszą i najwierniejszą towarzyszkę. Właśnie wtedy nastał dla niego najgorszy czas; dostawcy dowiedzieli się, że się na dobre pokłócił z rodziną, więc źródło to zamknęło się; trzeba było żyć z pracy. Ach, psie życie pędził przez ciąg lat dziesięciu! Ten poeta miał dwa pokoje na piątym piętrze, w Plaisance, z kądem rano, jeździł na górze omnibusu, żeby drabować w starych foliach biblioteki Richeliengo i robić z nich notaty.

O zmierzchu wracał do domu, na skromny obiad, ugotowany przez Klementynę, który spożywali, przy małej lampce, z zielonym daszkiem. Po wetach, składających się z owoców i sera, cały wieczór czasami do trzeciej z raną spędzali na przepisywaniu. Przepisywanie, za które płaci się od łokcia, praca nudna i mechaniczna, pośpiesznie dokonywana na stole przykrytym czeratą, na którym obiad jedli, przy piecyku, gdzie się gotowała kawa na noc! Nie byłby wytrzymał takiego życia, ten poeta, gdyby mu przyszło żyć samemu, ale miał przy sobie tę prostą dziewczynę, która przypomniała sobie rzemiosło kwiatarki, żeby zarabiać przynajmniej na jarzyny do zupy i miał tę mężną i łagodną istotę, wytrwałą jak chłopka w czasie żniwa, zarazem miluchną i ładną jak amazonka z Hyde-Parku. Miał przy sobie tę kobietę, tak bohaterską, że w ciągu lat dziesięciu, ani razu nie powiedziała, że się niema w co ubrać; tę serdeczną przyjaciółkę, która od

czasu do czasu, gdy się oddawał swemu przykre-
mu zajęciu, odgarniała mu włosy z czoła, składa-
jąc na niem otrzeźwiający pocałunek. Mało miał
wprawdzie czasu na sen, ale spał przynajmniej,
przy sercu, którego był pewien. Teraz, młodzień-
cze, nazwij to, jeśli chcesz, „związaniem się
z dziewczyną.”

* * *

— Dlaczego się z nią nie ożenił, po tak dłu-
gich latach wspólnego pożycia; po takim dłu-
giem wypróbowaniu się?

— Zaczekaj, to cała historia...

— Oktaw był kochany, uwielbiany, ale sam
nie kochał, tylko ulegał przyzwyczajeniu. Nie-
spodzianie, przychodzi pewnego dnia wiadomość,
że ojciec jego nagle umarł i że spada nań dwa-
dzieścia tysięcy franków rocznego dochodu. Nie
okazał się niewdzięcznym; Klementyna, dostała
brylantowe kolczyki i chodziła w niebieskim pe-
nioarze, po miluchnem mieszkanku artysty, jakie
sobie natychmiast urządzili. Ale on choiał trochę
pożyć w świecie, przyjmować gości, co było bar-
dzo naturalne. Pierwsze jego poezye wydane:
Poemata bohaterskie przez tych samych, co go dziś
oklaskują, wówczas tak głupio były wyszydzo-
ne, postawiły go jednak wysoko w opinii znaw-
ców, prawdziwych poetów. Zapraszano go, wciąż
gano do pewnych domów, gdzie łatwy jest przy-

stęp. Piękny, choć zwiędły, podobał się kobietom, a lubiąc rozkosze jak kotka, miał niezliczoną ilość miłosnych przygód. Biedna Klementyna, może sobie przyznać, że była zdradzoną. Wiedziała o tem z pewnością; czy ją to bolało? Nigdy tego nie okazała. Zwierciadło musiało jej mówić, że ją bardzo zmieniły lata nędzy, a przytem z wiekiem, jej uczucie dla Oktawa stało się prawie macierzyńskim, zdolnem zawsze wybaczać winy ukochanej osoby i uśmiechać się z nich czasem, z pewnym rodzajem dumy. W ludzkie to się często trafia (ona zaś była z ludu), że podstarzała kumoszka, opowiada sąsiadkom figielki swego pięknego męża, a kończąc opowiadanie, wzrusza ramionami i mówi: „Co tam, ile razy chcę, to go mieć mogę.”

Czas upływał, a Firmez, który pomimo lat czterdziestu pięciu, zaczynał dopiero siwieć na skroniach, ciągle się jednakowo pocieszał, wśród nie powodzeń literackich, miłosnemi przygodami. Co się tyczy Klementyny, będąc już blisko czterdziestki, trzeba przyznać, że była prawie starą kobietą... Pewnego letniego wieczora, kiedy kilku nas bliższych znajomych paliło fajki i popijało grog u Firmeza, Oktaw, który od niejakiego czasu, uskarżał się na bicie serca, nagle zemdleł na kanapie; chociaż prędko odzyskał przytomność, Klementyna bardzo się tem przestraszyła. Jeden z naszych przyjaciół, doktor, powołany do chorego, zbył nas nic nieznaczącą odpowiedzią, i ra-

dził udać się do sławnego Bouillaud. Ten uspokoił nas, aleśmy wiedzieli prawdę. Poeta miał chorobę birbantów, artystów i koni cyrkowych—chorobę sercową i to w wysokim stopniu, śmiertelną.

Z początku nie bardzo się czuć dawała. Firmez ciągle cierpiał, ale ustatkował się, doskonale był pielęgnowany przez Klementynę, rozczulał się też nad przywiązaniem i dobrocią starej swej przyjaciółki. Gdym był u nich pewnego dnia na obiedzie, powiedział mi, przysuwając salaterkę:

— Wiesz cośmy postanowili z Klementyną... Oto już od lat dwudziestu żyjemy z sobą, a nie jesteśmy zaślubieni, to coś głupio wygląda... Proszę cię więc, żebyś przyszedł w tym tygodniu, którego ranka, z trzema z pomiędzy naszych przyjaciół, poczem udamy się do mera ztamtąd do kościoła i wrócimy do domu na śniadanie.

— Brawo! — wykrzyknąłem, patrząc na Klementynę.

Miała oczy łez pełne.

— Widzisz pan, jaki mój Oktaw dobry — powiedziała.—Ale trzeba, żebyś wiedział Sénéchal, że nie zgodzę się na ten obrzęd, dopóki nie powróci zupełnie do zdrowia. Tak, tak... chcę, by śliczny pan młody poprowadził mnie do księdza proboszcza!

Niestety! we dwa tygodnie potem, położył się do łóżka, żeby już z niego nie powstać. Dobiło go niepowodzenie, jakie spotkało pierwszą wyda-

na przezeń książkę i nieprzyjęcie na scenę sztuki jego w *Théâtre-Français*. A Bouillaud, którego znowu powołano, zastrzegł ciągle: „Żadnych wzruszeń!” Przyjaciele poety zawczasu opłakiwali jego stratę; lecz ja, serdecznie dzielając ich smutek, myślałem także o towarzyszcze jego życia całego, o dobrej Klementynie. Firmez z nadto był lekki, żeby pomyśleć o testamencie, więc jeśli się z nią nie ożeni, cóż się z nią stanie?

Postanowiłem pomówić o tem z tą biedną kobietą, lecz od pierwszego słowa, padła ze łkaniem w moje objęcia, wołając:

— Nigdy, nigdy, nie zdobędę się na tę odwagę... Słyszysz Sénéchal... Przypomnieć mu obietnicę, alez zrozumiałby zaraz, że niema dlań nadziei!... On się tego wcale nie domyśla, mój przyjacielu; owszem, zdaje mu się, że na wiosnę wyzdrowieje i robi tysiączne projekta. Doktor zapewnił mię, że w takim stanie przetrwa do końca i że będzie miał bardzo łagodną śmierć... Gdybym mu wspomniała o małżeństwie, przyspieszyłabym zgon, zabiłabym go!... Nigdy, jeszcze raz, nigdy!... Wiem dobrze, co mię czeka... Spadkobiercy wypędzą mię i popadną w nędzę... Ale jego utracony, nie będę niczego potrzebowała! Powiesz, że to nierozsądnie, nierozważnie, ale czy on był rozsądny i rozważny, kiedy, będąc ubogim studentem, mnie umierającą, zawiózł do swego mieszkania w hotelu, mnie, włóczącą i czuwał nademną jak nad świętą? Mogę sobie przyznać,

Sénéchal, że nigdy nie byłam dlań przyczyną do smutku lub troski... i kiedy już skazany, o to tylko proszę Boga, żeby na rękę swej starej towarzyszki umarł, niedomyślając się tego i widząc uśmiech na mej twarzy!

* * *

Tak też i umarł, młodzieńcze—dodał stary artysta, kładąc na mem ramieniu, drżącą ze wzruszenia rękę. Nie zostawiła mię z nim sam na sam ani chwili; ciągle była obecną, błagając mię wzrokiem, bym nic nie mówił i fortuną całą przypłaciła tę bolesną radość, że osłodziła konanie kochankowi swemu, który się zabił, oszukując ją z całą chmarą złych kobiet. Zaraz nazajutrz po jego śmierci, zjawili się okropni prowincjonalni krewni, niecni sukcesorowie... O! ta burżuazya, wykrzyknął Sénéchal, potrząsając białą grzywą. Przy pierwszej rewolucyi, nie będziemy ich gilotynować, bo to zanadto szlachetna śmierć dla nich, ale wynajdziemy inną.. tak, ja sam ją obmyślę... Otóż ci mieszczanie, sukcesorowie Firmeza, byli bez miłosierdzia, zabrali wszystko i razem ze śmieciami wyrzucili Klementynę z opustoszałego mieszkania!.. Rozumie się, że się nią zajęto. Bordier, autor dramatyczny, wyrobił jej to miejsce odźwiernej teatralnej. Nie wystarcza jej to na życie, ale szczęściem, nie wszystkie serca, są tak twarde na świecie i jakoś.. jakoś żyje.

— Rozumiem pana — rzekłem, ściskając rękę rzeźbiarza.

— I pomyśleć — ciągnął dalej, uderzając się w czoło — że gdyby ta zacna kobieta, nie miała w sercu tyle wykwintnej delikatności, nazywałaby się dziś panią Firmez, siedziałaby tam oto w jednej z łóż obok sceny i te kamizelki wycięte *en coeur*, otaczałyby ją, sadząc się na komplimenta; tymczasem teraz, siedzi na korytarzu, by rozwieszać paltoty, ustawiać laski i parasole. Dziś wieczór przynajmniej jest bardzo szczęśliwą; słyszy oklaskiwane imię swego Oktawa i te piękne wiersze, których nie rozumie, lecz nierozumiejąc, podziwia je... a to jest może najszczytniejszą rzeczą na świecie, młodzieńcze, bo to się nazywa wiarą! Otóż chcę, żeby dziś była zupełnie zadowoloną.. Co niedzielę jest u mnie na obiedzie, który każę podawać o godzinie piątej, żeby się nie spóźniła do teatru... ale dziś zaprowadzę ją na kolację, jak robił Oktaw, w dni pierwszych przedstawień i będziemy o nim mówić, aż do drugiej po północy!... Ale trzeba umilknąć, bo się drugi akt rozpoczyna.

* * *

Dlatego to owego wieczoru, około wpół do pierwszej, siedząc w kawiarni Voltaire'a, blisko gromadki wychowalców Szkoły Sztuk Pięknych, miałem zabawkę z ich zdumienia, gdy ujrzeli, że ich słynny profesor, pan Sénéchal, członek

Instytutu, kawaler legii honorowej, zmierza ku oddzielnym gabinetom pod rękę, z małą starszką w czepku z kokardami, w której poznali matkę Klementynę, odźwierną przy krzesłach orkiestrowych w Odeonie, od strony numerów nieparzystych, czyli mówiąc dokładniej, od strony ogrodu.

K O N I E C.

ALEKSANDER MAJEWSKI
W
KAMIENIU MŚCIOŃSKIM
p. Sandomierz



260 -

730/17/860416

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

182689

Biblioteka WSP Kielce



0112699